

Polscy fani Trumpa ■ Szczerek o końcach świata ■ Bartłomiej Topa na Wielki Post
Pobudka dla Niemiec ■ Optymista Fisz ■ Znów kradniemy filmy ■ Kosmici mrugają

Kraków 5 – 11 marca 2025 nr 10 (3948) | cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Czy zostaniemy sami

- CO SIĘ DZIEJE W BIAŁYM DOMU
- JAK ROZEGRA TO POLSKA
- EUROPA MUSI SIĘ ZBROIĆ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





Fundacja
Hospicjum
Proroka Eliasza

**Przywróć godność
ludziom u kresu życia
zapomnianym przez świat**

PRZEKAŻ 1,5%

KRS 0000 328 837

Wieś w Polsce dramatycznie się wyludnia, zanikają całe społeczności! Niegdyś tętniące życiem miejscowości zamierają, młodzi wyjeżdżają do miast. Starsi mieszkańcy często zostają bez opieki, czują się samotni i mają utrudniony dostęp do pomocy oraz wsparcia.

Naszą misją jest niesienie pomocy hospicyjnej na wsiach. Docieramy do ludzi zapomnianych przez świat, a czasem rodzinę i instytucje.

**Przekazując 1,5% podatku Fundacji Hospicjum Eliaz przywracasz miłość i nadzieję
ludziom u kresu życia zapomnianym przez świat.**



Trzeba uświadamiać oraz niejednokrotnie wkładać kij w mrowisko systemu. Pokazywać, że można zrobić coś inaczej i że przynosi to efekty. Budowa hospicjum na wsi, nowy model hospicjum domowego czy projekt „Dać to, czego naprawdę potrzeba”, który ma na celu pomoc wszystkim osobom potrzebującym mieszkającym na wsiach u kresu ich życia – to przykłady na to, że rzeczywistość można zmieniać.

dr Paweł Grabowski
założyciel i lekarz w Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza

Więcej informacji znajdziesz na: **www.hospicjumeliaz.pl**

KS. ADAM

Boniecki: Więcej niż dieta

W WIELKI POST NAJPIERW MYŚLĘ O ZADUSZKACH. I CO z tego, że kalendarz się nie zgadza. Znajomych, którzy odeszli, jest coraz więcej. W końcu człowiek też dołączy do ich listy. Człowiek by oszalał, gdyby z równą ostrością wspominał ich wszystkich, ale tak: Wielki Post siłą rzeczy przesuwając uwagę na zmarłych. Przypomina (powinien przypominać), że umrzemy, że o bytowanie po śmierci należy się za życia zatroszczyć. Wstrzymywanie się od nadmiernego jadła – można to oczywiście traktować jako zabieg leczący, oczyszczający – może mieć charakter religijny. Czas umartwienia (piękne polskie słowo).

Dziś kładzie się nacisk na innego rodzaju „umartwienia”. Nie twierdzę, że żywieniowe przepisy są bez ascetycznych wartości, jednak mogą się okazać odłożoną pokusą, by potem sobie w dziedzinie jadła pofolgować. Na pewno Wielki Post jest zaproszeniem do refleksji nad tym, jaki jestem. Refleksji krytycznej, pogodzenia z wymaganiami. Myślę, że to się zmienia z etapami życia. Inna jest w przypadku dziecka, inna u człowieka aktywnego zawodowo, jeszcze inna u starca czy chorego. Cała wielka tradycja wielkopostna taka właśnie jest. Oczywiście, można ją pomijać, żyć, jak się żyło. Wielki Post jest stosunkowo długi, pozwala na doświadczenia, dopuszcza późny start. Można go też po prostu nie zauważać.

Nade wszystko warto w tym czasie – pomyśleć o własnej śmierci. Zwłaszcza jeśli nic nie wskazuje na jej szczególną bliskość. Wierzący myślą o śmierci Chrystusa, a ponieważ ten czas jest przed Wielkanocą, myślą i o Zmartwychwstaniu. Nie wiem, co myślą o życiu po życiu, nie wątpię jednak, że jest to myślenie trudne. Trudno myśleć o czymś, czego się nie doświadczyło. Sygnały z „tamtego świata” są przecież dość nieliczne. Pozostaje wiara, ta zaś w miarę lat życia się zmienia. Obrazy

bledną, coraz bardziej pozostaje ona sama. Wspierana – jak ufam – przez Pana Boga.

Co roku rekolekcje, wielkopostne nabożeństwa itd. są tylko propozycją. Rekolekcje bywają znakomite, ale nie wszystkie i nie zawsze. Spowiedzi wielkanocne bywają obrzędkiem, wychodzącym zresztą z użycia. Te kolejki, zdawkowość księży w obłożonych konfesjonalach, formułki zamiast rzeczywistej rozmowy... Kolejki do nas to już (prawie wszędzie) przeszłość. A przecież jest w człowieku i tęsknota za rozmową, i potrzeba odpuszczenia grzechów, nie mówiąc o wątpliwościach i pytaniach.

Jak wiele innych spraw, Wielki Post w Kościele katolickim się zmienia. Jak wiele innych rzeczywistości, ta zmienia się powoli, lecz nieustannie. Wielki Post – zapewne ludziom potrzebny – także zmienia się na tyle, by odpowiedzieć na rzeczywiste, aktualne potrzeby. Ogłaszane zmiany często są uznaniem tego, co w rzeczywistości już i tak nastąpiło. Nie chodzi o to, by wyrzucać wszystko, co stare, ale by odpowiedzieć na to, co rzeczywiście jest potrzebne i żywe.

Czy zauważamy te zmiany czy nie, mamy teraz Wielki Post 2025. Czas niosący propozycję dla wierzących. Czas rekolekcji, spowiedzi, ale nade wszystko czas określenia swojego miejsca. Ogólne wezwania mogą przełożyć na język wezwań osobistych. Oczywiście mogą ich (jeszcze raz) nie przekładać i najwyżej śledzić, jak wszystko to działa. Żyjemy w dobie kryzysu starych, duszpasterskich poczynań, ale Pan Bóg nie przechodzi kryzysów. Wielki Post zaprasza do próby stanięcia przed Nim w naszej prawdzie. Co z tego wyniknie? To sprawa nie moja, ale Pana Boga i każdego wolnego człowieka. © P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”



TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

MACIEJ MÜLLER

Lekarze w całym kraju raportują gwałtowny wzrost zachorowań na choroby weneryczne

ZBIGNIEW NOSOWSKI

kolejna rozmowa na Wielki Post: o poszukiwaniu Boga, wierze codzienności i duchowości walki

MICHAŁ OKOŃSKI

Prawdziwy futbol i prawdziwe życie można jeszcze znaleźć na meczu siódmej ligi angielskiej

Dzisiaj, gdy Donald Trump znów jest głównym i negatywnym bohaterem numeru, przypomina się reportaż naszej korespondentki Antoniny Palarczyk, która tuż przed inauguracją jego prezydentury pytała Ukraińców, czego się po niej spodziewają. „Na pewno zacznie się od tego, że będzie mniej dostaw broni” – powiedziała dziennikarce kobieta na bazarze w mieście Konstantynówka w obwodzie donieckim. „Trump powiedział, że tę wojnę może zakończyć w dobre” – mówiła kobieta z drwiną.

Scenariusz, który był do przewidzenia, a którego najczarniejszą wersję wielu przewidywało, właśnie się spełnia. Choć trudno uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Tutaj „nie ma i nie było teatru – pisze o słowach i działaniach Trumpa **OLAF OSICA**. – Po 20 stycznia byliśmy świadkami kolejnych wydarzeń, w które nie potrafiliśmy uwierzyć, a więc uznawaliśmy, że oglądamy odcinki reality show (te zaś, jak wiemy, mimo nazwy są mocno reżyserowane). Tymczasem to nie był żaden show, lecz rzeczywistość”.

O tym, jakie mogą być konsekwencje tego, co stało się w Białym Domu podczas spotkania prezydenta Ukrainy z Trupem i jego zastępcą J.D. Vance’em, a także, jak w tym nowym rozdaniu odnajdzie się Polska i co to oznacza dla Europy – piszemy w tym numerze.

„Jaki miałby być finalny cel tej gry oraz jaką strategię powinien przyjąć kraj graniczący bezpośrednio z Rosją? Czy Ukraińcy w ogóle chcą naszego zaangażowania (z rozmów w Kijowie wynika, że niekoniecznie)? Co możemy w tej grze zaoferować, pamiętając o częściowo rozbieżnych interesach Warszawy i Kijowa?” – pyta **ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ**.

Natomiast **WOJCIECH PIĘCIAK** wraca na Ukrainę i opisuje, w jaki sposób poprzedni prezydent Stanów, Joe Biden – przez Ukraińców nazywany czule „Bajdenko” – w pewnym sensie przewidział przyszłość. I jak przygotował Ukrainę na pierwsze miesiące pod prezydenturą Trumpa. Tylko na jak długo wystarczy sprzętu, o który zatroszczył się Biden, tego nie wie nikt.

PS. Oddajemy Państwu numer „Tygodnika” z nowym układem felietonów i działów, dobrej lektury! ©©

ANNA GOC,
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu” oraz „Głuszy”, za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak.



26 Żyjemy zwyczajnie

ROZMOWA Z KRYSZTYNĄ GUT, MAMĄ PIĘCIORGĄ DZIECI:

Niepełnosprawne dzieci mogą być jeszcze uznawane za słodkie, ale nie oszukujmy się: nikt nie chce oglądać, jak przewija się niepełnosprawne dziecko na stacji benzynowej.

ROZMOWA
NA WIELKI
POST



46 Życie bez rozproszeń

ROZMOWA Z BARTŁOMIEJEM TOPĄ, AKTOREM:

Uczymy się o długości rzek i głębokości jezior, a nie mamy pojęcia, jakie w nas zachodzą procesy. A przecież jeśli będziemy umieć nazywać emocje, będziemy łatwiej budować relacje.



64 Szkoła latania

ROZMOWA Z BARTOSZEM „FISZEM” WAGLEWSKIM, MUZYKIEM:

Wreszcie nagraliśmy optymistyczny utwór o tym, że jest „fajny dzień, łagodny jak maj” i ten dzień sprawia, że „czujesz, jakbyś się na nowo narodził”. Ale niełatwo dzisiaj opowiadać o rzeczach przyjemnych.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Syndrom Mińska
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ**8-11 Komentarze
i informacje**

■ ■ KRAJ

**16 Miłość od drugiego
wejścia**
PAWEŁ MUSIAŁEK: *Prawica
widzi w Trumpie sojusznika
w walce z liberalnymi elitami
i jej część może akceptować
nawet deal z Putinem***19 Klub pijanego posła**
PIOTR ŚMIŁOWICZ:
*Parlamentarzyści znani
są z przekraczania granic,
nieдоступnych dla zwykłych
obywateli***22 Co zabiło pana Kanapkę**
MAREK RABJ: *o polskim
fenomenie diety pudełkowej*

■ ■ ROZMOWA

26 Żyjemy zwyczajnie
ROZMOWA Z KRYSZKĄ GUT

■ ■ ŚWIAT

32 Przewrót kopernikański
ANNA KWIATKOWSKA:
*Zmiana władzy w Berlinie
zbiega się z końcem dawnych
więzi między Stanami a Europą.
Co to oznacza dla Niemiec
i relacji z Polską?***35 Polska może wyprzedzić
Niemcy**
ROZMOWA Z WOLFGANGIEM
MÜNCHAU, autorem książki
„Kaput. Koniec niemieckiego
cudu gospodarczego”**38 Monachium wczoraj i dziś**
MARTYNA WASIUTA: *Jeśli
Andrej Babiś wróci, solidarność
z Ukrainą będzie wystawiona
na próbę***39 Serce Walentyny**
JACEK TARAN Z JAMPOLA
W UKRAINIE

TEMAT TYGODNIKA

**12 Szok z konsekwencjami**

OLAF OSICA

Jesteśmy wciąż daleko od pokoju w Ukrainie, za to bliżej prawdy o naturze zmiany, która dokonuje się za sprawą nowej amerykańskiej administracji. Co teraz?

14 „Będziemy walczyć”

WOJCIECH PIĘCIAK ZE LWOWA

W chaosie, jaki zapanował w świecie Zachodu, jedno pozostaje niezmiennie: nawet jeśli Trump wstrzyma pomoc, Ukraińcy będą się nadal bronić.

■ FELITONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ **25** OLGA DRENDĄ**30** STANISŁAW MANCEWICZ**43** WOJCIECH BONOWICZ **76** PAWEŁ BRAVO**82** TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:

WOŁODYMYR ZEŁEŃSKI / LONDYN, 2024 R.

FOT.: HENRY NICHOLLS / AFP / EAST NEWS

41 Weekendowe ultimatumMARTA ZDZIEBORSKA: *Trump
z pomocą Muska zarzynają
administrację federalną USA*

■ ■ WIARA

46 Życie bez rozproszeń
ROZMOWA Z BARTŁOJEM
TOPĄ**50 Wielkopostna równowaga**
PIOTR SIKORA na Wielki Post**52 Świadkowie krzywdy
Kościoła**
ANNA GOC: *Osoby skrzywdzone
seksualnie przez księży chcą zmian
w prawie kanonicznym***55 Czytania**
ABP GRZEGORZ RYŚ
O. WACŁAW OSZAJCA

■ ■ HISTORIA

56 Końce świata
ZIEMOWIT SZCZEREK:
Jaki świat nadejdzie po Trumpie

■ ■ NAUKA

60 Co tak mruga
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Czy
błyski radiowe nie są świadectwem
istnienia obcych cywilizacji*

■ ■ KULTURA

64 Szkoła latania
ROZMOWA Z BARTOSZEM
„FISZEM” WAGLEWSKIM**68 Nowy układ warszawski
w teatrze**
DARIUSZ KOŚCIŃSKI**71 Pirat jest w nas**
MICHAŁ WALKIEWICZ:
*Znowu kradniemy filmy***74 Księgi danych ukrytych**
MONIKA OCHĘDOWSKA
*o problemach polskich wydawców***75 Zapomniany pamiętnik**
LEKTOR o „Pamiętniku z getta
w Krakowie” Haliny Nelken

■ ■ ZMYŚŁY

78 Inna kraina Oz
ANITA PIOTROWSKA po Oscarach

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ...
... PROSTO DO SWOJEJ SKRZYŃKI

STR.

83**Zapisz się na newsletter**
POWSZECH.NET/NEWSLETTER**Słuchaj podcastów**
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

SYNDROM MIŃSKA

PO SPOTKANIU Z LIDERAMI EUROPEJSKIMI, które w połowie lutego zorganizował w Paryżu Emmanuel Macron, Donald Tusk komunikował się ze światem przy pomocy pustosłowia, ewentualnie zasłaniał koniecznością dochowania tajemnicy. Dowiedzieliśmy się tylko tyle, że „potrzebna jest jak najbliższa współpraca wszystkich uczestników”.

Kolejne spotkanie zorganizowane przez Macrona odbyło się już bez udziału Tuska, czyli premiera kraju, który w styczniu objął prezydenturę w Unii Europejskiej. Szefa naszego rządu, ale też prezydenta Andrzeja Dudy, nie było również w Kijowie podczas obchodów rocznicy wybuchu pełnoskalowej wojny.

Nasi decydenci próbują dotrwać do wyborów prezydenckich bez jednoznacznych zobowiązań w kwestii Ukrainy. I wrócić do gry tuż po nich.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

POWYŻEJ:

Premier Polski wśród sojuszników. Przywódcy krajów Unii, Ukrainy, Wielkiej Brytanii i Kanady podczas spotkania w Londynie, 2 marca 2025 r.

PÓŹNIEJ STAŁO SIĘ COŚ, czego nikt nie mógł przewidzieć. W Białym Domu, na oczach milionów widzów, doszło do kłótni między Wołodymyrem Zełenskim a Donaldem Trumpem i J.D. Vance’em. Umowa o minerałach, której treść Ukraińcom udało się rozwodzić i która nie była już tak groźna jak w pierwotnej wersji, przywiezionej do Kijowa przez amerykańskiego sekretarza skarbu Scotta Bessenta – trafiła do szuflady. Zełenski został upokorzony i wyrzucony z Białego Domu. Zdążył się jeszcze minąć z kelnerami, którzy wnosili na salę szampana i przekąski, którymi miano uczcić jego nowe otwarcie z Trumpem. Zamiast tego był rajd na lotnisko i wylot do Londynu na spo-

tkanie z Keirem Starmerem, który wszedł w rolę doradcy, mediatora i nowego patrona, oferującego na powitanie pożyczkę w wysokości 2,26 mld funtów.

W międzyczasie z Zeńskim zdążyli się zsolidaryzować najważniejsi politycy europejscy. Gdy jednak trzeba było deklaratować konkrety, zostały głównie słowa. W niedzielę do Londynu zjechali europejscy przywódcy plus przedstawiciele Kanady i Turcji (w której cały czas trwają rozmowy amerykańsko-rosyjskie). Był też premier Donald Tusk. Przewodniczący pracom UE szef polskiego rządu znów przekonywał, że Europa się obudziła i teraz „musi mówić jednym głosem”. Gdy jednak padło pytanie o wykorzystanie na rzecz Ukrainy zamrożonych w Europie 300 mld euro należących do Rosji, Tusk przyznał, że jedności nie ma, bo niektórzy obawiają się „negatywnych konsekwencji takiego działania”.

POLSKI PREMIER nie brylował w Londynie. W kwestii moskiewskich pieniędzy musiał również przyznać, że Polska ma umiarkowany wpływ na decyzje, bo nie jest w strefie euro, a to na tej walucie odbiłaby się taka decyzja. Nasi dyplomaci nie byli również w stanie przekonująco uzasadnić, dlaczego nie zareagowali, gdy do brytyjskiej stolicy nie zaproszono przywódców państw bałtyckich. Tych samych, co do których zawałał się Trump, gdy zapytano go o zobowiązania sojuszników USA wobec Litwy, Łotwy i Estonii. I tych samych, których w razie ataku Rosji bronić mają przede wszystkim polscy żołnierze.

Zachowawczy i wstrzemięźliwy jest również prezydent Duda, tak przecież aktywny na początku wojny. Jak wynika z naszych informacji, jego najbliżsi doradcy zalecają mu, by nie narażał się Trumpowi, zaznaczał dystans wobec Zeńskiego, i publicznie namawiał do powrotu do stołu negocjacyjnego.

Zarówno rząd, jak i Pałac starają się nie wychodzić przed szereg, więc powtarzają zdania, które nie budzą kontrowersji. Ze strony ludzi prezydenta jeszcze przed incydentem waszyngtońskim płynęły sygnały, że jeśli Polska miałaby cokolwiek zrobić na rzecz Ukrainy, to najpierw musi o to poprosić sam Zeński. Ten jednak traktuje Warszawę – a w zasadzie Rzeszów – jak przystanek przesiadkowy. Nie widzi w nas sprawcy ani nie czuje, że możemy mu dać jakiegokolwiek pieniądze albo żołnierzy gwarantujących bezpieczeństwo po ewentualnym podpisaniu rozejmu.

NASZA PREZYDENCJA, która miała być mostem w rozmowach z Ukrainą, została całkowicie przyćmiona pędzącymi wydarzeniami. Na dodatek Andrzej Duda za chwilę wyprowadzi się z Pałacu i właściwie jedyną osobą, która będzie patrzeć dalej niż reszta naszych polityków, pozostanie Radosław Sikorski. Chociaż i on w ostatnich dniach raczej obserwuje sytuację i się nie wychyla, a przecież jeszcze niedawno, podczas konwencji amerykańskich konserwatystów, robił szum wokół prezentowanego tam irańskiego drona.

Z Sikorskim w Stanach był wiceminister koordynator służb specjalnych i był szef wywiadu wojskowego gen. Radosław Kujawa oraz szef Agencji Wywiadu pułkownik Paweł Szota, którzy spotkali się z Mikiem Waltzem, doradcą Trumpa ds. bezpieczeństwa. I tamto spotkanie można uznać za najbardziej treściwe, jeśli chodzi o budowanie relacji z nową administracją.

Bilans aktywności dyplomatycznej Polski – po zimnym prysznicy, jaki zafundował Europie Trump, rozpoczynając w Rijadzie reset z Moskwą i sygnalizując po kłótni z Zeńskim możliwy koniec wspierania Kijowa – jest jednak co najmniej umiarkowany. Zwłaszcza jak na kraj, który chce tworzyć oś Szwecja-Polska-Turcja, stanowiącą mur przeciw Rosji na fłancie między Bałtykiem a Morzem Czarnym, gdzie Warszawa ma być centralnym punktem.

W kontekście możliwego drugiego rozbioru Ukrainy (pierwszy miał miejsce w 2014 r.) ponad głowami Europy – o wiele silniej wybrzmiewa przywództwo najsilniejszych na naszym kontynencie: dysponujące bronią atomową Francja i Wielka Brytania zaczynają grać samodzielnie, dopraszając w zależności od własnych potrzeb partnerów z poszczególnych krajów.

SAMA POLSKA nie ma w tym kontekście zbyt wiele do zaoferowania. Wykluczyła na dzień dobry udział w misji, co podbił w niedawnej rozmowie z RMF FM ambasador Ukrainy Wasyl Bodnar. Stwierdził on, że w zasadzie nikt w Kijowie nie nalegał i nie nalega, aby polski kontyngent nad Dnieprem w ogóle się pojawił. A skoro tak, to przynajmniej na tym etapie rozgrywki musimy zdać sobie sprawę, że będziemy mieli mniejszy potencjał. Aż do momentu, w którym upadnie w Europie koncepcja misji stabilizacyjnej albo zostanie odrzucona, ewentualnie rozmyta przez Rosję – np. żądaniami, by zagraniczne wojska stacjonowały tylko w miastach oddalonych od linii demarkacyjnej (tego zresztą chcą sami

Europejczycy), a kontyngent był mały. Albo żaden.

Z rozmów w formule *off the record* z przedstawicielami polskich władz odpowiedzialnymi za nasze bezpieczeństwo można wywnioskować, że próbują oni dotrwać bez jednoznacznych zobowiązań w kwestii Ukrainy aż do wyborów prezydenckich. I wrócić do poważnej dyskusji z europejskimi liderami tuż po nich. Zarazem daje się u nich odczuć traumę, będącą efektem tzw. procesu mińskiego, czyli rozmów o rozejmie, prowadzonych z Rosją przez Ukrainę, Francję i Niemcy – z rolą Aleksandra Łukaszenki jako mediatora. W ich trakcie drugi rząd PO był oskarżany przez PiS o brak aktywności i „wypadnięcie z gry o bezpieczeństwo Polski”. Po objęciu władzy przez Zjednoczoną Prawicę naszemu państwu nie udało się jednak wejść do wąskiego grona decydentów. Dziś znowu „wypadnięcie z gry” jest pałką w krajowej grze politycznej.

TYMCZASEM NEGOCJACJE w procesie mińskim od początku były traktowane przez Rosję jak rodzaj budowy korytarza do wojny na dużą skalę. Wielu moich rozmówców uważa, że nie tylko w 2014 r., ale również dziś Rosjanie angażują się w rozmowy z USA nie po to, by osiągnąć pokój, tylko by złapać oddech. Później Kreml pójdzie dalej – w kierunku Dniepru. W tak zdefiniowanej sytuacji odpowiadanie na ludowe oczekiwanie, by Polska pozostała w grze o Ukrainę, musi zawierać pewne nuanse.

Jaki miałby być finalny cel tej gry oraz jaką strategię powinien przyjąć nasz kraj, graniczący bezpośrednio z Rosją? Czy Ukraińcy w ogóle chcą naszego zaangażowania (z rozmów w Kijowie wynika, że niekoniecznie)? Co możemy w tej grze zaoferować, pamiętając o częściowo rozbieżnych interesach Warszawy i Kijowa? Czy warto narażać relacje z USA w sytuacji nieprzewidywalnego zachowania Zeńskiego, który właśnie podważał usilne starania Trumpa, by wywalczyć rozejm za wszelką cenę? Jaką rolę odegrać, gdy USA odetną pomoc wojсковą i finansową dla Kijowa?

Jeśli przyszłe negocjacje miałyby oznaczać przyjęcie gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy, to warto już dziś myśleć o tym, jaki konkretnie uzysk chce mieć z tego Polska. Oprócz powtarzania jak mantry – słusznej skądinąd – tezy, że niepodległa i suwerenna Ukraina jest w interesie naszego kraju. ©

Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej”, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.



Kłopoty byłego premiera

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PRZESŁUCHANIE BYŁEGO PREMIERA w charakterze podejrzanego to wyjątkowe zdarzenie. Mateusz Morawiecki musi po raz pierwszy skonfrontować się z zarzutami prokuratorskimi i na prawdę grozi mu za podejmowanie decyzje więzienie.

Chodzi oczywiście o naruszenia prawa przy organizacji tzw. wyborów kopertowych. Faktem jest, że wiosną 2020 r., po wybuchu pandemii, sytuacja była wyjątkowa. Jednak w takich warunkach konstytucja przewiduje proste rozwiązanie – ogłoszenie stanu nadzwyczajnego, którego skutkiem jest m.in. konieczność przełożenia wyborów, a na to rządzący wtedy PiS nie chciał się zdecydować z powodów czysto politycznych.

Ale każde alternatywne postępowanie oznaczało w istniejących warunkach naruszenie prawa. Morawiecki jako premier zgodził się je firmować i teraz musi za to odpowiedzieć. Inaczej zachował się ówczesny wicepremier Jarosław Gowin, który odmówił poparcia dla wyborów kopertowych, wymuszając w ten sposób poszukiwanie kompromisowego rozwiązania. Które znaleziono i dzięki temu wynik wyborów nie był kwestionowany.

Dziś jednak od konsekwencji prawnych dla samego Morawieckiego

kiego ciekawsze mogą być ich skutki polityczne. Były premier traci obecnie punkty w wewnątrzpisowskiej rywalizacji o schedę po Jarosławie Kaczyńskim. Tym bardziej że na jego ludziach ciąży jeszcze inne, poważniejsze zarzuty – o malwersacje związane z działalnością Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Perspektywa utraty wpływów w PiS może spowodować, że Morawiecki zacznie szukać jakiejś politycznej alternatywy. Np. możliwości dokonania rozłamu w PiS i szukania politycznego porozumienia z PSL. By kiedyś, gdyby np. notowania obecnego rządu zaczęły szorować po dnie, znaleźć się w wygodnej pozycji do tworzenia nowego układu – w roli łącznika między PSL, częścią PiS i Konfederacją.

Stałoby się to realne zwłaszcza wtedy, gdyby do drugiej tury wraz z Trzaskowskim wszedł Sławomir Mentzen, a nie Karol Nawrocki. Dziś, mimo coraz lepszych wyników sondażowych kandydata Konfederacji, wydaje się to wciąż mało prawdopodobne. Jednak już sam kiepski wynik Nawrockiego w drugiej turze może doprowadzić do podważenia przywództwa Jarosława Kaczyńskiego i dekompozycji PiS. ©®

Mateusz Morawiecki po przesłuchaniu w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie. 27 lutego 2025 r.



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS



Idzie pobór

MAREK RABI

PAŃSTWO POLSKIE NIE PRZYWRÓCIŁO ZAWIESZONEJ blisko 20 lat temu zasadniczej służby wojskowej. Prawdą jest i to, że rząd ustami szefa resortu obrony zapewnia, że nie ma takich planów. Dlaczego więc piszemy, że powrót poboru wydaje się w Polsce tylko kwestią czasu, do tego raczej krótszego niż dłuższego? Dlatego, że polska polityka obronna dąży do zwiększenia potencjału odstraszaającego naszej armii. A bez głębokich rezerw osobowych żadna armia nie jest groźna.

1200 mężczyzn, którzy między 2 a 4 grudnia 2008 r. przekroczyli bramy koszar jako ostatni poborowi w historii Wojska Polskiego, ma dziś co najmniej 35 lat.

Ich poprzednicy – generacja, która na masową skalę posmakowała koszarowego życia – zbliżają się do wieku emerytalnego i jako rezerwiści stanowią dla polskiej armii zasoby kadrowe o znikomej wartości. Jeżeli wojsko, właśnie dozbrajane na bezprecedensową skalę wysiłkiem całego społeczeństwa, ma za kilka lat stanowić siłę, która naprawdę może zniechęcić Rosję do agresji, musi szybko przeszkolić tysiące młodych Polaków.

Na razie jesteśmy świadkami czegoś w rodzaju „miękkiego poboru”. Wojsko zaprasza do odbycia dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej, kusząc karierą w mundurze, ale efekty tej strategii są umiarkowanie zadowalające. Ruszyły także szkolenia dla „aktywnej rezerwy”, osób, które już odbyły służbę w wojsku i nie skończyły 55 lat. Ale to nadal mało. Polska chce mieć docelowo trzystutysięczną armię, której trzon stanowić ma 187 tys. żołnierzy zawodowych. Dokładnych planów rozwinięcia mobilizacyjnego Sztab Generalny oczywiście nie ujawnia, ale doświadczenia z Ukrainy pokazują, że na wypadek pełnoskalowej wojny Polska powinna mieć w aktywnej rezerwie około pół miliona osób.

Bez przywrócenia zasadniczej służby wojskowej, choćby w najbardziej okrojonej formule, Wojsko Polskie nie zbuduje takiego zaplecza. W roku wyborczym nie powie tego żaden polityk, ale wojskowi coraz częściej i głośniej podnoszą nieuchronność takiej decyzji. Niedawno mówił o tym w wywiadzie były zastępca szefa Sztabu Generalnego gen. Leon Komornicki. Armia szuka też sposobów, by skrócić obywatelom drogę do siebie. Pobór może więc wrócić także w wydaniu bardziej hybrydowym, czyli np. obowiązkowych szkoleń wojskowych w weekendy. ©®

NA PUNKTY

KONWENCJA

Historyk Andrzej Nowak, publicysta Rafał Ziemkiewicz, związkowiec Piotr Duda oraz Marta Kaczyńska i sam kandydat przemawiali na konwencji wyborczej Karola Nawrockiego. Jarosław Kaczyński zabrał głos po Nawrockim: powiedział, że nie będzie wygłaszał przemówienia, ale podkreślił, że „to jest nasz kandydat, innego nie ma”.

KANDYDACI

Komentarz Kaczyńskiego może mieć związek z niemilknącymi spekulacjami na temat wymiany kandydata PiS: ostatni sondaż SW Research dla „Wprost” wskazuje, że większym poparciem zaczyna się obecnie cieszyć Sławomir Mentzen z Konfederacji (18,9 proc., gdy Nawrocki – 16,5; liderem stawki jest Rafał Trzaskowski – 33,6 proc.). Na razie Nawrocki podróżuje po Polsce.

KOMENDANT

À propos podróży: wracający ze Sri Lanki były komendant główny policji został zatrzymany przez CBA i aresztowany na 3 miesiące pod zarzutem popełnienia przestępstw skarbowych, gospodarczych oraz wpływania na przebieg i utrudniania śledztw. Zbigniew M. kierował policją w 2016 r., grozi mu 15 lat więzienia. ©



PIOTR OLEKSY

Zarzuty wobec faworyta wyborów

RUMUŃSKA PROKURATURA POSTAWIŁA zarzuty Călinowi Georgescu (na zdjęciu). Zwycięzca pierwszej tury wyborów prezydenckich, następnie anulowanych, oskarżony jest o składanie fałszywych oświadczeń w sprawie finansowania swej kampanii, wspieranie organizacji faszystowskich i podżeganie do działań przeciw porządkowi konstytucyjnemu. Możliwe, że kolejnym krokiem będzie uniemożliwienie mu startu w powtórzonych wyborach, które zaplanowano na maj. To może doprowadzić do protestów społecznych i kryzysu w relacjach z USA.

Choć Georgescu wygrał pierwszą turę, która odbyła się 24 listopada 2024 r., w przededniu drugiej Sąd Konstytucyjny unieważnił cały proces wyborczy, powołując się na raport służb bezpieczeństwa, który wskazywał na zewnętrzną ingerencję w wybory przez manipulacje widocznością na portalach społecznościowych. Georgescu jest nacjonalistą i radykalnym konserwatystą. Połajanki wobec elity politycznej łączy z dystansem wobec NATO oraz krytyką UE i Ukrainy, którą nazywa „fikcyjnym państwem”, wyrażając przy tym pretensje terytorialne.



Sondaże wskazują dziś, że w pierwszej turze majowych wyborów Georgescu mógłby zdobyć ok. 40 proc. głosów i że miałby też największe szanse na zwycięstwo w dogrywce. W sobotę 22 lutego w Bukareszcie tysiące ludzi manifestowały poparcie dla nowego idola politycznego. Okazuje się bowiem, że działania

proeuropejskiej koalicji rządzącej w ostatnich miesiącach tylko wzmacniały pozycję Georgescu. Nie udało się przekonująco uzasadnić anulowania wyborów, kontrowersje budziło też przedłużenie urzędowania prezydenta Klausa Iohannisa (pod presją krytyki w końcu ustąpił z urzędu 10 lutego). Nowy kandydat obozu władzy na urząd głowy państwa nie przekonuje, że elita poważnie myśli o reformach i walce z korupcją.

Wsparcie dla Georgescu idzie też zza oceanu. Wiceprezydent J.D. Vance kilkakrotnie krytykował rumuński wymiar sprawiedliwości za anulowanie wyborów, a wtórował mu Elon Musk. Agencja Bloomberg informuje, że Waszyngton zakulisowo naciska na Bukareszt, by nie zabraniano Georgescu startu w majowych wyborach. ©



Watykan chroni domniemanych sprawców

ARTUR SPORNIK

WATYKAN ZABRONIŁ PUBLIKACJI nazwisk domniemanych przestępców seksualnych, o ile nie udowodniono im winy. Dotyczy to zwłaszcza osób zmarłych, którzy za życia nie zostali skazani prawomocnym wyrokiem. Opublikowana niedawno odpowiedź Dykasterii Tekstów Prawnych na pytanie nieujawnionego z nazwiska biskupa odwołuje się do kanonu 220 Kodeksu Prawa Kanonicznego, stwierdzającego, że „nikomu nie wolno bez-

prawnie naruszać dobrego imienia, które posiada inna osoba”, na punkty Katechizmu Kościoła Katolickiego odnoszące się do zniesławienia i oszczerstwa (2477-2479), a przede wszystkim na prawne zasady domniemania niewinności i niedziałania prawa wstecz. Jedyny wyjątek, zdaniem Dykasterii, odnosi się do sytuacji, kiedy podejrzewany ksiądz może wciąż zagrazać dzieciom (co oczywiście nie dotyczy duchownych zmarłych).

W terapii wielu osób skrzywdzonych ważne jest, by Kościół publicznie ujawnił nazwiska ich krzywdzicieli. Skutki seksualnego wykorzystania mogą przetrwać śmierć sprawcy. Ujawnienie danych może zmobilizować inne ofiary do zgłoszenia się po pomoc. Czy list Dykasterii bierze to pod uwagę?

Podpisany pod listem prefekt abp Filippo Iannone na pewno zna te argumenty, gdyż właśnie na nie powołał się w październiku 2023 r. biskup Akwizgra-

nu, kiedy ogłaszał nazwiska 45 nieżyjących domniemanych sprawców przestępstw seksualnych. Ogłoszenie tej listy wywołało dyskusję wśród kanonistów. Tymczasem w liście Dykasterii czytamy: „Nie wydaje się dopuszczalne uzasadnianie publikacji takich wiadomości rzekomymi względami przejrzystości lub zadośćuczynienia”, a także „ogólnym prawem do informacji”.

Po raz kolejny elementarna sprawiedliwość wobec ofiar ustępuje przed sztywnymi zasadami kościelnymi. Pytanie, czy decyzja Watykanu nie zablokuje w ogóle pracy komisji historycznych badających przestępstwa w Kościele. ©

Papież wciąż rządzi

WATYKAN ■ Stan zdrowia papieża Franciszka wciąż jest poważny, choć – jak zapewniają lekarze – bez bezpośredniego zagrożenia życia. W ubiegłym tygodniu doszło i do pogorszenia (atak skurczów oskrzelowych, który wymagał zastosowania mechanicznego, ale nie inwazyjnego wspomagania wentylacji płuc), i do niewielkiej poprawy (ustąpienie niewydolności nerek, unormowanie się parametrów hemodynamicznych). Rokowania są więc niepewne.

Kto rządzi Kościołem podczas poważnej choroby papieża? Wiele osób pamięta, jak w ostatnich latach pontyfikatu Jana Pawła II dokumenty w jego imieniu podpisywał abp Stanisław Dziwisz, osobisty sekretarz (miał do tego prawo jako protonotariusz de numero). Franciszek całkowicie zmarginalizował rolę swych sekretarzy. I – jak wszystko wskazuje – nadal sam podejmuje decyzje.

Mimo choroby papież czyta dostarczane mu dokumenty i podpisuje je. Zatwierdza nominacje biskupie czy na ważne stanowiska w Watykanie. Spotkał się z sekretarzem stanu i jego zastępcą (wizyta miała roboczy charakter). Codziennie – tak



Podczas audyencji w Watykanie, 3 lutego 2025 r.

jak przed szpitalem – dzwoni do zaprzyjaźnionej proboszcza ze Strefy Gazy z wyrazami wsparcia. I zwołał konsystorz zwyczajny (nie wyznaczając jego daty), co wzbudziło szczególne emocje.

Dwanaście lat temu na takim właśnie konsystorzu (spotkaniu kardynałów pracujących w kurii i przebywających w Rzymie) Benedykt XVI ogłosił decyzję o swojej dymisji. Pojawiły się więc spekulacje, że Franciszek zamierza iść w jego ślady. Co oczywiście jest możliwe. Choć bardziej prawdopodobne, że papież myśli już o powrocie do normalnej pracy. Konsystorze zwyczajne to watykańska rutyna: Franciszek zwoływał je ponad dwadzieścia razy, czy to w celu ogłoszenia dekretów o kanonizacji, jak w tym przypadku, czy wręczania nominacji kardynalskich.

Papież, który na urlopie był 50 lat temu, do kliniki Gemelli trafił wprost z audyencji, a na szpitalnym łóżku czyta i podpisuje dokumenty, jest pracowolikiem, co zresztą sam kiedyś przyznał. Tacy ludzie nie myślą o emeryturze, tylko o pracy. Do samego końca.

© P EDWARD AUGUSTYN

MATERIAŁ PRASOWE ZNP



**MAGDALENA KASZULANIS,
RZECZNIK ZNP:**

*Ten wyrok to koniec
pracy nauczycieli
na wycieczkach za darmo*

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Sąd Najwyższy wydał orzeczenie
w sprawie nauczycielskich
godzin nadliczbowych. To wyrok
przełomowy?

MAGDALENA KASZULANIS: Bez wątplenia. SN orzekł, że przekroczenie wyznaczonych przez Kartę Nauczyciela 40 godzin pracy w tygodniu oznacza nadgodziny w rozumieniu Kodeksu pracy, a zatem wymaga wypłacenia dodatkowego wynagrodzenia. Wcześniej tylko pojedynczym nauczycielom udawało się wywalczyć takie rozstrzygnięcia w sądach rejonowych, ale nigdy w tej sprawie nie zapadła decyzja na takim szczeblu.

Ta historia zaczęła się trzynastie lat temu na zebraniu ZNP w Gryficach.

Kilka nauczycielek zwróciło wtedy uwagę, że nie dostają pieniędzy za obsługę zagranicznego wyjazdu uczniów: za spotkania, telefony, czasochłonną koordynację wycieczki. Sprawa znalazła finał w sądzie, a jedna z nauczycielek – anglistka – wytrzymała w tym postępowaniu do końca, czyli do wyroku Sądu Najwyższego. To jej sukces, sukces ZNP, który prowadził sprawę od strony prawnej, ale też powód do świętowania dla całego środowiska nauczycielskiego w Polsce.

Co to dla nich oznacza w praktyce?

Ci, którzy pracują na Kartę Nauczyciela, a więc ok. 80 proc. polskiej kadry pedagogicznej, czyli mniej więcej pół miliona osób, może ubiegać się o dodatkowe pieniądze od samorządów. Chodzi głównie o pracę na szkolnych wycieczkach, tzw. zielonych szkołach, i w trakcie odbywających się zwykle w weekendy imprez albo zawodów sportowych.

Do tej pory nauczyciel wyjeżdżał na tydzień, dwa, pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę, i nie tylko nie uzyskiwał za to ekwiwalentu, ale jeszcze na tym tracił, bo w tym czasie

przepadały mu np. zastępstwa w szkole. Nic dziwnego, że od kilku lat liczba wycieczek szkolnych w Polsce malała: to wielka odpowiedzialność, której dodatkowo towarzyszy finansowa strata! A do szkoły przychodzą coraz młodsze pokolenia nauczycieli – generacje znacznie bardziej świadome swoich praw i coraz mniej skłonne, by godzić się na wykorzystywanie przez pracodawcę.

Co teraz?

Mamy nadzieję, że już od dziś samorządy zaczną postępować zgodnie z prawem, czyli wypłacać dodatkowe wynagrodzenia. W praktyce oznacza to, że nauczyciel wyjeżdżający na wycieczkę dostaje normalną delegację oraz wyliczenie godzin nadliczbowych.

Pierwsze reakcje samorządów, w które to orzeczenie może rykoszetem trafić, nie napawają optymizmem.

To prawda: komentarze przedstawicieli władz lokalnych, jakie do tej pory słyszałam, były bardzo negatywne, włącznie z nieuprawnionymi twierdzeniami, że mamy do czynienia z „kolejnymi roszczeniami środowiska nauczycielskiego”. Samorządowcy zapowiadają też, że teraz będą się domagać od rządu dodatkowych funduszy.

To akurat logiczne.

Biorąc pod uwagę, że mamy ponad pół miliona nauczycieli, skala dodatkowych funduszy potrzebnych do pokrycia nadliczbowych wynagrodzeń może być spora, choć na pewno nie idąca w miliardy, a w miliony. Rząd nie powinien jednak być tą sytuacją zaskoczony – rozmawiamy przecież na ten temat od dawna. I z ministrem Przemysławem Czarńskim, i z Barbarą Nowacką. Bezskutecznie. Wyrok Sądu Najwyższego powinien to zmienić.

© P Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Inżynierowie ekosystemów. Jak zwierzęta zmieniają świat

EKOLOGIA ■ Geolodzy spierają się, czy ludzie – poprzez budowę miast, emisję zanieczyszczeń, rolnictwo, wydobywanie surowców czy wyniszczanie innych gatunków – zostawiają na powierzchni planety tak silny ślad, by można ogłosić nową epokę geologiczną: antropocen.

Bez względu na te dyskusje nie powinniśmy zapominać, że nie jesteśmy jedynym gatunkiem, który odmienia oblicze Ziemi. Od mrówek po słonie na łąkach, od raków po łososie na brzegach rzek – na świecie nie brakuje istot określanych jako „inżynierowie ekosystemów”, którzy pracowicie przegrzyżają się przez glebę, mieszają jej skład, kopią w niej dołki, drążą jamy i tunele, stawiają własne konstrukcje, zmieniają koryta rzek. Jak bardzo pracowicie? Gemma Harvey z Queen Mary University of London i współpracownicy postanowili to zbadać. Ich praca ukazała się w czasopiśmie Amerykańskiej Akademii Nauki.

Badacze najpierw zidentyfikowali 500 gatunków (370 lądowych i 170 słodkowodnych) opisanych w literaturze na-

ukowej owadów, skorupiaków, mięczaków, ryb, pierścienic, płazów, gadów, ptaków i ssaków, których wpływ na środowisko można sklasyfikować jako usuwanie materiału (bioerozja), przekształcanie gleby lub osadów (bioturbacja), wytwarzanie lub gromadzenie materiału (biokonstrukcja), a także redukcja erozji i stabilizacja materiału (bioochrona).

Wśród nich znalazło się pięć gatunków hodowlanych: bydło domowe, jaki, kozy, owce i konie. Następnie badacze oszacowali ich łączną biomasę i przeliczyli ją na ilość energii potrzebną do jej uzyskania. W końcu założyli, że każde z tych zwierząt poświęca skromne 1 proc. swojego budżetu energetycznego na przekształcanie Ziemi (choć niektóre gatunki wydają w ten sposób nawet 40 proc. zasobów energetycznych).

Łączna wartość, jaką uzyskano z tych obliczeń, to 76 tys. gigadżuli. To mnóstwo pracy i energii! Autorzy badania porównują tę wartość z wpływem pół miliona potężnych powodzi lub 200 tys. sezonów monsunowych. Wpływ gatunków hodowlanych, ze względu na ich gigantyczną łączną biomasę, jest nawet tysiącrotnie wyższy.

Część zwierząt, które wzięto pod uwagę w badaniu, jest bliskich wyginięcia. Warto więc było oszacować wartość ich pracy na Ziemi, zanim je utracimy – podkreślają badacze.

© P ŁUKASZ KWIATEK



Polskie AI pomoże w urzędach

CYFRYZACJA ■ AI zamiast urzędnika w okienku? Być może. A przynajmniej jako pomoc w mniej bolesnym załatwianiu spraw urzędowych. Ministerstwo Cyfryzacji zaczyna wdrażać polski wielki model językowy PLLuM.

W ramach kierowanego przez Politechnikę Wrocławską projektu powstał nie jeden, ale cała rodzina modeli AI dla urzędów, biznesu, szkół czy zwykłych użytkowników.

Trenowany na dziesiątkach tysięcy polskojęzycznych tekstów model nie jest tak duży jak budowane kosztem miliardów dolarów ChatGPT czy Gemini, ale za to ma być lepiej od zagranicznych modeli dostosowany do naszego języka i kultury.

„PLLuM to model zaufany, który ma wzmacniać polską suwerenność cyfrową; jeżeli skupimy się tylko na firmach zagranicznych, amerykańskich konsorcjach, to wszyscy będziemy błędzi. Amerykańskie firmy i ich parametry to nie jest ziemia obiecana” – stwierdził wicepremier Krzysztof Gawkowski. W przeciwieństwie do zagranicznych modeli, dane przetwarzane przez PLLuM nigdy nie opuszczają terytorium Polski.

Rozwój PLLuM kosztował do tej pory 14,5 mln zł, resort cyfryzacji przeznaczy teraz kolejnych 19 mln na wdrożenie go w administracji. Jeszcze w tym roku ma powstać na jego podstawie inteligentny asystent wspomagający urzędników np. w przetwarzaniu dokumentów oraz asystent obywatela wbudowany w aplikację mObywatel, który ma pomóc w uzyskiwaniu informacji publicznych. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI,

AGATA KAŻMIERSKA

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



SZOK Z KONSEKWENCJAMI

Po zderzeniu Zełenskiego z Trumpem Europejczycy wiedzą na pewno dwie rzeczy: jesteśmy wciąż daleko od pokoju w Ukrainie, za to bliżej prawdy o naturze zmiany, która dokonuje się za sprawą nowej amerykańskiej administracji. Co teraz?

OLAF OSICA



GDYBYŚMY SPRÓBOWALI ZREKONSTRUOWAĆ taktykę europejskich liderów wobec Donalda Trumpa po tym, jak objął na nowo urząd, to wydaje się, że opiera (opierała?) się na dwóch założeniach.

Pierwsze zakłada (zakładało?), że należy mieć duży dystans do wypowiedzi prezydenta USA, gdyż nie są one realnym wyznacznikiem jego myślenia i działania. Przykładem jego słowa o prezydencie Zełenskim, którego Trump najpierw nazwał dyktatorem, a potem, pytany przez dziennikarza, czy nadal tak uważa, odparł, że nie przypomina sobie, by tak mówił.

Drugie założenie, będące następstwem pierwszego, podpowiada (podpowiadało?), że agresywne komunikaty pod adresem całego świata to element taktyki negocjacyjnej. Inaczej: że Trump udaje szaleńca, by nastraszyć partnerów, a następnie usiąść z nimi do stołu i osiągnąć najlepsze dla siebie porozumienie.

Ilustracją tej taktyki były wizyty w Białym Domu prezydenta Macrona i premiera Starmera. Spokój, danie gospodarzowi przestrzeni do błyszczenia w świetle reflektorów i drobne korekty (broń Boże kwestionowanie słów) – to miało tworzyć płaszczyznę rozmowy. „Prezydent Trump nie potrzebuje porad” – odparł z szelmowskim niemal uśmiechem Macron na pytanie, co doradziłby Trumpowi w kontekście rozmów z Putinem. Bo najważniejsze, jak wiemy, i tak dzieje się za kulisami.

Co się stało w Białym Domu?

I tu dochodzimy do feralnego spotkania Trumpa z Zełenskim w Gabinetie Ovalnym. Prezydent Ukrainy złamał konwencję niewchodzenia w polemikę z Trumpem, wszedł w spór z J.D. Vance'em (jego rola wymaga osobnego omówienia) i tym samym wysadził w powietrze wspomniane wyżej założenia postępowania wobec Trumpa. Spotkanie zakończyło się, jak wiemy, przyspieszonym opuszczeniem Białego Domu przez Zełenskiego.

Spotkanie prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego z prezydentem USA Donaldem Trumpem i wiceprezydentem USA J.D. Vance'em. Gabinet Ovalny w Białym Domu, Waszyngton, 28 lutego 2025 r.

Dla jednych Trump upokorzył Zełenskiego, na którego już wcześniej wywierał ogromną presję w sprawie umowy (a raczej memorandum) o dostępie do metali ziem rzadkich w Ukrainie. Dla innych Zełenski popełnił niewybaczalny błąd, nie panując nad emocjami i konfliktując się z mocarstwem, od którego zależy przyszłość wojny i pokoju w Ukrainie.

Kto ma rację, rozstrzygnie – choć i to nie jest pewne – historia. Natomiast to, co ma dziś znaczenie, to interpretacja konsekwencji tego kryzysu.

Jeśli „trumpowski teatr” jest tylko zaśłoną dla prawdziwej i racjonalnej w naszym rozumieniu polityki, to obaj aktorzy dramatu powinni wrócić do stołu, podać sobie rękę i pracować nad porozumieniem. Jeśli tak się nie stanie, to nie dlatego, że Zełenski „obraził” Trumpa, ale dlatego, że w sposób całkowicie niezamierzony obnażył słabości, a być może fałszywość założeń, które legły u podstaw europejskiej polityki po 20 stycznia.

Mówiąc inaczej: nie ma i nie było teatru. Po 20 stycznia byliśmy świadkami kolejnych wydarzeń, w które nie potrafiliśmy uwierzyć, a więc uznawaliśmy, że oglądamy odcinki *reality show* (te zaś, jak wiemy, mimo nazwy są mocno reżyserowane). Tymczasem to nie był żaden *show*, lecz rzeczywistość.

Która z tych interpretacji jest bliższa prawdzie? Ostateczna odpowiedź wciąż przed nami.

Nic już nie będzie takie samo

Pragmatyzm, ale też odpowiedzialność za obecną sytuację skłaniają do szukania szansy na reset w stosunkach USA i Ukrainy, i do stworzenia sytuacji, w której Zełenski i Trump wracają do rozmów. Za tym opowiedział się m.in. sekretarz generalny NATO.

Niezależnie od tego trzeba jednak myśleć, jak pomóc Ukrainie, i mieć własny pomysł na pokój. To, że czekaliśmy w Europie na Trumpa, zamiast samodzielnie wypracować warunki dla rokowań, jest jednym z największych błędów dyplomacji europejskich. Niedzielne spotkanie w Londynie i kolejne, które zapewne po nim nastąpią, dają nadzieję, że „ofensywny egoizm” Ameryki, o którym pisał w „Tygodniku” (nr 9/2025) Tomasz Stawiszynski, spotka się z równie ofensywnym egoizmem Europy.

Z kolei odpowiedzialność za bezpieczeństwo, dobrobyt i pozycję Europy na świecie wymaga odwagi wyjścia poza obowiązujący schemat, że USA pozostaną wiarygodnym sojusznikiem. Po awanturze w Gabinetie Ovalnym nic już bowiem nie będzie takie samo.

Wojsko USA opuści Europę?

Po pierwsze, nie wiemy, jak daleko jest gotowy pójść Trump, aby odzyskać „swoje” pieniądze wydane na pomoc Ukrainie, a przy okazji zrobić kilka dużych interesów. Na pewno ograniczeniem nie są dla niego ramy obecnego konsensusu w sprawie oceny tego, czym jest Rosja i jakie niesie zagrożenie dla Europy, a także w sprawie oceny samego sojuszu z Europą.

Władimir Putin jest w gruncie rzeczy jedynym, któremu Trump nie tylko oszczędza kąśliwych uwag, ale w którym widzi partnera do poważnej polityki. Upór i asertywność Zełenskiego są dla Trumpa tak irytujące, bo przeszkadzają mu w ogłoszeniu porozumienia z Kremlm w sprawie Ukrainy (i może nie tylko Ukrainy).

Tymczasem ogłoszenie przezeń pokoju – nawet jeśli w istocie byłoby to zaledwie kruche zawieszenie broni – może być też wstępem do ogłoszenia redukcji, a *de facto* początku końca obecności wojskowej USA w Europie.

Czym jest „zachodniość”?

Po drugie, w tle awantury o Zełenskiego trwa amerykańska krucjata przeciw Europie. Jej twarzą i mózgiem jest J.D. Vance – wiceprezydent, którego rola wykracza dalece poza to, do czego przyzwyczaili nas politycy sprawujący tę funkcję. Jego przemówienie na konferencji w Monachium brzmiało jak ultimatum: albo demokracja europejska pójdzie drogą Orbána i Trumpa, albo zostaniemy uznani za wroga Ameryki.

Ma rację Andrzej Kohut, gdy pisze („TP” nr 9), że Vance to ideolog, dla którego polityka to szansa na przeprowadzenie antyliberalnej i antyestablishmentowej rewolucji. Jednak zniszczenie starej elity w USA nie uda się w pełni, jeśli podobnego losu nie podzieli elita europejska. Stąd wsparcie dla wszystkich ruchów, które chcą cofnięcia integracji europejskiej.

Po trzecie, bez względu na losy wojny i pokoju w Ukrainie czy szanse na wyjęcie przez Trumpa, Vance’a i Muska →

→ Niemiec, Francji bądź Polski z europejskiego mainstreamu, burzenie fundamentów współpracy USA i Europy (i tak nadwyższych) jest nie do powstrzymania. Słowa, emocje i wydarzenia, które dziś komentujemy, są dziełstwem, na którym powstaje nowa polityka. Po obu stronach Atlantyku. To moment narodzin czegoś zupełnie nowego w sferze wartości, interesów i rozumienia istoty „zachodniości”.

Uwierzmy w siebie

Co z tego wynika dla nas, Europejczyków?

Przed wszystkim musimy dokonać zmiany mentalnej i uwierzyć w siebie. Europa jest miejscem wielu kryzysów, od migracji przez kulejące usługi publiczne, po przeregulowany system gospodarki i administracji. Ale wciąż jest jednym z najlepszych miejsc do życia na ziemi. A Stany – czy to Trumpa, czy Bidena – nie są dla nas modelem do naśladowania. Politycy europejscy, którzy widzą w Stanach inspirację dla wolności, deregulacji czy innowacyjności, dokonują dziś projekcji własnych wyobrażeń, a nie opisu rzeczywistości.

Ameryka jest dziś państwem z ogromnymi problemami społecznymi (od bezdomności po fentanyl), infrastrukturalnymi (rozpadająca się sieć dróg i mostów) oraz z brakiem rzeczywistych usług publicznych (bo państwo jest „złem koniecznym”). Nie mówiąc o systemie politycznym opartym na powiązaniach towarzysko-biznesowych, które bliższe są demokracji Ameryki Łacińskiej niż europejskiemu rozumieniu przejrzystości polityki, która jest dziś źródłem frustracji i buntu.

Ameryka tkwi w głębokim kryzysie i musi znaleźć własne drogi wyjścia z niego. Podobnie i my musimy szukać własnych dróg.

Obronność i wolność

Druga oczywista rzecz dotyczy konieczności bliskiej współpracy w tworzeniu europejskiej strategii obrony i bezpieczeństwa. Tu nie chodzi tylko o Rosję i lęk przed nowymi „czerwonoarmiejcami” na Bugu, choć kwestia siły militarnej jest kluczowa. Nie możemy jako Europa zakładać, że po raz

kolejny przykryjemy irytację Stanów pustą obietnicą poprawy.

Tak samo jak nie możemy nie dostrzegać, że tzw. bigtechy są dziś nie tylko „koniem trojańskim” autorytaryzmu w jego różnych odsłonach politycznych czy religijnych, ale przede wszystkim wrogiem powstania jakiegokolwiek konsensusu społecznego, który zapewniłby nam wewnętrzną stabilność i odporność na zewnętrzny atak.

Są one też barierą dla rozwoju europejskich rozwiązań. Nie możemy odpuścić konsekwentnego wymuszania na nich reguł, które przyjęliśmy dla ochrony prywatności i wolności słowa (wolności prawdziwej, a nie moderowanej z Chin czy USA). Bagatelizowanie Doliny Krzemowej jako zagrożenia dla demokracji przez amerykańskich Demokratów skończyło się dla nich fatalnie.

Oba wyzwania nie wymagają od nas nowych instytucji, lecz dokończenia budowy prawdziwie wspólnego rynku Unii Europejskiej, z realną kontrolą inwestycji zagranicznych. Potrzebujemy funduszy na obronność i polityki zbrojeniowej, która będzie kołem zamachowym dla nowoczesnych gałęzi gospodarki. I bliskiej współpracy wojskowej wychodzącej poza format Unii, czyli z miejscem dla Wielkiej Brytanii, Norwegii, Kanady i oczywiście Ukrainy.

Bez paniki

I ostatnia rzecz: dostosowując się do nowych reguł gry, nie popadajmy w panikę. Jest ona równie groźna co niedocenianie powagi sytuacji. Klótnia w Gabinetcie Owalnym nie przerodziła się jak na razie w odcięcie wojsk ukraińskich od danych wywiadu amerykańskiego. Nie ma sygnałów, aby gwarancje amerykańskie w NATO zostały odwołane razem z ich wojskami w Europie, a Rosja dokonywała znaczących postępów w Ukrainie i szykowała się do ataku na inne europejskie stolice.

Oddzielmy emocje od faktów. Nie po to, aby lepiej spać, ale żeby nie ogłaszać przedwcześnie końca świata, gdy ten wciąż istnieje.

© OLAF OSICA

Tekst ukończono 3 marca rano.

„Będziemy walczyć”

WOJCIECH PIĘCIAK ZE LWOWA

W chaosie, jaki zapanował w świecie Zachodu, jedno pozostaje niezmiennie: nawet jeśli Trump wstrzyma pomoc, Ukraińcy będą się nadal bronić.

JECZAŁY DNIAМИ I NOCAMI, BEZ USTANKU, powodując gigantyczne korki na – będącej i tak komunikacyjnym wąskim gardłem w tym regionie – obwodnicy Lwowa. Kolumny tirów, ciężarówek i lawet pokrytych pokrowcami, kryjącymi charakterystyczne kształty. Ich zawartości można się było tylko domyślać. Pchały się z zachodu na wschód, jakby w nerwowym pośpiechu.

Dla niektórych – tych, co byli dziś tego świadkami, a pamiętali sceny sprzed trzech lat – budzącymi nawet wrażenie *déjà vu*. Bo przypominającymi jakże dramatyczny pośpiech z pierwszych dni i tygodni po 24 lutego 2022 r., gdy czas, w którym amerykańskie jawni i polska amunicja dotrą na chwilejkę się front, liczył się na godziny.

BYŁE ZDĄŻYĆ | Tak wyglądały ukraińskie drogi – te wiodące od polskiej granicy w głąb kraju – w ostatnich tygodniach roku 2024 i na początku roku 2025. Po tym, jak stało się jasne, kto wygrał wybory prezydenckie w USA. Tyle że tym razem miało chodzić o to, aby zdążyć przed poniedziałkiem 20 stycznia: aby przerzucić fizycznie z Polski na Ukrainę możliwie jak najwięcej materiałów wojennych z ostatnich amerykańskich „pakietów”, zanim Donald Trump wróci do Białego Domu.

Nie ma kogo poprosić o potwierdzenie, czy tak to się właśnie odbywało. A nawet gdyby było, zapewne nie dostalibyśmy (poniekąd słusznie) odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim stopniu armia ukraińska zdołała zapelnąć na zapas swoje magazyny amerykańskim uzbrojeniem i amu-



WOJCIECH PIECIAK

Ukraińcy są zdeterminowani, aby bronić się nadal, nawet jeśli cena jest coraz wyższa. Na zdjęciu: cmentarz żołnierski we Lwowie na tzw. Polu Marsowym, gdzie spoczywa już około tysiąca poległych. 22 lutego 2025 r.

nicją w trzech miesiącach poprzedzających inaugurację Trumpa.

Ale jeśli tak to się odbyło, wówczas trzeba by przyznać, że Joe Biden – wyszydzany dziś publicznie przez swojego następcę jako rzekomy słabeusz – okazał się niezwykle dalekowzroczny. Oraz że po raz kolejny zasłużył na przydomek „Bajdenko”, nadany mu jeszcze w pierwszych miesiącach inwazji, gdy uratował Ukrainę (do spółki z paroma jeszcze krajami). To pieśzczołliwe zukrainizowanie jego nazwiska było wyrazem i sympatii, i zaufania – do niego osobiście i do Ameryki.

ZDARTE NASZYWKI | Wyrazem tej sympatii, zaufania, a także wdzięczności były również szewrony – naszywki z amerykańską flagą, które wielu ukraińskich żołnierzy nosiło na mundurach czy hełmach. Dziś, jak słyhać od ludzi z „otuliny” armii, którzy są w kontakcie z „zerówką”, są one masowo zrywane (polska wyobraźnia historyczna podsuwa natychmiast obraz pierwszowojennych legionistów, jak po aresztowaniu ich ukochanego przywódcy zrywają austriackie ordery za odwagę i przyczepiają je psom; tutaj o dalszym losie amerykańskich szewronów na razie nic nie wiadomo).

Jednak zjawisko to nie zaczęło się wczoraj – nie od transmitowanej na cały świat próby upokorzenia, wręcz przeczolganiania prezydenta Ukrainy przez Trumpa i jego zastępcę J.D. Vance’a – lecz już trochę ponad tydzień wcześniej. Konkretnie: po tym, jak Trump, w którym mimo wszystko bardzo wielu Ukraińców pokła-

dało nadzieję, że pomoże zakończyć ten koszmar, zaczął nagle chwalić Władimira Putina (jako ponoć miłośnika pokoju), atakować ich prezydenta (nazywając go „dyktatorem” i „kiepskim komediantem”) oraz twierdzić, że to Ukraina ponosi winę za tę wojnę.

SZANTAŻYSTA | A także – wystawiać rachunki za udzieloną już amerykańską pomoc (owe „350 miliardów dolarów” – zawyżone, ostrożnie licząc, mniej więcej trzykrotnie), mające w gruncie rzeczy charakter jawnego szantażu. Czytelniczka jednej z polskich gazet przyrównała to, w liście do redakcji, do postawy drugowojennego szmalcownika – i rzeczywiście, schemat jest podobny: wszak i tam, i tutaj stawką było i jest życie. Bo koniec końców do tego się to sprowadza – do życia i śmierci, na froncie i na głębokim zapleczu, gdyby miało zabraknąć rakiet do Patriotów.

Prezydent Stanów, następca swych poprzedników, przywódców wolnego świata, w roli chciwego i bezwzględnego szmalcownika: jeśli wielu z nas w Polsce zareagowało jednak szokiem i niedowierzaniem, to wyobraźmy sobie, jak musieli to odebrać ludzie, którzy przez dwa tygodnie bez rotacji tkwią w okopach pod Pokrowskiem, w minusowych temperaturach, już z początkami „stopy okopowej”, bez możliwości ogrzania się, bo ciepło nagrzewnicy może ściągnąć na ich ziemiankę rosyjskiego drona.

REALPOLITIK | To, co dzieje się w Białym Domu od 20 stycznia, gdy idzie o rolę

i miejsce Ameryki w tej wojnie – wojnie przecież nie tylko o Ukrainę – i czego ostatecznym apogeum był spektakl, jaki Trump i Vance urządzili publicznie Zełenskiemu, może mieć różne skutki.

Dla polityków europejskich, którym bez wątpienia da wiele do myślenia. Dla Ukraińców, którzy doświadczają jeszcze większej „huśtawki” niż my w Polsce, gdy – patrząc na to, co mówi i robi Trump – zastanawiamy się (a w każdym razie wielu z nas, tych myślących o polityce właśnie realistycznie), czy artykuł piąty traktatu o NATO cokolwiek znaczy dla prezydenta USA. Bo to, że chwali on Polskę za wydatki na obronność, nie znaczy, w kategoriach nowej *Realpolitik*, nic – równie dobrze w razie zagrożenia i my możemy usłyszeć pytanie, co mamy mu do zaoferowania w zamian za pomoc.

BEZ WYBORU | W chaosie i rozedrganui, jakie zapanowały między Ameryką i Ukrainą oraz Ameryką i Europą, jeden element pozostaje niezmienny: nawet jeśli prezydent USA – wiedziony impulsem – wstrzyma dalszą amerykańską pomoc, Ukraińcy będą się dalej bronić. Zapasy, jakie mają za sprawą ostatnich decyzji Joego „Bajdenko”, dają im pewną „poduszkę” czasową. Ale na jak długo?

„Przyjacielu, nie mamy wielkiego wyboru” – pisze znajomy Ukrainiec, jeden z tych, którzy nie od trzech, lecz od jedenaście lat żyją na co dzień tym, co z ich „chłopakami” na „zerówce”, jak mogą im jeszcze pomóc. I dalej: „Nie mamy wyboru, musimy się bronić. A co będzie? To zależy teraz od Europy”. ©P

KRAJ

MIŁOŚĆ OD DRUGIEGO WEJRZENIA

Polska prawica widzi w Trumpie sojusznika w walce z liberalnymi elitami i jej część gotowa jest zaakceptować nawet deal z Putinem.

Szkopuł w tym, że podglebie, które wyniosło do władzy prezydenta USA, uważnie obserwuje również Donald Tusk.

PAWEŁ MUSIAŁEK

PIERWSZE TYGODNIE DRUGIEJ KADENCJI Donalda Trumpa pokazują, że będzie ona znacząco inna od pierwszej, kiedy działał stosunkowo ostrożnie, próbując układać się z establishmentem. Jednak po doświadczeniach z opornym, liberalnym „deep state” oraz medialnej krytyce Trump odrzucił zahamowania. Teraz, podobnie jak Jarosław Kaczyński w okresie 2015-2023, otoczył się ludźmi zaufanymi, którzy bez wahania wykonują jego wolę, z impetem realizując przygotowany program. Nowa polityka nie będzie więc korektą zastanej rzeczywistości, ale rewolucją.

Laboratorium PiS

Kluczowe pytanie brzmi: jak to wpłynie na Polskę, zwłaszcza na polską prawicę? Jeśli okaże się, że nowe porządki Trumpa cieszą się społecznym poparciem i przynoszą realne zmiany w USA, będzie to ważny sygnał, że i w Polsce – po ewentualnym powrocie do władzy – PiS może porzucić wszelkie hamulce. Par-

tia traktuje więc rewolucję Trumpa jak laboratorium, w którym testowany jest opór nie tylko elit, ale całego liberalnego świata z jego instytucjami, zasadami i polityczną kulturą.

Analiza potencjalnej dalszej „trumpizacji” PiS-u musi być poprzedzona obserwacją, że w ostatnich latach to amerykańska prawica bardziej się „pisizowała” aniżeli na odwrót. PiS już dawno bowiem przetaił szlaki w ludowej rewolucji przeciwko establishmentowi, a także w próbach zmiany liberalnych reguł gry. Podobną drogą kroczą dziś trumpiści, a będąc u władzy, zaczęli zapewne wytyczać nowe ścieżki i zdobywać nowe szczyty, które mogą być dla PiS wskazówkami. „Trumpizacja” jest więc wyzwaniem przede wszystkim dla mainstreamowych partii w Europie Zachodniej, które nie przerobiły jeszcze antyliberalnej kontrrewolucji ani nie doświadczyły toksycznej polaryzacji.

Mało kto dziś pamięta, że stosunek naszej prawicy do Donalda Trumpa nie był miłością od pierwszego wejrzenia.

To samo dotyczy zresztą wszystkich Polaków. W wyborach prezydenckich w 2016 r. znacznie częściej kibicowaliśmy Hillary Clinton niż Trumpowi. Według badań CBOS, aż 56 proc. z nas uważało wtedy, że Clinton będzie lepszą opcją dla Polski, podczas gdy na ostatecznego zwycięzcę wskazywało zaledwie 6 proc. Także wśród wyborców identyfikujących się z prawicą Clinton cieszyła się poparciem 56 proc., podczas gdy Trumpa popierało tylko 11 proc. (reszta nie miała zdania).

To pokazuje, że stosunek polskiej prawicy do Trumpa ewoluował i zaczynał się od mocnej nieufności. Jego wypowiedzi na temat Rosji już wówczas były kontrowersyjne, a nasi politycy dostrzegali wyraźnie niebezpieczną ekscentryczność nowojorczyka.

Początek romansu

Pierwsza kadencja Trumpa (2017-2020) przypadła na okres rządów PiS i prezydentury Andrzeja Dudy. Zniesienie wiz dla Polaków oraz intensywna współpraca



STEFAN JEREMIAH / AP / EAST NEWS



Spotkanie Donalda Trumpa z Andrzejem Dudą przy Trump Tower na Manhattanie. Nowy Jork, 17 kwietnia 2024 r.

turowych eksperymentów i politycznej poprawności, intensywnie obecnej już nie tylko w USA, ale na całym Zachodzie i promowanej przez liberalno-lewicowe elity. I choć PiS nie zgadzał się ze wszystkimi poglądami Trumpa, to pokochał go dlatego, że toczył on wojnę z tym samym światem, z którym walczyła nasza prawnica. Z nazwy liberalnym, ale nieprzychylnym i odmawiającym politycznej legitymizacji siłom kwestionującym nowoczesne *status quo*. Trump stał się więc symbolem walki z establishmentem, który tworzy „nierówne boisko” dla konserwatywnych sił.

Nadzieja związana z Trumpem była tym większa, że administracja Bidena jasno wskazywała, po której stoi stronie w polskim sporze. Biden promował hasło rewitalizacji demokracji na świecie, co miało zarówno wewnętrzny, jak i międzynarodowy kontekst. Rządzona przez PiS Polska została włączona do grona państw neoliberalnych, które należy powstrzymać, aby nie tworzyć efektu domina i „wiatru zmian”, który mógłby ponownie wynieść Trumpa do władzy. Jak widać, bezskutecznie.

Ukraiński reset

Administracja Bidena wyhamowała swoją „krucjatę” przeciwko PiS po wybuchu pełnoskalowej wojny Rosji z Ukrainą. Współpraca w obszarze bezpieczeństwa była bardzo intensywna, ale mimo to w zakulisowych działaniach administracja Bidena jasno dawała do zrozumienia, komu kibicuje w wyborach w 2023 r. Dla PiS stało się oczywiste, że mimo dobrych relacji z USA w obszarze bezpieczeństwa, lepszą opcją jest Trump.

Wpływ na to miał także kontekst europejski. Po latach sporów o praworządność, PiS czuł się osamotniony, a zarazem prześladowany przez unijny mainstream. Wstrzymanie środków z KPO dla Polski zostało przez ówczesny rząd uznane za przekroczenie czerwonej linii i dowód na bezpośrednie zaangażowanie Brukseli w polską politykę wewnętrzną. To wzmocniło antyunijne nastroje i zwiększyło sympatię do Trumpa, który dawał nadzieję, że w konflikcie z instytucjami UE stanie po stronie Polski. ➔

gospodarcza i wojskowa sprawiły, że nasze relacje kwitły. W badaniu CBOS przed wyborami w 2020 r. już 41 proc. Polaków uważało, że Trump będzie lepszym wyborem dla Polski, podczas gdy 15 proc. wskazywało na Joea Bidena. Sympatia ta była szczególnie widoczna na prawicy. Aż 72 proc. wyborców PiS chciało, aby Trump wygrał ponownie, podczas gdy na Bidena liczyło zaledwie 2 proc. Przewagę Trump miał także wśród wyborców Konfederacji i PSL, przegrywał jednak wyraźnie w elektoracie KO i lewicy, gdzie wspierało go tylko 12 proc. wyborców. Dla nich Trump jawił się jako sojusznik PiS. Nie przyłączył się przecież do chóru UE, krytykującego rządu Zjednoczonej Prawicy; wręcz przeciwnie. W efekcie dobre relacje z administracją Trumpa pozwalały PiS-owi naruszyć kordon sanitarny, jakim był otoczony w Unii.

Pozytywny stosunek Trumpa do Polski niekoniecznie był pochodną bliskich relacji z samym PiS-em. Byliśmy po prostu państwem, które od lat wywiązy-

wało się ze swoich zobowiązań sojuszników, kupowało amerykańską broń, gaz i nie miało istotnej nadwyżki handlowej z USA. Co więcej, Trump był atakowany niemal w całej Europie, ale w Polsce witano go entuzjastycznie. Nawet politycy ówczesnej opozycji nie byli zbyt krytyczni – Trump nie angażował się w naszą politykę wewnętrzną.

Stosunek polskiej prawicy do Trumpa ewoluował mocno w trakcie prezydentury Joea Bidena. Progresywne zmiany wprowadzane przez administrację Demokratów były dla naszej prawicy nieakceptowalne, zaczęła więc nie tylko sympatyzować z Republikanami stawiającymi opór kulturowej rewolucji, ale także emocjonalnie angażować się w te spory. I choć sam Biden należał do umiarkowanego skrzydła, to ponosił konsekwencje lewicowego skrętu całej partii.

Gdy stało się jasne, że Trump będzie ponownie walczył o prezydenturę, w PiS potraktowano to jako światowe, a nie amerykańskie starcie o przyszłość kul-

→ Tyle że PiS tego nie doczekał – stracił władzę.

Przedwyborcze zapowiedzi Trumpa dotyczące wojny na Ukrainie budziły spore obawy Polaków, także wśród wyborców prawicy. Hasło zakończenia konfliktu w 24 godziny wywoływało lęk, że może to oznaczać ustępstwa na rzecz Rosji. Według badań CBOS z listopada 2024 r., 50 proc. Polaków deklarowało, że woli Kamalę Harris, a tylko 25 proc. wskazywało na Trumpa, znacząco mniej niż w poprzednich wyborach. W elektoracie PiS poparcie dla niego wynosiło 54 proc., ale aż jedna trzecia wskazywała na Harris; byli to zazwyczaj zwolennicy silnego wsparcia dla Kijowa. Obaw wobec Trumpa nie mieli ci, którzy byli już zmęczeni wojną lub rozczarowani Ukrainą i Ukraińcami, zwłaszcza ich stosunkiem do zbrodni wołyńskiej.

Po zwycięstwie Trumpa w PiS zapanował entuzjazm, który mogliśmy obserwować podczas braw na jego cześć w Sejmie. Faktem jednak pozostaje, że politycy tej partii mają silne obawy, czym skończą się negocjacje z Rosją, choć w oficjalnej retoryce pojawia się sporo usprawiedliwień dla mocno kontrowersyjnych poglądów Trumpa. Dużą rolę w kształtowaniu opinii ma też popularna TV Republika, która ze względu na wybraną strategię budowy „polskiego Fox News” jednoznacznie wspiera Trumpa. Można zaryzykować tezę, że na „trumpizację” elektoratu PiS większy wpływ ma TV Republika niż sam PiS.

Z pewnością wrażenie zrobił styl zwycięstwa Trumpa, który pokazał, jak silny mandat ma w USA. Jego spektakularny powrót do Białego Domu utwierdził wszystkich w przekonaniu, że trumpizm to nie chwilowa moda, ale trwałe zjawisko polityczne mające silne społeczne podstawy. Rozterki i wątpliwości należy więc zostawić na boku, bo w sytuacji braku alternatywy nie mają one znaczenia.

Bohater drugiego planu

Przy szukaniu trumpistowskich inspiracji dla polskiej prawicy jeden trop wydaje się szczególnie ciekawy. Bardzo pozytywny odbiór monachijskiego wystąpienia wiceprezydenta J.D. Vance’a wśród naszego prawicowego „komentarzisty” dowodzi, że na polu ideologicznym wszystko się zaszewczy bez większych zgrzytów. „Wczesny” Trump był

O ile Trump może być skuteczny w buntowaniu ludu przeciwko elitom, o tyle wiceprezydent Vance **ma szansę stać się prawdziwym ideowym wzorem dla prawicy.**

pragmatyczny i cechował go głównie nacjonalizm oraz antyestablishmentowy bunt; w ostatnich latach zyskały jednak na znaczeniu kwestie kulturowe, w tym (obecna też w agendzie PiS) niewiara w integrację rzesz imigrantów, a także walka z „wokeizmem” (czyli przesadą w wyszukiwaniu wszelkich przejawów dyskryminacji wobec najróżniejszych mniejszości). W tej kwestii Trump jest oczywiście konserwatystą „taktycznym”, a w każdym razie mocno niekonsekwentnym, zwłaszcza w życiu prywatnym.

Z kolei J.D. Vance, pochodzący z amerykańskiej prowincji i trudnego domu, uważany jest za integralnego konserwatywnego katolika, który oferuje nie tylko ostrą retorykę skierowaną przeciwko liberalnym elitom, ale także „pozytywną” agendę zbudowaną wokół chrześcijańskich wartości. Jest też dużo bardziej spójny niż jego polityczny patron. To właśnie wiceprezydent USA zdecydowanie lepiej pasuje do polskiej prawicy niż egocentryczny miliarder z bogatego domu, którego poglądy są chaotyczne, a polityczne *modus operandi* przypomina Lecha Wałęsę.

O ile obecny prezydent może się okazać skuteczny w destrukcji i buntowaniu ludu przeciwko elitom, o tyle wiceprezydent ma szansę na to, aby niczym Ronald Reagan wypełnić amerykański republikanizm nową treścią. Jeśli taki scenariusz się zrealizuje, będzie to miało znaczenie dla polskiej prawicy. O ile Trump jest użyteczny w niszczeniu świata liberałów, o tyle Vance może stać się wzorem do naśladowania później.

Co oznacza deal z Putinem

Istnieje oczywiście problem, który może się okazać trzeźwiący dla naszej prawicy: to ewentualne porozumienie Trumpa z Putinem kosztem Ukrainy. U niektórych wyborców PiS taki scenariusz

mógłby wywołać szok. Ale w „twardszym” elektoracie niekoniecznie. Skala emocji zainwestowanych w Trumpa oraz liczba pól, na których wzajemne interesy się zaszewczy, jest na tyle duża, że nawet porozumienie z Putinem nie musi oznaczać nieufności wobec Trumpa, jak to się stało z Orbánem po 24 lutego 2022 r.

Powinniśmy pamiętać, że w ostatnim czasie doszło do istotnych zmian w spojrzeniu na Ukrainę i samą wojnę. Poziom niechęć wobec Ukraińców wzrósł do tego stopnia, że połowa Polaków przestała ich nie tylko wspierać, ale nawet im kibicować. Rośnie liczba osób, dla których kluczowe nie jest to, jak wojna się zakończy, ale to, by skończyła się jak najszybciej. W grudniowym badaniu CBOS widać, jak wzrósł strach przed wojną i pesymizm co do możliwości zwycięstwa Ukrainy, który przekłada się na postawę w stylu: „nasza chata z kraja”. Lęk, jaki odczuwają Polacy, pracuje na rzecz cichego poświęcenia Ukrainy po to, by wrócił stary bezpieczny świat. Paradoks polega na tym, że obawę przed wojną z Rosją rozbudziła niepewność co do tego, co zrobi... Trump. On sam stworzył więc emocje, które będą dawać mu usprawiedliwienie, jeśli faktycznie dojdzie do geopolitycznego porozumienia z Moskwą.

Nawet jeśli będzie ono dla Polski strategicznie niekorzystne, to sympatycy Trumpa mają już gotowe „skrypty”, jak można to usprawiedliwić. Obarczanie winą biurokratyzowanej Unii Europejskiej, a także Żeleńskiego, który postawił na Demokratów i Niemcy, zamiast na Polskę i Trumpa – jawi się jako oczywisty scenariusz.

Wszystko wskazuje na to, że w najbliższym czasie PiS jest skazany na Trumpa i nawet jego szkodliwy deal z Putinem nie zmieni głównej emocji prawicy, a co najwyżej nieco ją wystudzi. Wojna na Ukrainie może bowiem ustąpić ważniejszej sprawie – egzystencjalnej wojnie z liberalnym establishmentem.

Tusk w butach Trumpa

Ten ostatni pojedynek może jednak utrudnić imiennik Trumpa, Donald Tusk. Jeszcze kilka lat temu lider Koalicji Obywatelskiej określał prezydenta USA mianem rosyjskiego agenta, a w czasie swojej kadencji na stanowisku szefa Rady Europejskiej kilkukrotnie go krytykował, nierzad w sarkastyczny sposób.

Dziś Tusk jest dużo bardziej ostrożny, tonuje krytyczne wobec Trumpa głosy nie tylko w Polsce, ale i w Europie, odgrywając rolę mediatora nawołującego do transatlantyckiego porozumienia. Naturalnie zmiana tonu wynika ze zmiany ról – obecnie każdy premier państwa graniczącego z Rosją dwa razy zastanowi się przed jakimkolwiek sygnałem, który administracja Trumpa mogłaby uznać za afront.

Co ciekawsze, Tusk zdaje się widzieć w trumpizmie znacznie szersze zjawisko niż tylko specyficzna polityka i osobowość prezydenta USA. Premier Polski słusznie patrzy nie tyle na niego samego, co na podglebie, które wyniosło go do władzy, i stara się wy badać, czy da się tam coś samemu zasiał.

Pierwszym naturalnym skojarzeniem jest polityka migracyjna. Tusk w tej kwestii wyraźnie skreślił prawo i przyjęta przez jego rząd strategia oznaczająca podtrzymanie na granicy polsko-białoruskiej metod z epoki PiS dowodzi, że zwrot jest nie tylko retoryczny. Koresponduje z tym również mocne wybiecie przez Rafała Trzaskowskiego hasła patriotyzmu gospodarczego na konwencji w Gliwicach.

Ostatnim politycznym manewrem Tuska było powołanie Rafała Brzozki na osobę odpowiedzialną za deregulację gospodarki. Wielu dostrzegło w tym ruch zabierający polityczny tlen Konfederacji. Inni podkreślali podobieństwa misji powierzonej twórcy InPostu do roli, jaką przypisał Trump Elonowi Muskowi i poruczonej mu agencji (DOGE) zajmującej się odbiurokratyzowaniem Ameryki.

Choć wielu zwolenników Tuska czuje się zdezorientowanych zmianą kierunku, to szef KO wie, że musi ryzykować i badać dotychczas obce polityczne rejony (choć w przypadku deregulacji to powrót do platformerskich korzeni sprzed 20 lat). Premier zdaje sobie sprawę, że trafił na moment, w którym świat mocno przesunął się w prawo, i żeby nie wypaść z łódki, musi ostrożnie absorbować nowe trendy. Choć na razie sondaże na to nie wskazują, to nie jest wcale wykluczone, że może się okazać, iż na nowej fali to Tusk surfuje sprytniej niż Kaczyński. © PAWEŁ MUSIAŁEK

Autor jest prezesem Klubu Jagiellońskiego



Niedysponowana posłanka PiS Elżbieta Kruk w Sejmie. Warszawa, 21 listopada 2008 r.

Klub pijanego posła

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Parlamentarzyści znani są z przekraczania granic, niedostępnych dla zwykłych obywateli. Agresja i ekscesy alkoholowe wydają się u nich normą, poczucie bezkarności – również. Okiełznać to mogą jedynie wyborcy.

PRZED 21 LUTEGO MAŁO KTO GO skojarzył. Teraz poseł Ryszard Wilk z Konfederacji stał się gwiazdą mediów, choć chyba nie w sposób, którego by sobie życzył. Podczas sejmowych głosowań był po prostu pijany, okrzykami przeszkadzał w wystąpieniu premiera i po interwencji marszałka Hołowni został wyprowadzony z sali przez klubowego koleżkę.

W tym samym dniu, podczas debaty nad odebraniem immunitetu Zbigniewowi Ziobrze, poseł Edward Siarka z PiS krzyknął w stronę Donalda Tuska: „kula w łeb!”. Dopiero zmiętygowany przez wicemarszałek Dorotę Niedzielę przeprosił za swoje słowa, choć potem twierdził, że tak naprawdę cytował Brońskiego.

Autorem jeszcze innego wybryku z ostatnich dni był senator Lewicy Maciej Kopiec, który został nagrany (skądinąd przez bohatera licznych afer, posła PiS Dariusza Mateckiego), jak w hotelu poselskim zwraca się w wyjątkowo wulgarny sposób do rozmówcy. Rzadko zda-

rzają się posiedzenia Sejmu, na których nie byłoby jakiegoskandalu.

Immunitetem w alkomat

W niemal wszystkich instytucjach i firmach za przyjście do pracy pod wpływem alkoholu lub agresywne zachowania czekałaby pracownika dyscyplina, a może nawet proces. Parlamentarzyści wiedzą jednak, że mogą sobie pozwolić na dużo więcej, bo ustawa o wykonywaniu mandatu posła i senatora, a także osobisty immunitet dają im dużą swobodę. Mogą np. odmówić badania alkomatem po zatrzymaniu przez policję, nawet jeśli – jak Franciszek Sterczewski z KO – jadą nocą zygzakiem na rowerze, bez oświetlenia.

Pragnący zachować anonimowość prominentny pracownik Kancelarii Sejmu przyznaje, że posłowie są „świętymi krowami” nawet na tle innych osób piastujących funkcje publiczne. Widać to było w przypadku sprawy Marcina Romanowskiego. Każdy inny wysoki urzędnik, włącznie

→ z prezydentem RP, w sytuacji ucieczki za granicę przed aresztowaniem – zostałyby zdjęty z urzędu. Posłowi jednak niewiele można zrobić, nawet nie stracił całości uposażenia.

Z kolei przypadek posła Siarki to, zdaniem dr Katarzyny Bąkowicz z Uniwersytetu SWPS, przykład postępującej brutalizacji życia publicznego, która powoduje, że coraz mniej zahamowań wzbudza posługiwanie się treściami nienawistnymi i agresywnymi, a próba ich okiełznania traktowana jest jak zamach na wolność słowa.

– Aktywność w polityce to zarządzanie ludzkimi emocjami. Badania pokazują, że wygrywa ten polityk, który generuje ich więcej, nawet jeśli są negatywne – mówi ekspertka. Jej zdaniem sprzyjają temu też standardy komunikacyjne obowiązujące w mediach społecznościowych.

Wicemarszałek Niedziela z KO, która prowadziła obrady w czasie incydentu z posłem Siarką, uważa, że nie powinno się takich zdarzeń bagatelizować. – Od jakiegoś czasu jest w Sejmie coraz większa agresja, a posłowie coraz łatwiej przekraczają kolejne granice. Powinniśmy na to reagować, Sejm to nie miejsce na wyzwiska i groźby karalne – ocenia. Jej zdaniem w przypadku Siarki kara finansowa to za mało; sprawą powinna zająć się też prokuratura.

– W moim przekonaniu posłowie często nie zdają sobie sprawy z tego, jaka jest siła ich wypowiedzi. Każdy z nich jest przecież liderem na swoim terenie. Ludzie się na nich wzorują i pozwalają sobie na coraz więcej – przekonuje Niedziela.

Szef sejmowej Komisji Regulaminowej Jarosław Urbaniak z KO potwierdza eskalację zachowań agresywnych: – Przeżyłem szok, gdy wróciłem do Sejmu po 5-letniej przerwie. Stosunki między posłami mocno się zmieniły na niekorzyść. Prym w okazywaniu agresji wiodł m.in. słynny ostatnio poseł Siarka. On koleżankom i kolegom z innych klubów nie odpowiada nawet na dzień dobry.

Największy dorobek, jeśli chodzi o sejmowe ekscesy, ma Grzegorz Braun (w styczniu wyrzucony z Konfederacji), obecnie zasiadający w Parlamencie Europejskim. W 2021 r. krzyczał do ówczesnego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego: „Będziesz wisiał!”. Jego najgłośniejszy wybryk to oczywiście zgłoszenie świec chanukowych w grudniu 2023 r., wraz

Zdecydowana większość przywołanych w tekście autorów pijackich wpadek dziś już nie zasiada w parlamencie.

Grzej z autorami agresywnych wypowiedzi.

z towarzyszącą tej akcji agresją wobec lekcarki próbującej go powstrzymać.

Jedyny instrument marszałka

Inaczej jest z nadużywaniem przez parlamentarzystów alkoholu. Marszałek Hołownia po wybryku posła Wilka zgłosił pomysł, by Straż Marszałkowska mogła ich badać alkomatem: zlecił analizę prawną, która ma odpowiedzieć na pytanie, czy w tym celu konieczna jest nowelizacja ustawy o wykonywaniu mandatu posła i senatora, czy też wystarczy zmiana regulaminu Sejmu.

Obecnie marszałek ma tylko jeden instrument dyscyplinujący, w postaci dwóch artykułów regulaminu – 22b i 175. W myśl pierwszego może stwierdzić, że poseł w rażący sposób naruszył spokój lub porządek. To podstawa do kar finansowych, czyli obniżenia diety lub uposażenia (odpowiednio 4,2 tys. zł oraz 13,5 tys.) na czas nie dłuższy niż trzy miesiące. Na jego podstawie w czerwcu 2024 r. na kwartał obniżono (o połowę) uposażenie posłowi Mateckiemu, który biegał nocą po sejmowym dachu. Stracił ogółem 19,2 tys. zł.

Z kolei art. 175 daje marszałkowi podstawę do wykluczenia posła z obrad, po uprzedniej serii ostrzeżeń pod jego adresem. Pierwszy raz zdarzyło się to w 2002 r.: chodziło o lidera Samoobrony Andrzeja Leppera, a usuwającym go z sali był ówczesny wicemarszałek Donald Tusk.

W grudniu 2016 r. doszło z kolei do słynnego wykluczenia posła PO Michała Szczerby przez marszałka Marka Kuchcińskiego, który – ku zaskoczeniu wielu parlamentarzystów – poczuł się obrażony słowami: „panie marszałku kochany”. Zdarzenie to spowodowało ówczesną opozycję do zablokowania na wiele dni mównicy sejmowej i doprowadziło do przeniesienia obrad do Sali Kolumnowej.

Również pod tym względem rekordystą jest Braun, w okresie pandemii regularnie wyłączany z obrad przez marszałek Elżbietę Witek za odmowę zakładania maseczki. Z wykluczeniami wiązały się oczywiście kary finansowe; z najbardziej spektakularnym przypadkiem mieliśmy do czynienia w lutym 2024 r., gdy siedmioro posłów PiS zostało ukaranym odebraniem na trzy miesiące diety za przepychanki ze Strażą Marszałkowską. Uczestniczyli oni w próbie siłowego wprowadzenia do gmachu pozbawionych mandatu Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

Kronika pijackich przypadków

Większość domniemyanych alkoholowych ekscesów nie miała jednak formalnych konsekwencji. Tak było np. z Bartłojem Sienkiewiczem, który w styczniu 2022 r. został wyprowadzony z sali przez szefa klubu KO Borysa Budkę, a towarzyszyły temu okrzyki: „Potrzebny alkomat!”. Żadne kary nie spotkały też posłanki PiS Elżbiety Kruk, która w listopadzie 2008 r. chwiejnym krokiem przechadzała się po sejmowych kuluarach – do których wtedy jeszcze mieli wstęp dziennikarze – zaś pytana o swoje zachowanie odpowiadała długo i nieskładnie („Potrafię pracować dobrze, potrafię coś tam, coś tam...”). W końcu koledzy z klubu wyprowadzili ją z gmachu.

Głośny był też przypadek posła AWS Jana Marii Jackowskiego, który w 2001 r. w późnych godzinach wieczornych bełkotliwie prezentował w Sejmie sprawozdanie komisji kultury z prac nad jedną z ustaw. Z kolei poseł Samoobrony Tadeusz Urban miał być (według dziennika „Fakt”) w 2003 r. tak pijany, że koledzy musieli przytrzymywać jego dłoń, by trafił palcem w przycisk do głosowania.

Jeden z posłów KO przekonuje jednak (anonimowo), że dziś mniej jest przypadków nadużywania alkoholu. – Pamiętam stare czasy, gdy wieczorem na sali obrad wystarczyło dłużej powdychać powietrze, by poczuć wiadomy zapach. Ale odkąd ludzie Janusza Palikota zaczęli nagrywać telefonami wpadki kolegów i zamieszczać to w internecie, wszyscy stali się bardziej powściągliwi w kwestii picia. Dziś nawet z „baru za kratą” wychodzą raczej o własnych siłach – twierdzi.

Z tego właśnie baru, znajdującego się na terenie poselskiego kompleksu



ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS

Ryszard Wilk z Konfederacji wyprowadzony z posiedzenia Sejmu przez klubowego kolegę. Warszawa, 20 lutego 2025 r.

hotelowego, wychodził w 2001 r. poseł SLD Tomasz Mamiński, pozdrawiając austriackiego dziennikarza okrzykiem „Heil Hitler”. Stamtąd też wyszła w 2005 r. posłanka SLD Małgorzata Ostrowska, w obecności kamer bełkocząc i śpiewając.

Z hotelu poselskiego wychodził też pijany parlamentarzysta PSL Andrzej Pałys, gdy w 2010 r. został nagrany przez dziennikarza TVN. Pięć lat później „Fakt” opublikował z kolei zdjęcie śpiącego w ubraniu na hotelowym korytarzu ówczesnego senatora PiS Bogdana Pęka, co zakończyło jego długą polityczną karierę. Słynne jest też zdarzenie dotyczące posła SLD Witolda Firaka, który miał w 2002 r. referować wniosek o uchylenie immunitetu Andrzeja Leppera. Okazało się jednak, że zaniemógł po alkoholowej libacji. Kamery towarzyszyły nawet scenie, gdy ówczesny marszałek Marek Borowski bezskutecznie usiłuje dostać się do pokoju hotelowego posła.

Elektorat radzi sobie sam

Po tych wszystkich zdarzeniach zamknięto dostęp dziennikarzy do kompleksu hotelowego z barem. Wicemarszałek Niedziela wyjaśnia, że zdecydowano o tym w trosce o zapewnienie posłom prywatności, a nie po to, by chronić pijaków. – Rano ktoś idzie biegać, panie idą do fry-

zjera czy do kosmetyczki, czasem wychodzą w dresach. Niekoniecznie więc chcą, by ktoś robił im zdjęcia. Hotel powinien być czymś w rodzaju namiastki domu dla posłów – przekonuje Niedziela.

Pomysł marszałka Hołowni, by wobec parlamentarzystów używać alkomatu, spotkał się z powszechnym sprzeciwem u przedstawicieli innych sił politycznych. Skrytykowała go marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska z KO. Sceptyczna jest również wicemarszałek Niedziela.

– Z jednej strony powinien istnieć instrument sprawdzania trzeźwości posłów, z drugiej zdaję sobie sprawę, że jeśli marszałek będzie miał możliwość skierowania posła do badania alkomatem, to agresywna opozycja będzie co pięć minut wskazywać palcem, że kogoś trzeba wysłać na takie badanie, bo rzekomo mówi od rzeczy. To będzie obniżać autorytet Sejmu – uważa Niedziela.

Także Jarosław Urbaniak uważa, że badanie alkomatem oznacza naruszenie nieetykalności posłów. – Żeby to było zgodne z Konstytucją, poseł musiałby się na takie badanie zgodzić. A jeśli jest naprawdę pijany, trudno tego oczekiwać – mówi szef komisji regulaminowej. – Jeśli jako jedyni będziemy badać się alkomatami, przyznamy wobec całego świata, że jesteśmy narodem alkoholowym – dodaje.

Podobnie uważa Sławomir Rybicki, szef senackiej komisji regulaminowej i etyki: – Pomysł marszałka Hołowni jest bardzo trudny do zrealizowania. Nie wiemy kto, na jakiej podstawie i według jakich kryteriów wskazywałby osobę, która miałaby poddać się badaniu.

Powszechna w parlamencie jest opinia, że ocenę kontrowersyjnych zachowań posłów powinni wystawiać wyborcy. I tak się w praktyce dzieje; zdecydowana większość przywołanych w tekście bohaterów pijackich wpadek dziś już nie zasiada w parlamencie. Gorzej z autarami agresywnych wypowiedzi. Tu tendencja jest wręcz przeciwna, na co wpływ ma też ogólna brutalizacja życia publicznego i radykalizacja języka w mediach społecznościowych.

Dr Katarzyna Bąkowicz przyznaje, że jest grupa wyborców podążających za politykami „starej daty”, bardziej stawiającymi na elokwencję i przygotowanie merytoryczne, jednak znacznie liczniejsi są ci, którzy potrzebują „fast-polityki”. I to na tych wyborcach opiera się antykultura polityczna, stawiająca na agresję. – Prognozy są pesymistyczne, ale w każdym momencie może nastąpić zmiana, która zależy od nas jako wyborców. Nie jesteśmy przecież tylko konsumentami wytwarzanych przez polityków „dóbr” – ocenia ekspertka. © PIOTR ŚMIŁOWICZ

Co zabiło pana Kanapkę

MAREK RABIJ

Weź polskie zamiłowanie do jedzenia w domu. Dopraw obficie modą na zdrową dietę i szczyptą postpandemicznych nawyków. Zapakuj w pudełka, które o świcie podwieź klientowi pod drzwi.

GDY OKOŁO TRZYNASTEJ JULIA TRENTH zasiadzie do obiadu w kuchni jednego z krakowskich biurowców, niemal 300 km dalej, w podwarszawskich Broniszach, kucharze będą kończyć gotowanie jej jutrzejszego posiłku. Kiedy koło północy położy się do łóżka, samochód-chłodnia z jedzeniem będzie już w okolicach regionalnego punktu przeładunkowego firmy cateringowej w Krakowie. Tu zawartość ciężarówki zostanie błyskawicznie przeładowana do mniejszych aut, które rozjadą się po mieście i okolicy. Gdy o szóstej trzydzieści zadzwoni budzik, zaspana Julia podrepcze do drzwi swojego mieszkania, za którymi na wycieraczce czekać będzie na nią papierowa torba z pięcioma posiłkami na cały dzień.

– Zestaw na jutro – Julia mruży oczy sprawdzając w smartfonie szczegóły zamówienia – to omlęt białkowy na śniadanie, orkiszowy naleśnik z mussem malinowym na drugie, risotto z łososiem i groszkiem na obiad, koktajl owocowy na podwieczorek i sałatka warzywna z grillowanym kurczakiem na kolację. Całość kosztuje 78 zł, czyli niecałe 20 euro. W moim rodzinnym Dublinie tyle bym zapłaciła za średniej klasy lunch. Chociaż w Krakowie, w centrum, kosztowałoby to w sumie niewiele mniej – dodaje po chwili.

50 milionów toreb

Wrzesień 2024 r. Julia rozpoczyna pracę w polskim oddziale międzynarodowej firmy doradczącej. Koleżanki i koledzy z biura szybko skracają dystans, potwierdzając jej irlandzkie wyobrażenia o słowiańskiej gościnności i otwartości, ale wspólnego wypadu na obiad nikt jakoś nie proponuje.

– Zauważyłam, że wiele osób w biurze nie wychodziło na lunch, bo zjadało coś z zafolowanych pudełek – wspomina

Julia. – Początkowo myślałam, że to taki polski obyczaj i że tak pakujecie sobie jedzenie przyniesione z domu. W końcu zebrałam się na odwagę i zagadnęłam kolegę. Tak trafiłam na catering dietetyczny. Korzystam od stycznia i na razie jestem zadowolona, bo planowanie wyżywienia zajmuje mi kilkadziesiąt sekund. Odpadają też zakupy, które mnie trochę przerażają przy mojej nieznajomości polskiego.

Torba z pięcioma posiłkami, którą Julia każdego ranka znajduje na wycieraczce, jest jedną z blisko 130 tys., które w całej Polsce zostawiają klientom firmy oferujące dietę pudełkową. Rzecz arcy polską – bo jeśli spojrzeć na zwyczaje kulinarne Europejczyków, okaże się, że poza Czechami nigdzie indziej nie przyjęła się taka formuła żywienia zbiorowego.

Właściciel platformy Pyszne.pl, firma Just Eat Takeaway.com, specjalizuje się w dostawach żywności ze stacjonarnych barów i restauracji. Znakiem rozpoznawczym niemieckiego potentata Hallo Fresh są obok dań gotowych zestawy półproduktów do samodzielnego przygotowania w domu. Pudełka – jak często nazywają taką dietę korzystający z niej klienci – pozwalają tymczasem połączyć pozorne sprzeczności. Jesz dokładnie to, co chcesz, tam gdzie chcesz, ale nie musisz tego sobie przyrządzać.

O źródłach pudełkowego fenomenu w wywiadzie dla serwisu Money.pl mówił niedawno Jakub Wróbel, prezes największego polskiego gracza w tej branży, warszawskiej spółki NTFY. Jego zdaniem Francja i kraje Europy Południowej wołały pozostać wierne swojej kulturze biesiadowania w restauracjach. Niemcy? Tu z kolei rozwojowi cateringu pudełkowego stoi ponoć na przeszkodzie relatywnie słabo rozwinięty system błyskawicznych płatności bezgotówkowych. Tymczasem w Polsce – konkludował Wró-

bel – zamiłowanie do jedzenia w domu spotkało się z modą na zdrowy tryb życia, a potem przyszła jeszcze pandemia, która dużą część handlu i usług w trybie awaryjnym przełączyła na dostawy bezpośrednio do klienta. W ten sposób zrodził się w Polsce prężny sektor cateringu pudełkowego, który w abonamencie, najczęściej odnawianym co miesiąc, oferuje pełne wyżywienie. Klient wybiera z kilku, czasem nawet kilkunastu typów diety, decyduje o liczbie posiłków na dobę, a po opłaceniu zamówienia w telefonicznej apce komponuje sobie menu na kolejne dni, zwykle wybierając spośród kilku propozycji na każdy posiłek.

W zeszłym roku – jak wynika z raportu firmy badawczej PMR – klienci w Polsce wydali na takie abonamenty żywieniowe 3,5 mld zł. Do 2029 r. polskie wydatki na ten cel powinny wzrosnąć do 5,4 mld zł rocznie. Wszystko wskazuje też na to, że wówczas lwia część z około 500 firm oferujących dziś takie usługi albo zakończy działalność, albo połączy się z innymi, by obniżyć koszty i zwiększyć konkurencyjność. Olbrzymia większość podmiotów z tej branży obsługuje dziś do dwustu klientów dziennie. Powyżej tysiąca dostaw na dobę realizuje nie więcej niż 20 firm. Tylko pięć największych może pochwalić się bazą klientów zapewniającą im powyżej 15 tys. dostaw dziennie.

Polska robi formę

Firma Goodspeed, która zajmuje się transportem żywności, zamówiła pod koniec ubiegłego roku badanie preferencji polskich konsumentów diet pudełkowych. Okazało się, że tylko 32 proc. zamówień stanowiły dania standardowe. Resztę kupowano z myślą o realizacji założeń konkretnych diet, np. o niskim indeksie glikemicznym (11 proc.), wegetariańskiej (9 proc.), wysokobiałkowej i keto (po 6 proc.) albo bez laktozy (5 proc.). Zaobserwowany w zeszłym roku spadek popularności produktów wegetariańskich z nadatkiem zrekompensował wzrost zapotrzebowania na diety specjalistyczne, np. komponowane z myślą o budujących masę mięśniową bywalcach siłowni.

Z danych zebranych przez Goodspeed można nawet skomponować coś w rodzaju pogłównego mapy polskich smaków pudełkowych. Najwięcej diet o niskiej kaloryczności (od 900 do 1800 kcal)



Zostań w domu

W STYCZNIU 2018 R. ówczesna premier Wielkiej Brytanii Theresa May powołała przy swoim gabinecie urząd do spraw osób samotnych; w tym samym roku Zjednoczone Królestwo stało się pierwszym krajem z państwową strategią zapobiegania samotności. Wkrótce śladem Brytyjczyków poszli Japończycy, a Światowa Organizacja Zdrowia „epidemię samotności”, narastającą zwłaszcza w krajach wysoko rozwiniętych, uznała za jedno z największych zagrożeń najbliższych lat.

W USA, gdzie – jak szacowali autorzy badania opublikowanego w 2020 r. w magazynie „Science” – samotność odczuwa aż 53 proc. populacji, na to samo wyzwanie pierwszy zareagował biznes. Przełom ostatnich dwóch dekad przyniósł tam wysyp aplikacji oraz firm dbających, głównie online, o potrzeby konsumpcyjne osób samotnych.

WYBUCH PANDEMII COVID-19 podzielił na tę branżę niczym katalizator. O „ekonomii samotności” mówią i piszą dziś na poważnie nie tylko

badacze rynków, ale także socjologowie i psychologowie. To, co w okresie lockdownu było formą tymczasowego przystosowania reguł życia społecznego do wymogów sanitarnych, po pandemii stało się pełnoprawną alternatywą funkcjonowania w społeczeństwie. Upowszechnienie pracy zdalnej w połączeniu z coraz szerszym e-dostępem do wielu organów administracji, coraz bogatszy wachlarz usług i produktów oferowanych online lub z dostawą do klienta, a do tego upowszechnienie płatności bezgotówkowych – sprawiły, że dla wielu mieszkańców

krajów wysoko rozwiniętych wyjście z domu to strata czasu. Podstawowym dostawcą rozrywki stały się platformy streamingowe, zaś o dobrostan psychiczny zaczęły dbać firmy oferujące konsultacje online u klienta. Zakupy w coraz większym stopniu realizują natomiast platformy zapewniające dostawę do domu. Pod drzwi można zamówić nawet zestaw alkoholi i dodatków do samodzielnego sporządzenia ulubionego drinka.

IZOLACJA wymuszona w okresie pandemii przez państwo ustąpiła w ten sposób izolacji dobrowolnej, tym częstszej, im trudniej wielu członkom społeczeństwa przychodzi powrót do rutyny sprzed pandemii. Opuszczenie domu, zwłaszcza dla młodych osób, oznacza opuszczenie (pozornej) strefy komfortu. Realny kontakt z drugim człowiekiem staje się głównie źródłem stresu, ale ceną za to jest izolacja społeczna. Firmy z sektora działającego według reguł „ekonomii samotności” w pewnym sensie odpowiadają więc na potrzeby wywołane problemami, które same wzmacniają. ©P

dostarczono w zeszłym roku klientom w województwie opolskim. Największy udział menu wegetariańskiego w zamówieniach zaobserwowano w Wielkopolsce. Z kolei klienci w Warmińsko-Mazurskiem, Mazowieckiem i Śląskiem najczęściej sięgali po pudełka wysokokaloryczne. Od Gdańska po Zakopane i od Słubic po Hajnowkę królami pudełek były jednak diety odchudzające. Aż 35 proc. wykupionych w zeszłym roku planów dietetycznych oferowało do 1500 kilokalorii (kcal) na dobę. W przedziale do 2000 kcal mieściło się niemal trzy czwarte wszystkich zamówień.

Dostawcy pudełek zaobserwowali już, że ich branżą rządzą co roku piki sprzedażowe występujące o tych samych porach

roku. Pierwszy pik przynosi fala noworocznych postanowień, która napędza po świętach klientów także klubom fitness. Drugi daje o sobie znać mniej więcej na dwa miesiące przed wakacjami, gdy zaczyna się sezon szlifowania sylwetek pod nadchodzący sezon plażowy. I trzeci, już mniejszy, po wakacjach, kiedy życie wraca na zwykłe tory i trzeba znowu pomyśleć o takich drobiazgach jak regularne jedzenie czy pozbycie się nadmiernej wagi.

Kuchnia singla

W powszechnym wyobrażeniu dieta pudełkowa jest produktem skrojonym przede wszystkim pod potrzeby samotnego, wielkomiejskiego klienta, wiecznie gonionego za czasem i walczącego o kon-

dycję fizyczną. W znacznej mierze nadal pokrywa się ono z rzeczywistością. Ceny diet pudełkowych są atrakcyjną alternatywą dla osób żyjących solo, najwyżej bezdzietnych par. Rodzinie złożonej z trzech i więcej osób bardziej opłaca się już samodzielnie gotowanie.

Prawdą jest wreszcie i to, że historia diet pudełkowych w Polsce pisze się w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu albo Gdańsku – ale to nie cała opowieść. Tamtejsze biurowce, w których jeszcze na początku stulecia głównym dostawcą kalorii był legendarny „Pan Kanapka”, figura znana chyba każdemu pracownikowi korporacji, z czasem stały się matczynikiem firm oferujących catering w pudełkach. Dziś zapotrzebowanie

→ na tego typu usługi dawno wykroczyło poza rogatki największych metropolii. Ze wspomnianego wyżej raportu Goodspeed wynika bowiem, że na każde sto zamówień, które wpadają do koszyka dostawcom diet pudełkowych, już 34 pochodzą od mieszkańców miejscowości liczących od 50 do 200 tys. mieszkańców.

O zaskoczeniu nie może być mowy. Dość spojrzeć choćby do danych z najnowszego spisu powszechnego, które pokazują, że pomiędzy 2011 a 2021 r. w Polsce jednocześnie ubyło ponad 800 tys. mieszkańców i przybyło 360 tys. gospodarstw domowych. Między tymi dwiema liczbami kryje się coś, co socjologowie nazywają kresem modelu rodziny wielopokoleniowej, choć urbaniści woliliby określić raczej jako poprawę warunków mieszkaniowych. Jakąkolwiek przyjąć definicję, wyjdzie na to samo: statystyczny polski dom lub mieszkanie, które w 2011 r. było matcznikiem średnio 3,14 osób, dekadę później gościło w swych progach już 2,99 osoby, a proces ten przyspieszył najbardziej właśnie na wsi i w małych miejscowościach.

Przybywało też gospodarstw jednoosobowych: pomiędzy rokiem 2011 a 2021 ich udział w łącznej liczbie polskich gospodarstw domowych wzrósł z 20,3 do 22,7 proc. (a według danych Eurostatu – nawet do 26 proc.). Tu prym wiodły już niepodzielnie miasta, w których odsetek osób żyjących samodzielnie wzrósł z 23,2 do aż 27 proc. W zbliżonym tempie przybywało w miastach rodzin dwuosobowych, przy jednoczesnym spadku gospodarstw domowych złożonych z trzech i więcej osób. Efekt? W 2011 r. w każdej setce polskich gospodarstw w mieście, te jedno- i dwuosobowe stanowiły 49,8 proc. Dekadę później ich udział w miejskiej populacji kraju wzrósł już do 55,2 proc.

Zmiany zaszły nie tylko w strukturze demograficznej. Gdy w 2021 r. rachmistrzowie kończyli zbieranie danych do ostatniego spisu, ekonomiści z niepokojem spoglądali już na inflację. Operacje ratunkowe dla sparaliżowanych przez pandemię gospodarek wtoczyły na ry-

W latach 2022-23 żywność podróżowała w Polsce aż o 24 proc.

Dietą pudełkową zainteresowali się klienci, którzy chcą oszczędzić nie na kaloriach, lecz na wydatkach na jedzenie.

nek gigantyczne ilości gotówki (w Polsce skarb państwa wydał na ten cel łącznie 312 mld zł), co musiało poskutkować wzrostem cen. Jedną z najmocniej dotkniętych drożyzną grup towarowych była żywność. GUS szacował, że między marcem 2022 a marcem 2023 r. jedzenie i napoje bezalkoholowe podróżowały w Polsce aż o 24 proc. Przeciętne polskie gospodarstwo domowe, które koszty wyżywienia dzieliło na coraz mniejszą liczbę członków, musiało więc dodatkowo zmagać się z szybko rosnącymi cenami. W tym samym czasie średni koszt wyżywienia w abonamencie pudełkowym właściwie nie drgnął (w przeciwieństwie do cen w restauracjach), oscylując na poziomie około 60 zł za jeden dzień. W ten oto sposób do firm oferujących usługi cateringowe zawiązała nowa grupa klientów: osoby, które chcą oszczędzić nie na kaloriach, lecz na wydatkach na jedzenie.

Tarnowianin Paweł Koszka w marcu skończy 55 lat. Kontakt ze sportem ogranicza, jak sam żartuje, do strzelnicy w Bochni, na której regularnie trenuje strzelanie długodystansowe. Cztery lata temu rozwiódł się z żoną i od tej pory mieszka sam. Syn wyjechał na studia za granicę. – Około tysiąca siedmiuset złotych, czyli około 85 zł za dzień. Tyle płacę za pełne wyżywienie na cztery tygodnie po pięć dni roboczych – wylicza. – Nie ma szans, żebym w Krakowie wydał mniej, przygotowując tylko dla siebie trzy-cztery posiłki dziennie, nie mówiąc o tym, że nie

przepadam za gotowaniem, a jeszcze bardziej za zmywaniem garów. Codzienne jedzenie w restauracjach też odpada, zbyt drogo.

Pudełka, jak zastrzega Koszka, mają oczywiście i wady. – O walorach smakowych nie będę się rozwodzić, jestem zadowolony, ale nie jestem smakoszem. Jednak świadomość, że już o ósmej rano wiesz, coś zjesz na kolację, bywa czasem irytująca.

Rachunek za pudełka

Krytycy cateringu pudełkowego często podnoszą także wpływ branży na środowisko. Blisko 130 tys. klientów zamawiających codziennie trzy- lub pięciodniowe menu oznacza, że każdej doby do śmietników trafia w Polsce od 390 do 650 tys. plastikowych opakowań jednorazowych. Dostawcy zdają sobie sprawę, że ten aspekt ich działalności dla niektórych potencjalnych klientów jest barierą trudniejszą do pokonania niż sama cena. W rozmowie z Money.pl szef NTFY zdradził, że jego firma jeszcze w tym roku proponuje diety pudełkowe w opakowaniach zwrotnych. „Rozpocznemy od testów w Warszawie, gdzie będziemy odbierać od klientów puste pudełka i przekazywać je do firmy, która przygotowuje je do ponownego użycia” – wyjaśnił.

Jeden problem pozostanie jednak nierozwiązany. Ekspansja diet pudełkowych w Polsce nieprzypadkowo zbiegła się w czasie z upowszechnieniem pracy zdalnej. Po wygaśnięciu pandemicznych obostrzeń większość firm powróciła do biur, ale około 33 proc. – jak wynika z ostatniego raportu Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego – nadal dopuszcza pracę w trybie bądź wyłącznie zdalnym, bądź hybrydowym (trzy dni w biurze, dwa w domu). Praca zdalna plus dieta pudełkowa na dłuższą metę może więc wpływać destrukcyjnie nie tylko na relacje społeczne, ale też osłabiać inne dziedziny gospodarki, odcinając je od potencjalnych klientów, którzy coraz rzadziej będą opuszczać mieszkanie. Każde wyjście z domu – czy to do pracy, czy na zakupy, albo do restauracji – to potencjalny zarobek dla sklepu i restauratora, ale też dla firm komunikacyjnych, producentów odzieży, rafinerii. Krag beneficjentów gospodarki opartej na ekonomii samotności (patrz ramka na stronie 23) jest na razie znacznie węższy. © MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

OLGA

Drenda:

Kto się śmieje ostatni



JAK WIELE O ŚWIECIE I O NATURZE WŁADZY absolutnej potrafi powiedzieć rozrywka i nurty wręcz błahe! Nie należy ich ignorować. XX wiek dobitnie pokazał, że tyrania i groteska to siostry bliźniaczki, i że komedia czy kabaret dobrze ukazują coś, co w poważniejszym tonie umyka analizie.

Dwudziestowieczni władcy bywali karykaturalni, megalomańscy, zakompleksieni. Nadawali sobie boskie tytuły, bywali absurdalnie rozrzutni lub dla odmiany skąpi, lubujący się w przerysowanym image'u i manieryzmach, krwawych spektaklach i godnych telenoweli intrygach. Oczywiście nie znosili przy tym, gdy ktoś na głos wspominał o ich strasznej śmieszności i żartownisiów uciszali przemocą. Cenzura zaś dopuszczała śmiech, ale co najwyżej ze „złych bojarów”, nigdy z cara, i nigdy na tyle śmiały, by pozwolić komuś podważyć nieodwołalność władzy. Nawet pod sam koniec PRL milicja nie przymykała oka na swawole Pomarańczowej Alternatywy, oczywiście ośmieszając się akcjami gonięcia krasnali po Wrocławiu, ale już zupełnie serio aresztując uczestników happeningów.

Całkiem inny rodzaj kabaretowości w polityce pokazał wiek XXI – era sprytnego błazna. Strategię tę stosował za swojej pierwszej kadencji prezydent USA Donald Trump i przyniosła mu ona wiele korzyści: swoimi ekscentryzmami, nonsensowymi tyradami w internecie i nieprzewidywalnym sposobem bycia skutecznie przykuwał uwagę opozycji, której nie star-

czało już pary na zajmowanie się sprawami fundamentalnymi. Pomyśl ten podchwycili m.in. premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson, obecny prezydent Argentyny Javier Milei, zwany w swym kraju „El Loco”, ale i w Polsce dałoby się znaleźć kilka przykładów polityków, którzy zaryzykowali utratę powagi dla innego rodzaju punktów (czy był to u nas manewr udany, niech każdy już sobie w cichości ducha odpowie).

Dziś Donald Trump już nie pozwala sobie na gafy, nie należy spodziewać się następców legendarnego tweeta o zagadkowej treści „covfefe”. Teraz prezydent grzmi jak nieznoszący sprzeciwu imperator. Na odcinek kabaretowy delegował za to „specjalnego pracownika” rządu, Elona Muska, którego droga do tego stanowiska przywodzi na myśl tyleż motywy ze starodawnych eposów, co komediowe animacje. Zwierzchnik miliardera najpierw kpił z niego i poniżał w internecie, po czym niespodziewanie zawiązał z nim osobiłą umowę: w zamian za status ponad prawem i przyzwolenie na dowolną ingerencję w państwowe instytucje zażądał nieustannych, groteskowych wręcz hołdów i aktów wiernopoddąństwa. Musk został więc nadwornym pochlebcą i (zdecydowanie bardziej żenującym niż śmiesznym) trefnisiem. Przy całej nieprzewidywalności dzisiejszej Ameryki i potencjalnie opłakanych skutkach decyzji jej nowych władców, trudno nie pomyśleć chwilami o niezapomnianej kreskówce „Gumisie” i duecie Księciunio-czołobitny giermek Toadie, choć trzeba też przyznać, że trudno powiedzieć, do kogo w tym osobiwym układzie częścię należy ostatnie słowo.

Fakt, że rozmaite scenariusze w dziejach świata miały swoje precedensy, niekoniecznie podnosi na duchu. Podobnie jak element kabaretowy w śmieszno-strasznych rządach nie czynił ich znośniejszymi: Charlie Chaplin nie uratował swoim „Dyktatorem” Europy, tragiczny los spotkał Eugeniusza Bodo, który przed wojną dworował sobie z totalitarnego zadęcia, zakładając pogodną Ligę Miłości i Śmiechu. Ale, jak napomknęłam wcześniej, to, co wydaje się lekkie czy błahe, może zawierać ważną lekcję o kulturze. Dajmy na to – klasyczne kreskówki ze studia braci Warner, które na pierwszy rzut oka cieszą czystym slapstickiem: tu ktoś się wywraca, tam orientuje się w biegu, że znalazł się nad przepaścią, znów zapomina skrócić w lewo w Albuquerque. Ale zawierają też inną wielowiekową mądrość albo przestrożę: nie ma takiej potęgi, której nie da się podkopać sprytem. To mądrość pożyczona z zasobu mitów świata, gdyż wzorem dla Królika Bugsa był Brat Królik, Nanabozho, Leuk – istota o skromnej powierzchowności i pozornie słaba, ale zdolna wyprowadzić wszystkich swoich przeciwników w pole. Gdy zatem współcześni politycy lubują się w ostentacyjnie kreskówkowych pozach, można zacząć się zastanawiać, czy kiedyś ktoś nie zapyta ich zawiadacko: „co jest, doktorku?” ©

*Symbol sprytu
we własnej
osobie*



Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

ŻYJEMY ZWYCZAJNIE

KRYSTYNA GUT, MAMA PIĘCIORGA DZIECI:

Serial „Matki pingwinów”
przybliży nasze życie, ale nie do końca.
Niepełnosprawne dzieci mogą być jeszcze
uznawane za słodkie,
ale nie oszukujmy się:
nikt nie chce oglądać,
jak przewija się niepełnosprawnego
nastolatka na stacji benzynowej.



MAŁGORZATA NOCUŃ: Często słyszysz pytanie: „Jak to się dzieje, że nic, tylko się uśmiechasz”?

KRYSTYNA GUT: Tak. I cóż mam odpowiedzieć? Mam dobre, pełne miłości życie. Nawet nie mam potrzeby marzeń, bo marzyć mogłabym tylko o zdrowiu dla naszych synków: Stefka i Ignasia, ale przecież to nigdy się nie spełni. Cieszę się więc każdym dniem, doceniam rzeczy najważniejsze – mamy dach nad głową, stać nas na kupno jedzenia, kochamy się z moim mężem i dopisuje nam zdrowie. A poza tym nie potrafię się załamywać, pogrążyć w depresji. Tę cechę wyniosłam z domu: chwilę się posmucę i zakasuję rękawy do pracy.

Ludzie patrzą na mamę dziecka z niepełnosprawnością i mówią: „Nie wyobrażam sobie takiego życia”. Ty masz dwójkę dzieci na wózkach inwalidzkich.

Stefek i Ignas cierpią na najcięższą postać mózgowego porażenia dziecięcego, codziennie zmuszeni są walczyć o życie bez bólu. Mozolna rehabilitacja czyni cuda – ich nogi i ręce nie są zniekształcone przez nadmierne napięcie mięśniowe. Lata ćwiczeń sprawiły, że Stefek nauczył się kontrolować głowę, nie musi używać już specjalnego ortopedycznego kołnierza. Trzymany za ręce panuje nad ciałem, potrafi usiąść i wstać. Chłopcy nauczyli się też kro-

czyć z pomocą moją i mojego męża. Karmimy ich łyżeczką.

Fizycznie są bardzo do siebie podobni, a charakterologicznie?

Bardzo się różnią. Ignacy lubi ciszę. Cza-sem chce zostać sam w pokoju. Stefek chciałby nam wiele powiedzieć, wiemy też, że marzy o bieganiu i rozrabianiu, ale ciało mu na to nie pozwala. Nie mówi, porozumiewa się z nami przy pomocy książeczki służącej do komunikacji alternatywnej. Kiwa głową na „tak” i na „nie”. Ma bardzo dobry słuch, zawsze pragnie znajdować się w centrum wydarzeń. Kiedy słyszy, że w pokoju obok coś się dzieje, krzyczy. Trzeba natychmiast go tam zabrać.



ARCHIWUM RODZINNE

„Matki pingwinów” – polski serial opowiadający o życiu dzieci z niepełnosprawnością – znalazł się na liście najlepszych seriali zagranicznych według „New York Timesa”.

Na pewno przybliży codzienność ludzi z niepełnosprawnością i ich opiekunów. Oczywiście przedstawiony w nim świat jest polukrowany. Niepełnosprawne dzieci mogą być jeszcze uznawane za słodkie czy „kochane”, ale nie oszukujmy się: nikt nie chce oglądać, jak przed wizytą u lekarza przewija się niepełnosprawnego nastolatka na stacji benzynowej. To samo dotyczy ataków padaczki czy agresywnego zachowania osób z niepełnosprawnością.

KRYSTYNA GUT jest absolwentką inżynierii środowiska, mamą pięciorga dzieci, w tym bliźniaków z niepełnosprawnością – Stefka i Ignasia.

Na zdjęciu:

Krystyna i Gabriel Gutowie z dziećmi, Łucją, Stefką, Tymkiem i Ignasiem, zanim pojawiła się Michalina.

Jedna z serialowych „matek pingwinów” nie godzi się na swój los. Wypiera niepełnosprawność syna, u którego zdiagnozowano spektrum autyzmu.

U wielu rodziców występuje ten mechanizm. Ja się nie oszukiwałam. Od razu wraz z mężem zaczęliśmy robić wszystko, by chłopcy nie cierpieli i wywalczyli sobie jak największą sprawność fizyczną i psychiczną. Stefek i Ignaś zupełnie odmienili nasze życie. Żeby mieć w zasięgu ręki ośrodki prowadzący rehabilitację, przedszkole i szkołę, przeprowadziliśmy się z Wałbrzycha do Świdnicy. Kiedy przyszli na świat, mój mąż pracował jako prawnik; ale skończył studia →

→ fizjoterapeutyczne, ponieważ myśleliśmy, że będzie z chłopcami ćwiczył. Jednak bycie terapeutą własnych dzieci jest zbyt trudne. Dziś zajmuje się rehabilitacją osób dorosłych.

Złe rokowania dotyczące rozwoju chłopców zaczęły się spełniać, kiedy byli jeszcze niemowlakami?

Stefan nie brał nic do rącek, nie przewracał się na brzuch ani z boku na bok. Jego choroba była widoczna. Ignacy był o wiele sprawniejszy motorycznie od brata. Recytował też wierszyki, na jednym z zachowanych filmików deklamuje „Lokomotywę” Juliana Tuwima. Niestety w wieku trzech i pół roku zupełnie przestał mówić, i choć przeprowadziliśmy mnóstwo badań, nie dowiedzieliśmy się, dlaczego tak się stało. Psychiatrzy podejrzewają, że cierpi na autyzm i zamknął się w swoim cichym i bezpiecznym świecie. Trudno jednak postawić jednoznaczną diagnozę autyzmu u pacjenta z mózgowym porażeniem dziecięcym.

Kiedy zaszłaś w ciążę, miałaś zaledwie 27 lat. Byłaś zdrowa.

Nic nie zwiastowało przedwczesnego porodu.

Mieszkaliśmy w Anglii. W 22. tygodniu ciąży zaczęłam odczuwać lekki ból w podbrzuszu. Lekarz, do którego chodziłam na kontrolę – Polak – podczas badania stwierdził rozwarcie szyjki macicy, pojawiły się skurcze. Powiedział, że zaczyna się poród, ponad cztery miesiące przed terminem. Gdyby chłopcy pojawili się na świecie, nie mieliby szans na przeżycie. Karetka zabrała mnie do szpitala. Lekarze stwierdzili jednak, że to zbyt niska ciąża, by zostawić mnie na oddziale – w Anglii są inne standardy opieki nad ciężarnymi niż w Polsce.

Co można zrobić w takiej sytuacji?

Usiadłam na ławce i wybrałam numer telefonu lekarza-Polaka, zapłakana zapytałam, co mam zrobić. Powiedział, że mogę zostać w Anglii i po prostu czekać, co się wydarzy, albo polecić do Polski. Wieczorem wsiałam więc do samolotu, z lotniska – w środku nocy – odebrał mnie mąż. Od razu pojechaliśmy do szpitala. Byłam roztrzęsiona i zupełnie nieprzygotowana do pobytu na oddziale. Położna stanęła przy moim łóżku i westchnęła: „No jak to tak? Do szpitala bez

Boję się i odsuwam myśli o przyszłości.

Opieką nad bliźniakami nie chcemy obarczać naszych zdrowych dzieci. Nigdy od nas nie usłyszysz: „Kiedy umrzemy, macie się nimi zająć”. Mają prawo do własnego życia.

koszuli nocnej i bez kubeczka?”. Na oddziale patologii ciąży leżałam przez osiem tygodni. W 29. tygodniu ciąży chłopcy przyszli na świat, mimo starań lekarzy porodu nie udało się już dłużej powstrzymać.

Stefek i Ignas ważyli po 1300 gramów, każdy z nich mieścił się na dłoni.

Pobyty chłopców na oddziale intensywnej terapii noworodka do dziś jest jedną z moich najgłębszych traum. Przez pierwsze dni baliśmy się z mężem, czy nasze dzieci przeżyją. Patrzyliśmy, jak bezwładne leżą w inkubatorach, jedyne, co mogliśmy zrobić, to włożyć dłoń do środka i nakryć nią ich ciała. Na oddziale toczyła się walka o każdy ich oddech, wielkim sukcesem było, kiedy samodzielnie zjedli pół milimetra sześciennego mleka.

Myśleliście wtedy o ich przyszłości?

Oczywiście mieliśmy świadomość, że wcześniactwo może wiązać się z utratą wzroku, słuchu, dziecięcym porażeniem mózgowym, ale codziennie pytaliśmy o ich stan zdrowia lekarzy dyżurnych. Nie słyszeliśmy nic niepokojącego. Stefek i Ignas nie mieli nawet wylewów krwi do mózgu, które wśród dzieci urodzonych przedwcześnie są tak częste. Nikt nie mówił nam też, że przezciemniaczkowe USG mózgu wykazało jakiegokolwiek zmiany.

Ich niepełnosprawność spadła na Was jak grom z jasnego nieba.

Chłopcy spędzili na oddziale trzy miesiące. Urosli, coraz bardziej przypominali noworodki, a nie miniatutki dzieci, nie

leżeli w inkubatorach otoczeni kablami oraz rurkami od aparatury medycznej, tylko w łódeczkach. Zbliżał się wypis. Pewnego dnia zobaczyłam na szpitalnym oknie grubą tęczkę z naszym nazwiskiem, była w niej medyczna dokumentacja Stefka i Ignasia. Zaczęłam czytać opisy ich badań i nagle zabrakło mi tchu.

Dlaczego?

Dowiedziałam się z nich, że moje dzieci mają duże – bo mierzące aż 7 milimetrów – jamy w mózgu, czyli ubytki tkanki. Poprosiłam o rozmowę lekarkę, a ona odparła: „Czy pani nie zdawała sobie sprawy, że to będą rośliny?”. Ugięły się pode mną nogi, zabrakło tchu. Przez dwa dni nie byłam w stanie przekroczyć progu oddziału. Odciągałam dla chłopców mleko i podawałam je położnym przez drzwi. Potrzebowałam czasu, żeby uporządkować myśli, pogodzić się z niepełnosprawnością swoich dzieci.

Nie liczyłaś na cud?

Inny lekarz neonatolog trochę nas uspokajał. Mówił, że choć mózgi chłopców są uszkodzone, to nie wiadomo, jak ten fakt wpłynie na ich rozwój, zapewniał, że rehabilitacja może zdziałać cuda. Moi rodzice długo wierzyli, że chłopcy przezwyciężą chorobę, zaczną chodzić i mówić. Ale ja mam matematyczny umysł, myślę racjonalnie, oswajałam się więc z losem, czytałam historie dzieci urodzonych przedwcześnie, którym się „nie udało” wyjść z wcześniactwa bez szwanku.

Jak reagowało na chłopców otoczenie?

Ignas i Stefek cierpieli z powodu wzmożonego napięcia mięśniowego, ból sprawiał, że nie przestawali płakać. Od świtu do nocy dosłownie wrzeszczeli, a ja i mój mąż nosiliśmy ich na rękach. Spacerowałam z nimi dookoła bloku, a siedzące na ławeczce starsze sąsiadki radziły: „Proszę ich nakarmić, muszą być bardzo głodni!”. Kiedy skończyli rok, ktoś chciał mnie pocieszyć i powiedział: „Przynajmniej nie masz kłopotu, oni tylko leżą i patrzą w sufit, więc nie musisz za nimi biegać jak inne matki”.

Matki dzieci z niepełnosprawnością mówią same o sobie: „Jesteśmy matkami żebrzącymi”.

Z systemem opieki nad dziećmi z niepełnosprawnością zetknęłam się natychmiast po opuszczeniu oddziału. Otrzymaliśmy plik skierowań, na każdym widniała adnotacja „pilne”. Był marzec, poszłam do poradni kardiologicznej, pani w rejestracji powiedziała: „Termin na luty”. Odparłam: „Ale luty już był”. Wtedy usłyszałam, że chodzi o luty przyszłego roku. Praktycznie wszystkie badania przeprowadzaliśmy więc prywatnie. Podobnie z rehabilitacją. Pierwszy rok życia chłopców minął nam w podróży – jeździliśmy od specjalisty do specjalisty. Biedro Stefka wymagało operacji, której nie przeprowadza się w Polsce, udaliśmy się do Niemiec. Po trzech latach w jego kolanach trzeba było umieścić specjalną płytkę, by wyrównać długość kończyn. Te kosztowne zabiegi, które były możliwe do przeprowadzenia jedynie dzięki publicznym zbiórkom, sprawiły, że nie odczuwa bólu.

Cieężko było zdecydować się na kolejne dziecko?

Bardzo się bałam. Zrobiłam mnóstwo badań – wraz z diagnostyką genetyczną – by mieć pewność, że to nie moje ciało winne jest przedwczesnemu porodowi. Ginekolog-położnik zapewnił mnie, że zostaną otoczona troskliwą opieką, że niczego złego nie przeoczy. W ciążę zaszłam ponad dwa lata po urodzeniu bliźniaków, niestety, na macicy pojawiły się dwa krwiaki, które niosły ze sobą niebezpieczeństwo poronienia. Prawie pięć miesięcy utrzymywało się płamienie, a ja przeleżałam plackiem w szpitalu słysząc, że „z tej ciąży może już nic nie być”. Na szczęście Tymek urodził się o czasie. I był zdrowy.

Jak udaje się Wam godzić opiekę nad bliźniakami i zdrowymi dziećmi? Stefek, Ignas i Tymek to przecież nie wszystkie Wasze dzieci.

Jest jeszcze trzyletnia Łucja i Michalinka – czteromiesięczna kruszynka. Żyjemy zwyczajnie. Nie chcieliśmy, by choroba chłopców spowodowała, że siedzimy zamknięci w czterech ścianach, zamartwiamy się i poświęcamy się jedynie ich rehabilitacji. Wstajemy wcześniej rano. Jak w każdym domu, gdzie są małe dzieci, panuje u nas krzątanie i rozgardiasz. Ubieramy Ignasia i Stefka, przygotowujemy ich do wyjścia do przedszkola

badz na rehabilitację. W odprowadzaniu bliźniaków pomaga nam Justyna, asystentka z MOPS-u. Tymek ma już pięć lat, więc także idzie do przedszkola. Łucja i Michalinka zostają ze mną w domu. Chodzimy na plac zabaw. Tymek jeździ na rowerze, Łucja się bawi, Michalina śpi w chuście, a Stefka bujam na dużej huśtawce, na której można położyć dziecko. Jak wiele mam gotuję, odprowadzam dzieci na zajęcia pozaszkolne.

Wspólnie jeździmy na wakacje, udało nam się nawet odwiedzić Włochy, chodzimy po górach.

Jakim cudem?

Kiedy na świecie nie było jeszcze naszych dziewczynek, wkładaliśmy Tymka do chusty, a ja i mój mąż pchaliśmy specjalistyczne wózki, które stosunkowo łatwo prowadzi się w nierównym terenie. Wiele szczytów udało nam się tak zdobyć. Teraz, kiedy mamy piątkę dzieci, korzystamy z pomocy fundacji „Łączą nas góry”, która organizuje wspólne wycieczki osób z niepełnosprawnościami i ich rodzin. Wózki często pchają wolontariusze. Najtrudniejsze jest pakowanie: dzień przed wyjazdem w samochodzie muszą znaleźć się wózki, nosidełka, Tymkowi musimy przygotować jedzenie, ponieważ ma specjalną dietę.

Czasem jednak i Ty zapłaczesz.

Jak wtedy, gdy pod internetowym postem, w którym za pośrednictwem fundacji prosiliście o wsparcie zbiórki na leczenie i rehabilitację chłopców, ktoś napisał, że „należałoby poddać ich eutanazji”.

Tak, pojawiło się tam także stwierdzenie, że bliźniaki są „pokrakami”. Ów internauta stwierdził, że „niepotrzebnie się męczą”. W takich chwilach pojawia się rozpacz, niewyobrażalny ból. Mój mąż mnie przytulił, powiedział, że sieć – która zapewnia anonimowość – pozwala wlewać ludziom frustracje. Mówił, że nie możemy się załamywać, przecież nasze dzieci są przez nas kochane i mają dobre życie.

Jak rodzeństwo traktuje bliźniaki?

Dużo z nimi rozmawiamy, chcemy, by Tymek, Łucja, a w przyszłości także Michalinka wiedzieli, dlaczego chłopcy są niepełnosprawni. Opowiadamy im

o przedwczesnym porodzie i pobycie na OIOM-ie. Tymek i Łucja próbują się z bliźniakami bawić, pokazują im książeczki, zabawki, zagadują, śpiewają piosenki. Łucja wie, że Ignas uwielbia daktyle, więc kładzie je na kolanach brata, a on po cichu je zjada. Daje je także Stefkowi, ale on nie jest w stanie samodzielnie wziąć ich do ust. Lubimy grać w planszówki. Biorę w moje dłonie rękę któregoś z chłopców i wspólnie rzucamy kostką. W podobny sposób układamy klocki. Tańczymy.

Boisz się przyszłości?

Boję się i odsuwam myśli o niej. Opieką nad bliźniakami nie chcemy obarczać naszych zdrowych dzieci. Nigdy od nas nie usłyszą: „Kiedy umrzemy, macie się nimi zająć”. Mają prawo do własnego życia. Jesteśmy pogodzeni z faktem, że kiedy się zestarzejemy i zupełnie braknie nam sił, chłopcy być może znajdą się w specjalistycznym ośrodku, który zapewni im opiekę. Już dziś codzienna troska nad nimi wymaga dużej siły fizycznej. Ignas waży 25 kilogramów, a Stefek 20. Kilka razy dziennie trzeba ich podnieść, umieścić w wózku czy pionizatorze, a wieczorem wykapać.

Twój mąż nie mógł usiąść z nami do rozmowy, ponieważ bardzo dużo pracuje. Wspiera Cię jednak i bardzo kocha Wasze dzieci. Ojcowie często jednak opuszczają niepełnosprawne potomstwo.

Mówią matkom, że „nie chcieli takiego życia”. Słyszałam o tacie, który namawiał żonę do oddania dziecka z niepełnosprawnością zaraz po jego narodzinach. Kiedy na to nie przystała, opuścił ją. Inny odszedł od żony po piętnastu latach związku. Stwierdził, że ma dość. Mój mąż wraca do domu wieczorem, jest znużony pracą, a stęsknione dzieciaki wchodzą mu na kolana i wieszają się na szyi, krzycząc: „tata, tata!”. Przytula ich i bawi się z nimi, na ile starczy mu sił. Nasz dom praktycznie nigdy nie milknie. Tymek to mały gaduła, wymaga, by wciąż poświęcać mu uwagę. Łucja tupta po mieszkaniu, a w nocy Michalinka budzi się co kilka godzin. Czasem ja i mój mąż czujemy się bardzo zmęczeni, myślimy, że chcielibyśmy odpocząć, ale nie zamienilibyśmy naszego życia na żadne inne.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUN

STANISŁAW

Mancewicz: Szacuneczek



Oczywiście mało komu jest dziś do śmiechu, ale gdy usłyszeliśmy, jak wiceprezydent USA publicznie domaga się szacunku od prezydenta Ukrainy, zrozumieliśmy, że jesteśmy w domu. Każdy, kto ma w swym kraju

prawicowych populistów z gigantycznym deficytem własnej wartości, pomieszanym z poczuciem wyższości, wie, że wobec tych ludzi trzeba koniecznie, bez ustanku, demonstrować bezbrzeżny szacunek. Że należy ich przeproszać za wszystko, najlepiej na kolanach albo na leżąco. To może wystarczyć, ale gwarancji nie ma żadnej, bo mogą uznać, że i szacunek, i przeprosiny były nieszczerze. Mogą zakwalifikować szacunek jako szacuneczek.

Nie będziemy dziś analizować sytuacji geopolitycznej na planecie, bowiem taka analiza wydaje się nam, w naszym wykonaniu, zbędna. Każdy widzi, jak jest, i nikt nie wie, ani o co chodzi, ani co z tego wyniknie. W ciągu ostatnich dni przeczytaliśmy bardzo dużo streszczeń owego sławnego spotkania w Białym Domu, które, w co nie wątpimy, znajdzie się niebawem w każdym podręczniku historii. Spotkanie to – co wie każdy – skończyło się karczemną awanturą i wyrzuceniem gościa na ulicę. Dziesiątki znawców, amatorów i zawodowców, psychologów, psychiatrów i behawiorystów, minuta po minucie, zarówno w zwolnionym, jak i przyspieszonym tempie, oglądało to wydarzenie po wielokroć.

Powstało już wiele teorii, wskazano na wiele przyczyn takiego finału, ale jedna przyczyna rzuca się nam w oczy bardziej. Wypada jednak zacząć z dumą od tego, że była to na pewno

w naszym życiu jedyna oglądnęta tego typu scena. W tym miejscu, w tym budynku, z udziałem postaci formatu prezydenckiego. O niczym podobnym nigdy nie słyszeliśmy, przynajmniej w czasach ogólnie rzecz biorąc nowożytnych. Oto burdę nakręciło stwierdzenie wiceprezydenta Vance'a, że gość nie okazuje Wielkiemu Gospodarzowi należytego szacunku. Wszyscy byli trochę zaskoczeni, bowiem spotkanie miało mieć – jak nam zapowiadano – charakter biznesowy. Szybko jednak uznano, że tzw. brak szacunku jest to fajny i nietrudny motyw do ostrej naparzanki, których nigdy za mało. Zwłaszcza w sferach kibicowskich. Ale – popatrzmy – ostre naparżanie stało się z czasem nieodzownym elementem polityki, też jak się okazuje polityki międzynarodowej, dyplomacji oraz – co nowe – biznesu. Z tym biznesem to może trochę przesada – bo rzekomo rozległe ukraińskie złoża bezcennych minerałów, które USA miały wziąć w zastaw, na pewno nie są tak proste w eksploatacji, jak owe na Grenlandii, w Kanadzie czy w Panamie, czyli w miejscach, które czekają na nowych kolonizatorów. Wróćmy jednak do owego szacunku, a w zasadzie jego braku.

Jak już na samym wstępie napisaliśmy, specyficznie, kibolsko pojęty szacunek to podstawa i klasyka prawicowego kombinowania świata. Szanuje się w nim tylko silniejszych. Słabszymi się pomiata. Wszyscy widzieli wielki szacunek, jaki okazywał p. A. Duda ze współpracownikami, oczekując na audiencję u amerykańskiego prezydenta w szatni amerykańskiej sali widowiskowej. Z tej okazji D. Trump nazwał prezydenta RP fajnym facetem. Strach pomyśleć, co by było, gdyby koledzy p. Trumpa uznali jednak, że p. A. Duda nie okazał szacunku w wystarczającym stopniu. Bo na przykład, niebacznie, poprosił o przestrzeganie jakichś traktatów, podpisanych dawno temu przez jakiegoś prezydenta USA, którego obecny prezydent USA uważa za głupka. Czy to jest nie do wyobrażenia? Oczywiście, że jest. I oczywiście, że dobrze, iż p. Duda wykazuje dokładnie taki rodzaj szacunku, jaki oczekują ci niesłuchani panowie za oceanem. Szacuneczek. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM!**

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!



KOBIETY A KONFLIKT ZBROJNY

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA

07.03.

**SALA
SEJMU
ŚLĄSKIEGO
LIGONIA 46**

07-08.03.

**INSTYTUT
IM. WOJCIECHA
KORFANTEGO**

**TEATRALNA 4
KATOWICE**



**07-08
/03
2025**



Województwo
Śląskie

Honorowy patronat
Marszałka Województwa Śląskiego
Wojciecha Saługi



INSTYTUT
IM. WOJCIECHA
KORFANTEGO

Regionalny Instytut Kultury
im. Wojciecha KorfanteGO jest
instytucją kultury Samorządu
Województwa Śląskiego.



Polskie
Radio
Katowice



REKLAMA



Parlament Europejski
Biuro w Polsce



Biuro Parlamentu Europejskiego w Polsce
zaprasza do wysłuchania podcastu:

Równość płci tropimy stereotypy

REKLAMA



ŚWIAT

*Polscy i niemieccy żołnierze na manewrach NATO.
Korzeniewo, 5 marca 2024 r.*

PRZEWROT KOPERNIKAŃSKI

Zmiana władzy w Berlinie zbiega się z końcem dawnych więzi między Stanami a Europą. Co to oznacza dla Niemiec i relacji z Polską?

ANNA KWIATKOWSKA

TO JUŻ WIADOMO NA PEWNO: W NIEMCzech nie będzie rządzić naprawdę wielka koalicja dwóch najsilniejszych ugrupowań. Taką mogliby utworzyć zwycięscy chadecy z Alternatywą dla Niemiec (AfD), ale partia Alice Weidel nie ma zdolności koali-

cyjnej – jest zbyt radykalna, a także prorosyjska.

Najbardziej prawdopodobny układ rządowy, który wyłania się po tych wyborach – czyli koalicja CDU/CSU i SPD – nie będzie koalicją wielką. Będzie to sojusz reprezentujący ok. 45 proc. oddanych

głosów (ordynacja sprawia, że tyle wystarczy). Sojusz nierównych partnerów, w dodatku jednocześnie wygranych i poturbowanych.

Chadecy co prawda wygrali, ale liczyli na lepszy wynik. Z kolei klęska SPD (najgorszy wynik od ponad stu lat) jest oczy-

wista, ale pozostaną u władzy. Taki rząd będzie jednak stabilniejszy, niż gdyby potrzeba było do jego tworzenia jeszcze Zielonych. Co oczywiście martwi AfD, grającą na destabilizację, ale cieszy tych, którzy oczekują w Niemczech zmian pilnych i niezbędnych.

Oczekiwanie społeczne wobec przyszłego kanclerza, Friedricha Merza, są ogromne i dotyczą zwłaszcza problemów wewnętrznych: zaostrzenia polityki migracyjnej, ożywienia gospodarki, poprawy bezpieczeństwa publicznego. Gdzie by nie przyłożyć ucho, słychać apele o szybkie działanie. Jednak co najmniej tyle samo apeli powinno być wybrzmiewać, by obudzić niezbędne niemieckie reakcje na sytuację światową. A tu nic – w kampanii wyborczej była głucha cisza. Pochód lunatyków.

Nowa Ameryka kontra Niemcy

To, że polityka zagraniczna odgrywa marginalną rolę w niemieckich wyborach, jest niemal regułą. Jednak czas jest niezwykły. W obliczu pełnoskalowej wojny w Europie i powrotu Donalda Trumpa jej dojmujący brak był szokujący. Przecież wiele wystąpień prezydenta USA i członków jego administracji można uznać za bezpardonowy atak na Niemcy – zwiastujący przewrót kopernikański w relacji obu państw.

USA są najważniejszym rynkiem zbytu dla niemieckiego eksportu. Wprowadzenie ceł na produkty z Unii, a także z gospodarek powiązanych z Niemcami (np. Meksyku), zagrozi wielu miejscom pracy w Niemczech i spadkiem produkcji. Także groźby wycofania wojsk USA – niejako za karę, za zbyt małe nakłady na obronność – mają głównie niemieckiego adresata. Wprawdzie Berlin osiągnął z trudem wymagane 2 proc. PKB, ale to za mało, by odtworzyć zdolności Bundeswehry.

Również zarzuty wiceprezydenta J.D. Vance'a na konferencji w Monachium, dotyczące rzekomej słabości europejskiej demokracji i zagrożeń dla wolności słowa, skierowane były głównie do Niemiec. Vance gościł na niemieckiej ziemi w przeddzień wyborów. Jego poparcie dla AfD było ingerencją w proces wyborczy – i nie zmienia tego fakt, że politycy i eksperci niemieccy opisywali zakulisowe rozmowy z Vance'em jako rzeczowe, nawet sympatyczne. Jego mowa w Mona-

chium była deklaracją wypowiedzenia Niemcom ideologicznej wojny.

Słoń w pokoju

Otoczenie Niemiec jest więc coraz bardziej niekorzystne, a skutki tego dotkną każdego ich obywatela. Mimo to, poza zaniepokojonymi eksperckimi „bańkami”, o zagrożeniach tych w kampanii w zasadzie nie dyskutowano. Dlaczego? Czy politycy unikali tego tematu, bo nie uważają swego społeczeństwa za dość dojrzałe? Czy może nie chcieli go straszyć?

A może jest tak – i to najbardziej prawdopodobne – że zamilczając politykę zagraniczną w kampanii, omijali słońce stojącego pośrodku ich pokoju, czyli własne strategiczne błędy w polityce światowej? Bo gdyby trzeba było zająć się poważnie stanem wojny na Ukrainie, negocjacjami Trumpa z Putinem, atakami prezydenta USA i jego ekipy na Niemcy, wówczas politycy musieliby przyznać, że wynikają one także z ich własnych wieloletnich zaniedbań i tam mają swe przyczyny.

W tym: we wspieraniu Ukrainy jedynie tak, „aby nie przegrała”, w ignorowaniu przez dekady próśb i gróźb kolejnych prezydentów USA dotyczących nakładów na obronność czy uzależniania energetycznego Niemiec od Rosji. W końcu w uznawaniu parasola nuklearnego Stanów nad Europą za niepodważalny pewnik. A także w ostrej antytrumpowskiej retoryce i nieco łagodniejszej, ale za to nieustannej, antyamerykańskiej.

Proces egzegezy własnych błędów byłby bolesny. Zwłaszcza że to kolejny raz w ciągu kilku lat, gdy trzeba byłoby posypywać rany solą.

Najpierw Putin, teraz Trump

Wybory za nami. Kluczowe dziś pytanie brzmi, czy Niemcy nadal będą zajmować się tylko drobiazgowymi debatami nad tym czy innym podatkiem, zasiłkiem i fiaskiem polityki migracyjnej, słowem – nad tematami na czas pokoju. Czy może zaczną także komunikować społeczeństwu, że ich państwo stanęło przed koniecznością redefinicji swojej strategii międzynarodowej?

I to po raz kolejny takiej redefinicji, która przychodzi z zewnątrz – tym razem ze strony Trumpa. Wcześniej, trzy lata temu, inny polityk spoza Niemiec – Władimir Putin – skutecznie (choć nie chcący) zmotywował niemiecką aktyw-

ność. To on, swoimi działaniami, wymusił rezygnację Berlina z gazociągu Nord Stream 2.

Takiej mocy nie mieli wcześniej Amerykanie, Polacy ani politycy Zielonych, przekonujący od dawna, że nie jest to projekt biznesowy (jak twierdził Olaf Scholz jeszcze niedługo przed rosyjską napaścią). Dopiero Putin udowodnił, że rację mieli ci, którzy twierdzili, iż jest to instrument polityczny osłabiający strategicznie Ukrainę.

Teraz kolej na Trumpa. Forma jest oczywiście inna – nie można porównywać działań dyktatora Rosji i prezydenta USA – ale rezultat będzie ten sam. Najpierw Kreml, teraz Biały Dom wyrwali Niemcy ze strefy komfortu i wymuszają zmiany w ich polityce.

Pomysły na drogi wyjścia

Somnambulika nie wolno gwałtownie wybudzać, jednak i Europa, i Berlin stoją przed wyzwaniem nowego ułożenia relacji z USA.

Przy czym Niemcy muszą szukać dla siebie nowej roli nie tylko w stosunkach transatlantyckich, ale też w samej Europie. Z prób objęcia przywództwa z pewnością nie zrezygnują, ale z pożegnaniem się z obecnością USA w Europie mentalnie nie będą mieli większych problemów. Merz twierdzi, że ma nadzieję przekonać Amerykanów o wzajemnych korzyściach z relacji transatlantyckich, ale jeśli to się nie uda, to trzeba inwestować w europejskie zdolności, by stopniowo „zastąpić USA”.

Oznacza to jednak, że Berlin musiałby znacznie poprawić relacje z Paryżem (i tak kluczowe) i Londynem, by otrzymać od nich ochronę militarną, w tym nuklearną. Pomysły zacieśnienia tej współpracy nie są nowe, krążyły już w trakcie kryzysu finansowego w pierwszej dekadzie XXI w., ale były odrzucane przez Niemców jako zbyt kosztowne. Ceną było poluzowanie narzuconej przez Niemcy polityki oszczędności i inne ustępstwa wobec Brytyjczyków. Kto wie, może uniknęlibyśmy brexitu.

Cel: odbudować armię

Taki model rozszerzonej współpracy europejskiej w wymiarze bezpieczeństwa konsumowałby pomysły Friedricha Merza na stworzenie wspólnego europejskiego rynku zbrojeniowego. ➔

→ Pozwoliłby też zrealizować idee – artykułowane nieśmiało, krążące już za rządu Scholza, a wyrażane nawet przez zielonego ministra gospodarki Roberta Habecka: aby to przemysł zbrojeniowy stał się kołem zamachowym niemieckiej gospodarki (już dziś jest ona czwartym eksporterem broni na świecie). Kiedyś technologie do zielonej energii, dziś broń – trzeba się dostosować do nowych warunków.

Żeby jednak być podmiotem w negocjacjach, na poziomie unijnym i transatlantyckim, Niemcy muszą stanąć militarnie na nogi. Stąd pomysł Merza, dla wielu kontrowersyjny, aby jeszcze w „starym” Bundestagu uchwalić wraz z SPD, Zielonymi i FDP specjalny fundusz dofinansowujący Bundeswehrę – analogiczny do tego z 2022 r., tyle że dwa razy większy, tym razem na sumę 200 mld euro. Merz obawia się bowiem, że w nowym Bundestagu, w którym Lewica i AfD mają tzw. mniejszość blokującą, nie uda się zebrać większości dla takich wydatków na wojsko.

To propozycja z kategorii tonący brzytwy się chwyta, ale sytuacja nowego niemieckiego rządu będzie bardzo trudna, więc czemu nie spróbować.

Otrzeźwiająca konstatacja

Może Polska powinna wykorzystać tę sytuację? Wykorzystać wstrząs, jakiego doznali Niemcy, gdy okazało się, ponownie w ciągu kilku lat, że nie są wyjątkowym państwem w Europie, które ma specjalne stosunki czy to z Rosją, czy ze Stanami. I że dotyczą ich te same skutki, że są poddani tym samym szantażom co inni, że nie są globalnym graczem i jadą z innymi na tym samym europejskim wózku.

Taka otrzeźwiająca konstatacja zadziałałaby na korzyść rozwoju naszych stosunków i dawała nadzieję na partnerską współpracę.

Już jesteśmy i pewnie będziemy obiektem „ofensywy wdzięku” ze strony niemieckiej. Politycy CDU/CSU, partii wkrótce rządzącej, zaliczają nas do „rdzenia Europy”, niemal do grona decydentów i do tych, którzy mają współkształtować, jak mówią, „sprawiedliwy pokój na Ukrainie”.

Friedrich Merz deklaruje, że chce podnieść stosunki z Polską na wyższy poziom. Choć oś francusko-niemiecka za-

Choć oś Berlin–Paryż zawsze będzie dla Niemców najważniejsza, Friedrich Merz deklaruje, że chce zacieśnić współpracę z Polską.

wsze będzie dla Niemców najważniejsza, to jednak i Polska będzie miała zapewne w ich planach swoje miejsce – głównie za sprawą stabilnie rozwijającej się polskiej gospodarki i bardzo dużych nakładów na bezpieczeństwo.

Dlatego – tak, należy się poważnie zastanowić nad zacieśnieniem współpracy polsko-niemieckiej. Biorąc jednak pod uwagę pewne ograniczenia i zagrożenia.

Na dwóch filarach

W sytuacji, gdy dla Polski kluczowe jest dziś utrzymanie dobrze funkcjonujących stosunków z ekipą Trumpa i sprawnie działających obu części NATO (tej amerykańskiej i tej europejskiej), powinniśmy, owszem, skupić się na wzmocnieniu europejskiego filaru Sojuszu, ale w ramach tego Sojuszu.

A także do tego namawiać innych, zwłaszcza tych z podobną percepcją zagrożenia, np. kraje nordyckie i bałtyckie. Ale również Amerykanów i Niemców. Słowem – nie dajmy wypchnąć Ameryki z Europy ani Europejczykom, ani Amerykanom.

Na korzyść Polski nie działa ani ustawianie nas w roli kraju budującego odporność i siłę militarną Europy w kontrze do Stanów (Trump nie jest wieczny), ani narracja o umieszczeniu Unii w kontekście „nowego wielobiegunowego porządku światowego” (z udziałem Chin i Indii) i potrzeby balansowania między tymi biegunami.

Utrzymać uzachodnienie Niemiec

Powinno nam też zależeć, by nie dopuścić do rozluźnienia osadzenia Niemiec na Zachodzie (*Westbindung*) za sprawą takiego balansowania między owymi „biegunami” (zakusy takie widać, gdy niektórzy niemieccy politycy mówią o „walce o wolny handel” i „utrzymanie zdobyczy globalizacji”).

Już teraz bywało, że Niemcy, aby utrzymać swój model rozwojowy oparty na

eksporcie, były gotowe wyjść naprzeciw systemowym rywalom Zachodu, np. sprzeciwiając się unijnym cłom na auta elektryczne z Chin. W tym duchu utrzymane są reakcje niektórych szefów niemieckich koncernów: przedstawmy nasze żądania Amerykanom, a jak się nie spodoba, rezerwujemy bilet do Pekinu. A przecież Chiny nie zrezygnują ze wspierania Rosji; zbyt duże mają z tego korzyści.

Nie zapominajmy też, że w polityce europejskiej Niemcy zapewne nadal będą próbowały odzyskać swe słabnące wpływy za pomocą reform instytucjonalnych Unii, które wzmocniłyby siłę ich głosu w procesie decyzyjnym czy za pomocą udzielania (lub nie) zgody na przepływy finansowe (np. tworzenie specjalnych funduszy unijnych na zbrojenia).

Szokujące wypowiedzi i działania Trumpa z pewnością zostaną wykorzystane, by wreszcie zapłacić lukę po „Wielkiej Idei”, której rzekomo od dawna brakuje Unii Europejskiej. Idei konsolidującej, będącej „Tym Wielkim Projektem” na przyszłe lata. Przepoczwarczenie Unii w globalnego gracza, zarządzanego sprawnie i szybko, bo większościowo, a nie jednomyślnie, będzie tak przedstawiane.

Polska jako podmiot

Tak czy inaczej, powinniśmy wykorzystać trend, jakim jest zmiana postrzegania Polski – już jako podmiotu polityki w Europie. Nawet jeśli nie będzie to trend skokowy i utrzyma się jedynie, jeśli nadal będziemy się rozwijać w co najmniej tak szybkim tempie jak dotąd.

Dla Niemiec to zmiana trudna mentalnie. Przy czym najtrudniejsze może być nie zaprzestanie postrzegania Europy Środkowej jako zaplecza gospodarczego, zasobu wykwalifikowanych pracowników i rynku zbytu, lecz pogodzenie się z tym, że Polska ma własne ambicje i interesy w polityce międzynarodowej, które czasem mogą być sprzeczne z niemieckimi. Jednak, dla własnego dobra i z pożytkiem dla Europy, trzeba nam będzie współpracować.

© ANNA KWIATKOWSKA

Autorka kieruje Zespołem Niemiec i Europy Północnej w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.



Olaf Scholz podczas wizyty w fabryce Volkswagena w Emden, 18 lutego 2025 r.

Polska może wyprzedzić Niemcy

WOLFGANG MÜNCHAU,

AUTOR KSIĄŻKI „KAPUT. KONIEC NIEMIECKIEGO CUDU GOSPODARCZEGO”:

Niemcy przegapili rewolucję cyfrową, a ich przemysł oparty na starych technologiach jest coraz większym obciążeniem. To już nie recesja, ale załamanie strukturalne.

ŁUKASZ GRAJEWSKI: Niemcy są „kaput”, czyli popsute – to teza Pana książki. Wybory do Bundestagu właśnie wygrała chadecja, jej lider Friedrich Merz zostanie zapewne kanclerzem. To odpowiednia ekipa do naprawy kraju?

WOLFGANG MÜNCHAU: Jestem sceptyczny. Debata w Niemczech cały czas koncentruje się wokół konkurencyjności przemysłu. Mówi się o tym, ile bogactwa wytwarzają stare koncerny – takie jak Volkswagen, BMW czy BASF – i jaką prowadzić politykę gospodarczą, żeby pomóc im dalej funkcjonować. Nie zadaje się jednak pytań, czy model oparty na przemyśle może jeszcze działać w XXI wieku.

Powszechny jest raczej podziw dla niemieckiego przemysłu. Produkuje on dobra eksportowane na cały świat, zapewnia miejsca pracy. Co w tym złego?

Niemcy stały się zbyt zależne od przemysłu. Z kolei firmy popadły w szereg zależności: od starych technologii, od taniego gazu z Rosji, od rynków eksportowych w Chinach, USA czy wcześniej w Wielkiej Brytanii. Ten system całkowicie się załamał. Doszło do brexitu. Chiny do Niemiec już więcej eksportują niż od nich kupują. Donald Trump szykuje cła wobec Unii Europejskiej. To dotknie całą Europę, ale Niemcy szczególnie.

Można wskazać, kiedy doszło do załamania się niemieckiego modelu?

Wszystko działało jeszcze do 2017 r., później model się wykoleił. Od tego czasu spada produkcja przemysłowa. Niemcy nie znajdują się dziś w klasycznie rozumianej recesji gospodarczej [recesja trwa od trzech lat – red.]. To jest załamanie strukturalne. W niemieckiej polityce nie ma obecnie żadnej partii, która podejmowałaby tę kwestię. Tematem wyborczym nie była gospodarka. Spierano się o migrację.

Zwraca Pan uwagę, że Niemcy, będące nadal pierwszą gospodarką Europy, mają wielki kłopot z przyciąganiem wykwalifikowanych pracowników. Dlaczego?

Jestem zwolennikiem imigracji. Migranci, zwłaszcza z Europy Wschodniej, ogromnie pomogli naszemu krajowi. Bez nich zawaliłby się cały system opieki zdrowotnej. Wielu dobrych lekarzy pochodzi także z Turcji i Syrii. Niemcy bardzo skorzystały na migracji. Natomiast błędem Angeli Merkel po otwarciu granic w 2015 r. był brak polityki integracyjnej. Kraj nie był przygotowany na taką liczbę ludzi.

Mieszkam z rodziną w Anglii. To wielokulturowe społeczeństwo. Gdy przed

→ 2015 r. odwiedzałem moją mamę, która żyje w małym niemieckim miasteczku, żartowałem, że wszyscy mieszkańcy są do siebie tak podobni: biali, z tego samego regionu, mówiący z tym samym akcentem. Była tam wprawdzie turecka restauracja z kebabem i paru innych obcokrajowców, ale nie miało to wpływu na ogólny obraz miasta. W ciągu kolejnych kilku lat to się bardzo zmieniło.

Widać to na dworcach kolejowych i w pociągach regionalnych. Są przepełnione, trudno o miejsce siedzące. Jest tam zawsze mnóstwo młodych ludzi. Słychać rosyjski, ukraiński, arabski, turecki. To dominujące języki w niemieckich pociągach, a nie niemiecki.

Problem z tym ma widocznie większość Niemców, bo połowę głosów w wyborach otrzymały chadecja i AfD, czyli partie zapowiadające zwrot w polityce migracyjnej.

Niemcy wciąż nie są krajem strukturalnie przyjaznym obcokrajowcom. Jeśli AfD agituje przeciw obcokrajowcom, a młodzi ludzie wykrzykują „*Ausländer raus!*” [„Cudzoziemcy wynocha” – red.], to wykwalifikowany cudzoziemiec, lekarz, menedżer lub naukowiec, poważnie się zastanowi nad wyborem.

Pisze Pan też o wysokich wymaganiach dotyczących znajomości niemieckiego.

Przytoczę historię wysoko wykwalifikowanych naukowców z Brazylii. Gdy zgłaszali się na odpowiednie dla nich stanowiska, to słyszeli, że ich niemiecki jest za słaby. Zgłosili się zatem na niższe stanowiska. Tu odpowiedź brzmiała, że mają zbyt wysokie kwalifikacje.

Niemiecki jest trudny i niepopularny za granicą. Imigranci przybywający do Niemiec mówią głównie po angielsku. Tego problemu nie ma np. Anglia.

W Niemczech ludzie znają angielski, ale nie lubią się nim posługiwać, zwłaszcza w firmach. Nie można wymagać od zarządu, by nagle zaczął rozmawiać wyłącznie po angielsku, bo jedna osoba nie nauczyła się jeszcze niemieckiego. Ale można być bardziej elastycznym, powiedzieć: „Dostaniesz pracę za trzy miesiące, w tym czasie zapisz się na intensywny kurs”. W trzy miesiące można się wiele nauczyć. Potrzebny jest pragmatyzm.

W końcu debata w Niemczech miesza zupełnie migrację legalną i nielegalną. Obojętne, czy wnioskujesz o azyl, czy masz wizę pracowniczą, i tak trafisz do tego samego urzędu imigracyjnego, a te działają strasznie.

Jednym ze świetnych fragmentów Pana książki jest przytoczenie historii żydowskich naukowców, którzy uciekli z nazistowskich Niemiec. Upatruje Pan w tym eksodusie przyczynę braku niemieckich sukcesów na polu technologii cyfrowych.

Do Niemiec trafiało kiedyś wiele nagród Nobla. Jeden tylko uniwersytet w Getyndze miał więcej Nobli niż jakikolwiek inny uniwersytet. Na tej uczelni w latach 1850-1930 doszło do niesamowitego rozwoju w dziedzinie fizyki, chemii i matematyki. Tam narodził się nowoczesny świat, dzięki takim naukowcom jak David Hilbert czy Emmy Noether.

W czasie rządów nazistów i po II wojnie światowej wielu naukowców, często żydowskiego pochodzenia, wyemigrowało z Niemiec, głównie do USA. W ten sposób Niemcy straciły pozycję lidera w dziedzinie fizyki kwantowej. Tymczasem to fizyka kwantowa jest podstawą technologii cyfrowej, podobnie jak fizyka klasyczna jest podstawą inżynierii mechanicznej.

Ktoś jednak został w Niemczech...

Inżynierowie, mechanicy i chemicy. Na ich osiągnięciach zbudowano sukces gospodarczy Niemiec Zachodnich. Jednak technologia cyfrowa pozostała na marginesie, bo najlepsi specjaliści byli już w Ameryce. Oczywiście, zostały jednostki. Niektórzy badacze w dziedzinie sztucznej inteligencji pochodzą z Niemiec. Słynny model sieci neuronowych został opracowany w Niemczech na początku lat 90. XX wieku. Dziś wiele osób w Dolinie Krzemowej ma niemieckie nazwiska. Ale na tym polega problem: oni są już tam, a nie w Europie.

Gdy pojawił się internet, Niemcy zupełnie nie zrozumieli jego roli. Jeden z przedstawicieli niemieckiej branży motoryzacyjnej przekonywał mnie kiedyś, że internet to przejściowy fenomen. Angela Merkel nazwała sieć „niezbadanym terytorium”. To był rok 2013. Teraz sytuacja potwarza się ze sztuczną inteligencją. Kanc-

lerz Olaf Scholz publicznie opowiadał, że sztuczna inteligencja to kolejny sposób na uzyskanie złych odpowiedzi. Sam zaśmiewał się z tego żartu. Nic dziwnego, że Niemcy nie mają strategii w tym obszarze.

Sam dostrzegam antytechnologiczne tendencje w Niemczech. Moi znajomi w Polsce chętnie posyłają swoje dzieci na kursy robotyki i programowania. W Niemczech w nowych technologiach dostrzega się niemal tylko zagrożenia. Co jest tego przyczyną?

Niemcy byli otwarci na technologie, ale na te, które sami tworzyli. Z wynalazkami innych jest już inaczej. To po części wynika z arogancji. W Niemczech działają trzy wielkie firmy motoryzacyjne, które stanowią 10 proc. gospodarki. Dlaczego żadna z nich odpowiednio wcześniej nie postawiła na samochód elektryczny?

Ferdinand Piëch, w latach 1993-2002 prezes Volkswagena, a potem do 2015 r. szef rady nadzorczej tego koncernu, powiedział na krótko przed swoją śmiercią w 2019 r., że w jego garażu nie ma miejsca na samochód elektryczny. To wynika też z kultury. Menedżerowie niemieckich koncernów uwielbiają olej napędowy, zapach smaru i benzyny. Pomysł samochodu autonomicznego jest zniewagą. Dla nich prowadzenie pojazdu to przecież frajda. Ale większość ludzi na świecie widzi to inaczej.

Kolejne pokolenie Niemców uwielbia przemierzać Europę swoim „bullim”, jak nazywają pieśzczotliwie volkwagena transportera.

Tak, a w tym czasie chińskie firmy i Tesla zdobywają przewagę w badaniach nad sztuczną inteligencją.

Nie widzę nadziei dla niemieckiego przemysłu. Największe pieniądze w samochodach elektrycznych leżą dziś w oprogramowaniu i bateriach. Tymczasem Chińczycy kontrolują cały łańcuch dostaw i są znacznie bardziej zaawansowani w sztucznej inteligencji. Obecna sytuacja może się więc odwrócić: większość pieniędzy będzie zostawać w Chinach, a my staniemy się dostawcami.

Pana diagnoza wykracza poza granice Niemiec. Czy te tendencje, o których rozmawiamy, to problem dla całej Unii Europejskiej?

Niemcy mają duże wpływy w Brukseli. A w ciągu ostatnich pięciu lat Unia stworzyła wiele złych regulacji, zwłaszcza w sektorze technologicznym: od kwestii ochrony danych po sztuczną inteligencję. Przepisy te nie mają na celu umożliwienia prowadzenia działalności gospodarczej, ale jej ograniczenie. Jeśli chcesz rozwijać przemysł wieku XXI, potrzebujesz więcej wolności.

Niemcy nie są w stanie tego zrobić. Miałem nadzieję, że pozytywną rolę w tej kwestii odegra Polska. Kraje tej wielkości nie mogą mieć tylko dwóch lub trzech wiodących branż. Potrzebują dobrego i otwartego otoczenia regulacyjnego. Tymczasem Niemcy doprowadziły Europę swoimi przepisami na skraj upadku.

Większość 30- i 40-latków w Niemczech, szczególnie w miastach, widzi to inaczej. Z moich obserwacji wynika, że dominują raczej tendencje lewicowe, wręcz antykapitalistyczne. W tych środowiskach nie zapunktujesz, zakładając firmę. To chyba nie jest klimat do ogłaszania rewolucji w modelu gospodarczym?

Tak, oczywiście. I proszę mnie dobrze zrozumieć: to, co mówię, nie jest podzielane przez większość w Niemczech. Niemcy mają bardzo wysokie świadczenia socjalne. Można żyć w małym mieszkaniu nawet w dużym mieście i utrzymywać się z państwowego zasiłku. To wystarczy na skromne życie. Ma się wtedy czas na pasję, społeczny aktywizm. Starczy nawet na piwo w knajpie. W Ameryce tak nie jest. Nie zarabiasz, to nie masz pieniędzy.

Podjęcie pracy często wynika z konieczności: „Nie mam pieniędzy, więc muszę coś zacząć robić”. Jeśli jednak ludzie otrzymują wsparcie finansowe po ukończeniu studiów i mogą kontynuować swój styl życia, nie pracując i otrzymując po 700-800 euro miesięcznie oraz dopłatę do czynszu – to wielu stwierdza, że im tak pasuje. Praca oznacza, że trzeba wstawać rano, że ma się zobowiązania. Jak się przez dłuższy czas tego nie robiło, decyzja o wejściu na rynek pracy wcale nie jest taka oczywista.

Chadecja, która pewnie przejmie wkrótce władzę, zapowiada reformę



ARCHIWUM PRYWATNE

WOLFGANG MÜNCHAU

(ur. 1961) zaczynał pracę dziennikarską w 1988 r. w londyńskim „Timesie”; był jego korespondentem z USA i Brukseli. Następnie dziennikarz „Financial Timesa” (2001-2003 redaktor naczelny „Financial Times Deutschland”). W 2006 r. współzакładał Eurointelligence ASBL, portal poświęcony strefie euro, któremu szefuje do dziś. Jest też felietonistą brytyjskiego tygodnika „The Statesman”. Autor kilku książek o zmianach w gospodarce Europy. Jego najnowsza książka „Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego” ukaże się w Polsce w kwietniu nakładem wydawnictwa Prześwity.

polityki socjalnej. Zasiłki powinny zostać zmniejszone?

Przed wszystkim zasiłki dla bezrobotnych powinny być wypłacane tylko tymczasowo, a nie na stałe. Ci, którzy nie chcą pracować, powinni zamiast tego otrzymywać bony żywieniowe. Taka zmiana byłaby w Niemczech czymś rewolucyjnym, ale w dłuższej perspektywie mogłaby zmniejszyć zależność od państwa opiekuńczego. Jednak Niemcy podążają w innym kierunku. To wciąż bogaty kraj. Większość ludzi nie dba o wzrost PKB, lecz o to, ile dostają pieniędzy. I to może tak trwać. Upadek kraju może trwać przez dekady.

W Anglii upadek gospodarczy rozpoczął się w latach 60. XX wieku i został zatrzymany dopiero przez reformy Margaret Thatcher w latach 80. Jednak Niemcy nie mają tak zdeterminowanych polityków jak Thatcher.

Jeśli trendy się utrzymają, jeśli Polska będzie się rozwijać w tempie 4-5 procent rocznie, a Niemcy będą stać w miejscu, to w ciągu 20-25 lat Polska może wyprzedzić Niemcy. To nie jest nierealny scenariusz.

W tym momencie przemysł ma wciąż wielki wpływ na decyzje podejmowane w Berlinie. Rosnące ceny energii mogą spowodować, że Niemcy wrócą do importu rosyjskiego gazu?

Tak, to całkiem możliwe. Spójrzmy na sytuację geopolityczną: Trump dąży do zbliżenia z Putinem i może wycofać amerykańskie wojska z Europy Wschodniej. To dałoby Rosji większe pole manewru i postawiłoby Niemcy w nowej sytuacji. A przecież ten gazociąg nadal istnieje, można go naprawić. Choć, z drugiej strony, budowa terminali gazu skroplonego sprawiła, że Niemcy pozyskują bardzo dużo tego surowca z USA, Norwegii i Kataru. Nie będzie zatem powrotu do pełnego uzależnienia od Rosji.

Mówi się, że Niemcy są zbyt duże dla Europy, a za małe dla świata... Zawsze tak było i będzie.

...za to w Polsce mamy inny paradoks: gdy Niemcy są skuteczne, budzi to nasz niepokój, a gdy robią za mało, wówczas je krytykujemy, że przecież mogą robić więcej. Jaką rolę powinien pełnić ten kraj po zmianie władzy?

Olaf Scholz był katastrofą dla Europy. Friedrich Merz jest przynajmniej retorycznie lepszy. Ale wciąż pozostaje zagadką. Nigdy nie rządził, nie był ministrem. Angela Merkel nie działała strategicznie, ale myślała w kategoriach „sieciowania”, dogadywała się z ludźmi. Merz jest bardzo impulsywny. Odnoszę też wrażenie, że będzie próbował narzucić innym swoje stanowisko.

To jednak nie będzie łatwe w Europie, którą teraz mamy. Polska nie zmieni swojej polityki bezpieczeństwa, bo Merz coś powie. Z kolei Emmanuel Macron działa na arenie międzynarodowej od ośmiu lat, uważa się dziś za głównego rozgrywającego i nie da się zepchnąć Merzowi do roli mniejszego partnera.

© Rozmawiał ŁUKASZ GRAJEWSKI

Monachium wczoraj i dziś

MARTYNA WASIUTA

Jeśli Andrej Babiš wróci, czeska solidarność z Ukrainą będzie wystawiona na próbę, a w Europie Środkowej powstanie mocny blok prorosyjski.

ROK PO TYM, JAK ŚWIAT USŁYSZAŁ O Czeskiej inicjatywie amunicyjnej – mającej być kołem ratunkowym dla Ukrainy w sytuacji, gdy Trump i Republika nie blokowali wtedy w Kongresie dalszą pomoc USA – Czesi nie zamierzają spocząć na laurach. A przynajmniej obecne władze w Pradze i nadal spory, choć malejący odsetek społeczeństwa.

Gesty solidarności z Kijowem płyną w tych dniach od centroprawicowego rządu Petra Fialy i prezydenta Petra Pavla. W niedzielę 23 lutego Rynek Staromieski w Pradze zapelnili tysiące ludzi, którzy przyszli, by przypomnieć o trzeciej rocznicy rosyjskiej inwazji. Ich poglądów nie zmieniła wolta USA pod rządami Trumpa.

Jest ona za to wodą na młyn populistycznej opozycji. Andrej Babiš – lider partii ANO, który liczy, że po jesiennych wyborach znów będzie premierem – chce zakończyć pomoc dla Ukrainy. Popiera go część społeczeństwa, w którym widać symptomy „zmęczenia wojną”.

„TRUMP SIĘ MYLI” | W ramach inicjatywy amunicyjnej do końca 2024 r. Ukraina otrzymała 520 tys. pocisków kalibru 155 milimetrów. Firmujący ją prezydent Pavel podał, że środki zebrane wśród sojuszników pozwolą na pokrycie potrzeb do kwietnia. „Nie można zdejmować nogi z gazu” – mówi Pavel i zapowiada, że projekt będzie kontynuowany.

W ubiegłym roku Czechom udało się też przekroczyć próg 2 proc. PKB wydatków na obronność – po raz pierwszy, odkąd w 1999 r. weszli do NATO. Teraz premier Fiala twierdzi, że wobec zmieniającej się polityki USA trzeba te wydatki zwiększyć do co najmniej 3 proc. PKB. Jeśli Europa ma być brana poważnie, należy wyłożyć na stół pieniądze i broń. A że Czesi mają tradycje i pozycję w przemyśle obronnym, jest to też szansa dla ich firm zbrojeniowych.

Rządzący i część społeczeństwa nie kryją oburzenia słowami prezydenta USA (nazwanie prezydenta Ukrainy „dyktatorem”, obarczanie jej winą za wojny). „Donald Trump nie ma racji” – mówił premier w telewizji. Prezydent we wpisie na platformie X potępił słowa Trumpa wobec Zełenskigo i w rozmowie telefonicznej zapewnił o swoim poparciu.

POWRÓT HISTORII | Petr Pavel wziął też udział w niedzielnej demonstracji „Razem z Ukrainą”, zwołanej przez szereg organizacji (m.in. Milion chvílek, znana z protestów przeciw rządowi Babiša), i wystąpił na niej mówiąc, że nie ma wątpliwości, kto jest agresorem, a kto ofiarą, i po której stronie należy stać.

Dla Czechów amerykańsko-rosyjskie rozmowy za plecami Ukrainy i Europy mają konkretny wymiar historyczny: przypominają o układzie monachijskim, który Londyn i Paryż zawarły w 1938 r. z III Rzeszą, przesuwając granice ówczesnej Czechosłowacji. Po tym układzie Niemcy anektowały część ich kraju.

Gdy przed tegoroczną Konferencją Bezpieczeństwa w Monachium usłyszano zapowiedź spotkania Trump-Putin, skojarzenia były jednoznaczne. Prezydent Pavel mówił, że Europa nie może dopuścić, aby o Ukrainie rozmawiano bez Ukrainy.

PROROSYJSKI BLOK | Dalsze wsparcie Czech stanie jednak pod znakiem zapytania, jeśli po wyborach rząd utworzy Babiš i jego eurosceptyczni koalicjanci, tj. partia SPD Tomia Okamury i ugrupowanie o nazwie Zmotoryzowani. Sondaże dają zwycięstwo Babišowi: jego partia, ANO, ma prawie 34 proc. poparcia, a dwaj potencjalni partnerzy 6 i 7 proc. (według sondażu agencji Kantar CZ z lutego).

ANO, która na forum unijnym należy do ugrupowania „Patrioci dla Europy” (obok m.in. partii Orbána), od dawna prowadzi w sondażach, a słabe notowania centroprawicowej koalicji są spowodowane głównie niezadowoleniem z sytuacji gospodarczej.

Objęcie władzy przez ludzi, którzy twierdzą, że są zwolennikami pokoju (tj. pokoju na warunkach Rosji), oznaczać będzie, iż Czechy dołączą do prorosyjskiego bloku, jaki w Europie Środkowej tworzą Węgry i Słowacja. Babiš nie kryje niechęci do wspierania Ukrainy, a Okamura twierdzi, że pomoc socjalna dla uchodźców to rozdawnictwo kosztem Czechów (w kraju jest 340 tys. obywateli i obywateli Ukrainy, którzy mają status uchodźcy).

FAKTY I EMOCJE | Z kolei badania Eurobarometru wskazują, że deklarowane zmęczenie wojną postępuje w Czechach szybciej niż w innych krajach Unii. O ile wiosną 2022 r. pomoc finansową i wojskową akceptowało ponad dwie trzecie Czechów, w 2024 r. było to 43 proc. poparcia dla pomocy finansowej i 41 proc. dla wojskowej – tyle co na Węgrzech (w Polsce w 2024 r. było to 79 proc. i 80 proc.).

Wprawdzie Fiala przekonuje, że ukraińscy uchodźcy wnoszą do budżetu więcej niż otrzymują, ale racjonalne argumenty mogą przegrać z taktyką populistów, którzy odwołują się do emocji. Ostatnio nie cofają się przed ociekającymi krwią plakatami, sugerującymi zagrożenie ze strony ciemnoskórych imigrantów. ©

Praga, 23 lutego 2025 r.



MICHAL ČÍŽEK / AFP / EAST NEWS



Serce Walentyny

JACEK TARAN Z JAMPOLA (UKRAINA)
ZDJĘCIA AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

**W ukraińskim miasteczku
Jampol – nad Dniestrem, przy
granicy z Mołdawią – wojna
tylko pozornie jest odległa.
Podobnie jak Biały Dom Trumpa.**

OD POZĄTKU INWAZJI DZIAŁAJĄ TU prężnie grupy, które pomagają walczącym. Składają się głównie z emerytów. 71-letnia Walentyna Rimarczuk (zdj. 1) jest liderką jednej z nich, o nazwie *Dzherela Peremohy* (Źródła Zwycięstwa).

– Dla mnie wojna zaczęła się w 2014 r. – mówi emerytowana nauczycielka wychowania przedszkolnego. – Poszłam wtedy do wojenkomatu i mówię: „Weźcie mnie na front, nie patrzcie na wiek, mogę się przydać w kuchni, w magazynie, wszędzie”. Nie wzięli. Zaczęłam wysyłać więc chłopcom ciepłe ubrania.

Ludzie z miasteczka przynosili Walentynie rzeczy, co kto miał: – Najpierw magazynowaliśmy je u mnie, w szopie przy domu. Potem miasto dało nam pomieszczenia po bibliotece. Teraz jest w nim nasz sztab. Z tego, co ludzie przynoszą, nic się nie marnuje. Ze starych kurtek można robić śpiwory na front, ze starych spodni

rękawice. Szyjemy ocieplane kamizelki, pałatki, nosze. Z parafiny robimy świece okopowe, którymi chłopcy się ogrzewają.

CIOCIA WALA | Wśród regularnie pomagających jest Lesia Sobko. Wraz z mężem prowadzą dużą hodowlę trzody. Przekazują więc to, co mają: mięso, słoninę, wędliny.

Ich syn, utalentowany muzyk, zaginął na froncie bez wieści.

Kobiety z grupy Walentyny peklują weki, robią kiszonki. Walentyna, niczym żołnierka frontowa, dorobiła się już pseudonimu „Ciocia Wala”.

– Jak czegoś potrzeba chłopcom, dzwonią do Cioci Wala – uśmiecha się.

Emerytowaną nauczycielką, tyle że języka i literatury ukraińskiej, jest też Wiktoria Gonczaruk, lat 58. Współpracuje z Walą od pierwszych dni. Na froncie jest jej siostrzeniec.

Walentyna: – Nie upadamy na duchu, chociaż jesteśmy tylko emerytami. Zapłaciłam mój dom i ogród, czas poświęcam na wolontariat. My się nie poddajemy... Tylko ten Trump! Co on wygaduje! Jak usłyszałam te jego głupoty, serce zaczęło mi tak walić, że tchu mi zabrakło. Wyłądowałam w szpitalu. Ale Pan Bóg jest silniejszy niż Trump i całe zło świata.

SIATKI OD FRYZJEREK | W sąsiedztwie sztabu Walentyny, w budynku po drugiej stronie placu, na którym króluje pomnik Bohdana Chmielnickiego, mieści się salon fryzjerski Tamary Głowackiej (zdj. 2).

Swoje miejsce pracy Tamara zamieniła w manufakturę, w której plecione są siatki maskujące. Sama ma dwóch synów na froncie. – Obaj są oficerami – mówi z dumą Tamara. – Wykonują tajne zadania, nie mogę powiedzieć, gdzie służą – opowiadając, nie kryje łez.

Razem z nią przy wiązaniu siatek pracują Tamara Czaban, Lilia Humiennik i Mariana Rocznik. Ich grupa nazywa się *Povernemosya Zhyvymy* (Powróćcie żywi).

– Klientów do strzyżenia nie ma zbyt wielu, co mamy siedzieć beczynn timer, to szyjemy siatki – mówi Tamara Czaban.

Siatka maskująca o rozmiarach osiem na pięć metrów powstaje dwa dni. Przyrząd skonstruowany ze złączonych w jednym rzędzie noży tapicerskich pozwala szybciej ciąć materiał na długie paski, wiązane potem do sznurkowej osnowy.

Takich grup wolontariackich rozsiadanych po całej Ukrainie są tysiące, często

→ wiele w jednym mieście. Wala: – Jak czegoś nie mamy, dzwonię do znajomych z Winnicy, Żytomierza, Kijowa. Zaraz się znajdzie to, co potrzebne. Nowa Poczta, firma kurierska, wozi pomoc humanitarną na front bezpłatnie.

RĘKAWICE OD LISTONOSZA | W domku na obrzeżach Jampola na rzecz frontu pracują emerytowany listonosz Siergiej Ternawski, jego żona Walentyna i ich znajoma Halyna Talawera, krawcowa (zdj. 3).

Stare ubrania, głównie ciepłe futrzane kurtki i spodnie dżinsowe, przerabiają na rękawice. Ponadto Siergiej wiąże z nylonowych sznurków osnowy do siatek. W ciasnym pokoju stoją dwie maszyny do szycia, stoły pokryte są wykrojnikiem, a wolną przestrzeń zajmują sterty ubrań.

– Przez zimę robimy 1300 par rękawic – Halyna posiłkuje się notesem, w którym skrupulatnie zapisuje wszystkie wysyłki. – Od początku inwazji wysłaliśmy na front 4620 par rękawic i 105 siatek.

Rękawice mają otwór na palec, którym obsługuje się spust karabinu. – Początkowo robiliśmy go tylko w prawej rękawicy, ale żołnierze zwrócili nam uwagę, że niektórzy są leworęczni, wzięliśmy to pod uwagę i teraz jest w obu – dodaje Siergiej.

Halyna: – Nas na front nie wezmą, to pomagamy, jak możemy. Współpracujemy z brygadą z Winnicy. Tam są nasi chłopcy, stąd. To koledzy naszych córek, synowie naszych sąsiadów.

TANGO W KRAKOWIE | Pytam Walentyny, co będzie robić po wojnie. Wala lubi śpiewać i gdy spacerujemy po Jampolu, co chwilę nuci piosenki, recytuje wiersze.

Teraz też odpowiada na pytanie piosenką. Włącza na telefonie song Olhy Bohomolec i śpiewa razem z nią:

*Kiedy wojna się zakończy,
chcę wypłakać łzy,
za chłopców, co zginęli w oblężeniu.
Kiedy wojna się zakończy,
chcę przytulić przyjaciół,
których rzuciła do krajów,
gdzie działa milczą.*

Dodaje: – A może przyjadę do Krakowa? Zrobię sobie piękny makijaż, założę szykowną suknię i zatańczę tango. Albo walca. Tak bardzo chciałabym pojechać do Krakowa.

Ale to kiedyś. Teraz Walentyna każdego dnia zadaje sobie pytanie, co dziś zrobiła dla chłopców na froncie. ©P JACEK TARAN



OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

ALEKSANDER KARDYS,
prezes FTP.

Na zdjęciu
z wiceprezeską
Fundacji
Agnieszka Iskra

Kierując Fundacją, dbam o to, by organizowane przez nas festiwale, spotkania i akcje społeczne otwierały przestrzeń do budowania więzi naszych autorów i redaktorów z czytelnikami w świecie realnym. A zaplecze informatyczne i multimedialne, które współtworzymy, by przestrzeń tę poszerzało o świat wirtualny. Swoje 1,5% podatku oddają nam Państwo na wzmacnianie głosu „Tygodnika” w debacie publicznej. Naprawdę!

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?

Zadzwoń: 12 426 53 31

lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl

– chętnie pomożemy!

1,5%



Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

Weekendowe ultimatum

MARTA ZDZIEBORSKA

Donald Trump z pomocą Elona Muska zarzynają administrację federalną USA, którą oskarżają o oszustwa i przejadanie środków. Końca tego chaosu szybko nie będzie.

CZWARTEK 20 LUTEGO, PRZEDMIEŚCIA Waszyngtonu. Podczas corocznej konferencji amerykańskich konserwatystów (Conservative Political Action Conference, CPAC) na scenę wchodzi Elon Musk ubrany jak gwiazda rocka. W czarnych okularach, czarnym płaszczu i czarnym T-shircie, zachowuje się tak, jakby miał za chwilę zagrać najlepszy koncert w życiu.

Dołącza do niego prezydent Argentyny Javier Milei – i na scenie daje Muskowi w prezencie piłę łańcuchową. Milei używał piły w swojej kampanii wyborczej. Ta ma symbolizować cięcia, dokonywane przez Departament ds. Efektywności Rządu (DOGE), któremu szefuje Musk. Podekscytowany miliarder krzyczy, że ma teraz piłę służącą do rozprawienia się z biurokracją.

W Ameryce nie trzeba dziś takiego show, by zadziałać na wyobraźnię drżących o posadę urzędników federalnych. Wystarczy trwająca od półtora miesiąca szarża Muska.

Mail od Muska

Jej najnowsza odsłona miała miejsce dwa dni po wystąpieniu Muska na konferencji pod Waszyngtonem. W środku weekendu prawie dwa i pół miliona ludzi opłacanych przez rząd federalny dostało maila z poleceniem, by do końca poniedziałku podsumowali w pięciu punktach, co robili w minionym tygodniu. Oddzielnie na platformie X Musk pogroził, że brak odpowiedzi na tę wiadomość będzie potraktowany jako rezygnacja z pracy.

Ultimatum Muska napotkało na opór kierownictwa części agencji federalnych. Nawet najbardziej kontrowersyjni ulubieńcy Trumpa, jak szef FBI czy dyrektorka wywiadu USA, polecieli swoim pracownikom, by zignorowali maila. Gdy jeden z wysokich urzędników Departamentu Obrony publicznie sprzeciwił się tej „dyrektywie” Muska, ten pogroził na

platformie X, że „każdy, kto zachowa się tak jak pewien pracownik Pentagonu, powinien szukać nowej pracy”.

Elon Musk nie odpuszczył nawet, gdy federalne biuro odpowiedzialne za zatrudnienie zapewniło, że odpowiedź na maila nie jest obowiązkowa. Wieczorem w poniedziałek napisał na platformie X, że daje ludziom drugą szansę, i że kolejny brak odpowiedzi skończy się bezrobociem. Atmosferę podgrzewał Donald Trump, twierdząc, że osoby, które zignorowały maila, są „jakby do połowy zwolnione”.

W akcie protestu przeciw groźbom Muska, z pracy w DOGE zrezygnowało ponad 20 osób. Oświadczyli, że nie chcą wspierać „demonstracji krytycznych usług publicznych”.

Cięcia w pośpiechu

Ultimatum Muska to kolejna próbka chaosu, jaki towarzyszy cięciom w instytucjach federalnych. Według szacunków agencji Reutera, zatrudnienie straciły już dziesiątki tysięcy osób: są to zarówno ofiary czystek politycznych (m.in. prokuratorzy pracujący przy sprawach karnych przeciw Trumpowi), jak też ludzie zatrudnieni na okresie próbnym, czyli tacy, których łatwiej zwolnić niż urzędników z długim stażem.

Cięcia realizowane są w tak dużym pośpiechu, że niekiedy odwoływano je po kilku dniach, a nawet godzinach. Tak było w przypadku naukowców realizujących badania nad ptasią grypą oraz ekspertów zatrudnionych w Narodowej Administracji Bezpieczeństwa Jądrowego (NNSA). To agencja odpowiedzialna za konserwację i modernizację starzejącego się amerykańskiego arsenału. Jak donosiła telewizja NBC News, kierownictwo NNSA miało problem ze skontaktowaniem się z częścią zwolnionych osób, bo szybko odcięto je od służbowej poczty.

Wszystkich zwolnionych pracowników przywrócono za to w nadzorowanym przez rząd federalny Muzeum i Bibliotece imienia Johna F. Kennedy’ego w Bostonie. Po tym, jak pracę straciło tam pięć osób, placówkę w pierwszej chwili zamknięto, bo nie było komu obsługiwać systemu sprzedaży biletów.

„Masz 15 minut”

Z punktu widzenia dużej części świata najbardziej dramatyczna jest historia agencji USAID odpowiedzialnej za amerykańską pomoc rozwojową i humanitarną. Do końca lutego administracja Trumpa wysłała na przymusowy urlop lub zwolniła już większość

Elon Musk z piłą łańcuchową po przemówieniu na Conservative Political Action Conference (CPAC). Maryland, 20 lutego 2025 r.

ANDREW HARNIK / GETTY IMAGES



→ personelu tej agencji. Osoby pracujące w Waszyngtonie dostały 15 minut na zabranie swoich rzeczy.

Ostatni raz w siedzibie USAID była m.in. cytowana przez magazyn „Time” Juliane Alfen, która przeczytała w mailu, że jej zwolnienie jest w najlepszym interesie amerykańskiego rządu. „To, że demontaż USAID nastąpił w ciągu zaledwie kilku tygodni, jest przerażające” – mówi była już pracownica agencji. Administracja Trumpa zarzuca USAID rozrzutność i uważa, że jej działalność jest niezgodna z priorytetami trumpowskiej polityki *America First*.

To nie koniec. W poszukiwaniu oszczędności, co ekipa Muska często tłumaczy koniecznością przyhamowania rosnącego długu publicznego USA, w kość dostało Biuro Ochrony Finansowej Konsumentów (CFPB). To agencja zajmująca się walką z nieuczciwymi praktykami banków i firm technologicznych aktywnych w sektorze finansowym. Kilka tygodni temu zamknięto waszyngtońską siedzibę agencji, zwolniono jej pracowników będących na okresie próbnym, a reszcie polecono wstrzymanie się od świadczenia pracy. Działania administracji zaskarżyły związki zawodowe obawiające się, że to krok do likwidacji.

Dziwnym trafem pod lupę ekipy Trumpa trafiła tu agencja od lat atakowana przez Republikanów i sektor bankowy oraz potencjalnie będąca problemem dla Muska. Miliarder szykuje się do uruchomienia X Money – systemu płatności natychmiastowych, któremu z pewnością przyglądałoby się biuro chroniące konsumentów.

Czy rodzice mają pracę

Zawirowaniom w Waszyngtonie z bliska przygląda się Yesim Sayin, szefowa think tanku DC Policy Center. W rozmowie z „Tygodnikiem” Sayin mówi, że odkąd Trump wrócił do władzy, nie ma ty-



ELLIOTT O'DONOVAN / ARCHIWUM PRYWATNE

YESIM SAYIN, szefowa DC Policy Center, przygląda się z bliska chaosowi w stolicy USA

godnia, by nie słyszała o zwolnieniach wśród znajomych lub sąsiadów.

– Napięcie czuć nawet w rozmowach mojej nastoletniej córki z jej rówieśnikami. Rozmowy telefoniczne zaczynają zazwyczaj od pytania, czy ich rodzice mają jeszcze pracę – tłumaczy Sayin, dodając, że szarża Trumpa jest jak kubeł zimnej wody dla ludzi, którzy traktowali rządowy etat jako gwarancję stabilności. Jak wynika z danych sprzed roku, ponad połowa pracowników federalnych w całym kraju zarabiała między 50 tys. a 110 tys. dolarów rocznie. W przypadku waszyngtońskich urzędników mowa o pensjach z tej wyższej półki.

– Znam osobę, która tuż po zwolnieniu zaczęła dorabiać jako kierowca Ubera. Inni desperacko rozsyłają CV do agencji rekrutacyjnych i bombardują znajomych telefonami. Presja jest duża, bo w Waszyngtonie trzeba się liczyć z długotrwałym bezrobociem. Lokalny sektor prywatny nie wchłonie teraz tylu wąsko wyspecjalizowanych pracowników – tłumaczy Sayin, dodając, że aby utrzymać się w Waszyngtonie i sąsiednich stanach Maryland i Wirginia, gdzie mieszka wielu urzędników, trzeba mieć solidną poduszkę finansową. Koszty życia są tutaj bardzo wysokie.

„Trump łamie zasady”

Finansowe rozterki mają dziś urzędnicy w całym Stanach. Wbrew powszechnym

wyobrażeniom, ok. 80 proc. zatrudnionych przez rząd mieszka poza Waszyngtonem i jego sąsiednimi stanami. Mowa o cywilnym personelu w bazach wojskowych, w parkach narodowych czy różnych rodzaju agencjach rządowych.

W szczególnie dramatycznej sytuacji znalazły się osoby, których życie lub życie ich bliskich zależy od dobrego ubezpieczenia zdrowotnego, które do tej pory opłacał pracodawca. Amerykańskie media opisują historię Mike’a Macansa z Alaski: jego żona przeszła raka i dziś potrzebuje drogich leków. Małżeństwo ma jeszcze na utrzymaniu dwójkę małych dzieci.

Yesim Sayin nie kryje oburzenia: – Administracja Trumpa łamie wszelkie zasady. Nie tylko poszła na noże z pracownikami federalnymi, ale chce także głębokich cięć budżetowych, w tym nawet w Pentagonie i funduszach przeznaczonych na badania medyczne. Takiego chaosu nie widziałam nigdy. Niektórzy mieszkańcy Waszyngtonu obawiają się już, że cięcia na dużą skalę odbiją się na lokalnej gospodarce.

Popyt na wille

Tymczasem te zawirowania szybko się nie skończą. Administracja Trumpa wydała właśnie wytyczne, aby zwalniać kolejnych urzędników i rozpocząć likwidację ich stanowisk. „Musimy skurczyć rząd federalny. Jest zbyt rozbuchany i rozlaży, a wielu ludzi nie wykonuje swojej pracy” – grzmiał Trump podczas pierwszego posiedzenia całego swojego gabinetu. Nie zabrakło na nim Elona Muska, który straszyl zebranych, że bez dalszych cięć Amerykę czeka bankructwo.

To ciekawa obserwacja w czasie, gdy jego szef Donald Trump chce kontynuować rozpoczętą w 2017 r., za pierwszej kadencji, obniżkę podatków. A to jeszcze bardziej pogłębi deficyt budżetowy, z którym szumnie walczy.

Yesim Sayin ironizuje: – Problemy finansowe nie grożą na pewno waszyngtońskiemu rynkowi luksusowych nieruchomości. Wille za kilka milionów dolarów kupują tu członkowie gabinetu Trumpa i biznesmeni, którzy przeprowadzają się do stolicy, aby być jak najbliżej nowej administracji. To chyba na razie jeden z niewielu pozytywnych efektów działań ekipy Trumpa. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

Sąd Rejonowy w Nowym Sączu zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 711/24 toczy się postępowanie w wniosku Naczelnika Urzędu Skarbowego w Cieszyńie o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym 21 listopada 2021 r. w Nowym Sączu Karolu Gruszczyku, s. Karola i Marii z d. Kisiała, ur. 12 września 1948 r. w Skoczowie.

Wzywa się wszystkich spadkobierców ustawowych oraz testamentowych, w szczególności nieznanego z miejsca pobytu Marka Gruszczyka, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się do sądu i wykazali swoje prawa do spadku pod rygorem możliwości ich pominięcia.

WOJCIECH

Bonowicz: *Buszowanie*



OD WYPROWADZKI Z MIASTA minęło dziewięć miesięcy. Miesiące wypełnionych rozpakowywaniem, układaniem, porządkowaniem. Także wykańczaniem tego, co jeszcze nie wy-

kończone. Gdybym dla opisania tych miesięcy miał użyć czasowników, byłyby to przede wszystkim czasowniki niedokonane. Bardzo łatwo wskazać dzień, kiedy ostatecznie rozstaliśmy się z dawnym mieszkaniem. Znacznie trudniej odpowiedzieć na pytanie, czy już się przeprowadziliśmy.

Pochłonięty sprawami świata, a także dziesiątkami spraw innych ludzi (i kotów), nie mam za wiele czasu, żeby przyglądać się sobie. To źle. Stan przejścia, zawieszenia, niedokończenia to stan, który warto obserwować. Wraz z otoczeniem zmienia się na przykład sposób przeżywania czasu. W inaczej zorganizowanej przestrzeni inaczej wykonuje się poszczególne czynności. W związku z dojazdami wszystko trzeba starannie zaplanować. Pojawiają się nowe obowiązki. Z drugiej strony – czas jakby zwalniał; uczepony drzew za oknem, śniegu, ptaków, które już od stycznia zaczynają się odzywać, przechodzi z chwili w chwilę z ociąganiem, niemal niezauważalnie. Łapię się na tym, że zamiast zmyć podłogę, zatrzymuję wzrok na kotach goniących się wokół drewnutni albo wpatrujesz w rumieniące się wieczorem niebo za oknem.

Najszybciej przeprowadził się kot Leon. Wydawało się, że będzie zagubiony – on, mieszcuch od urodzenia, który wieś widział ledwie kilka razy w życiu, prawie nigdy nie opuszczał mieszkania na trzecim piętrze, w dodatku pozbawiony był towarzystwa innych kotów. Tymczasem szybko oswoił i dom, i otoczenie domu, w ciepłe dni potrafi godzinami buszować w ogrodzie, zjadać świeżą trawę, straszyć drozdy, kosy i sikorki. Z kotami- gośćmi radzi sobie rozmaicie, ale w zasadzie z wszystkimi jakoś się ułożył – poza Krupcią, która od pewnego czasu przestała się pojawiać. Malusi i Beksie pozwala nawet zostawać na noc. A kiedy przez dłuższy czas żaden okoliczny kot nie przychodzi, Leon siedzi w oknie i wygląda na drogę.

O urodzie kotów napisano już mnóstwo, trudno dodać coś oryginalnego. Uwielbiam, kiedy przychodzą położyć się obok i towarzyszyć mi w pracy. Przez samą swą obec-

ność – pomagają. Czasem się łaszą, wypychają łeb pod dłoń przebierając palcami po klawiaturze, albo moszczą się między ramieniem a klatką piersiową i tam zasypiają. Są niezwykle piękne, biel ich futerka lśni w słońcu jak łańcha świeżego śniegu. Mają pięknie uformowane noski, duże, zmysłowe oczy i czujne ogony. Najmniej z odwiedzających ochrzciłem Kropką, bo na buzi ma małą brązową plamkę. Ona akurat ciągle dociera się z Leonem, bo charakter nie pozwala jej usiedzieć na miejscu. Jak tylko zobaczy zwisający ze stołu ogon Leona, koniecznie musi go dotknąć. Potem – kwik, gonienie się, chowanie pod szafkę, przeprosiny.

Mam wokół siebie mnóstwo piękna, więcej niż jestem w stanie dostrzec i przemysleć.

To piękno uspokaja. Ono sprawia, że rzeczy jakoś same się układają. Owszem, zapominam odpowiedzieć na listy, myślę daty, czasem z czymś się spóźniam. Jeśli czytają te słowa ci, którzy nie doczekali się mojej odpowiedzi – niech przyjmą prośbę o wybaczenie. Piękno osadza mnie w miejscu, przywiązuje do momentu, studzi pojawiające się tęsknoty. W jakimś sensie spotkanie z pięknem sprawia, że jest ci „wszystko jedno” – nie w znaczeniu moralnej obojętności, to trochę coś innego. Jakby opuszczały cię rozmaite pragnienia, a przywiązania stawały się relatywne i niekrepujące. Jakby świat wokół ciebie zmienił nagle swoją konsystencję, miękł, stawał się mniej szorstki. Nie jesteś już młody ani stary, ani w średnim wieku. Nie jesteś ambitny ani ambicji pozbawiony. Nie jesteś mężczyzną ani kobietą. Jesteś czystym istnieniem – zachwyconym i na swój sposób spełnionym.

Zasadą twórczości jest opór, który bierze się z głodu, z niedostatku. Jak zatem pogodzić jedno z drugim? Odpowiedź jest prosta: zawsze są szczeliny, rysy. Choćby świadomość czyjegoś cierpienia. Nie tyle świadomość przemijania samego piękna, ile właśnie świadomość cierpienia przywraca rzeczywistości jej naturalną szorstkość.

Miałem pisać o przeprowadzce – ale to jest proces. Jeszcze nie zakończony. Kilka dni temu odebrałem z urzędu pozwolenie na użytkowanie. To, by tak rzec, formalne zatwierdzenie domu i zadowolenia. Ważne – ale ja wolę napisać o pięknie. Tak bardzo chciałbym widzieć więcej. Tak bardzo chciałbym, żebyśmy my wszyscy więcej i wyraźniej widzieli. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.



We wspólnej sprawie

Rozmowa z **Helena Bogusławską**, zastępcą kierownika Oddziału ds. Praw Człowieka w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych

KINGA DAWIDOWICZ: Czym jest Europejska Służba Działań Zewnętrznych?

HELENA BOGUSŁAWSKA:

Jest to dość młoda instytucja, działająca od 2011 r. i będąca skrzyżowaniem unijnej dyplomacji z unijnym ministerstwem obrony. Unia nie posiada swojego odrębnego ministerstwa obrony, ale w ramach Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych funkcjonuje duża część instytucji, które zajmują się z jednej strony operacjami unijnego zarządzania kryzysowego na zewnątrz, a z drugiej rozwojem zdolności obronnych krajów członkowskich. Zdolności te służą do operacji UE oraz działań NATO. Miałam szczęście, ponieważ w mojej karierze pracowałam zarówno w obszarze polityki bezpieczeństwa i obrony, jak również w części dyplomatycznej, w którą obecnie się angażuję. Przeszłam także w ostatnich latach przez dwie unijne placówki dyplomatyczne – w Waszyngtonie i Genewie.

Jak wyglądało największe wyzwanie, z którym musiała się Pani zmierzyć?

Obszar polityki bezpieczeństwa i praw człowieka, którym się obecnie zajmuję, obfituje

oczywiście w wiele wyzwań i zadań, które przynoszą realne zmiany w naszym życiu społecznym, ale szczególnie zapamiętałam negocjacje z Chinami, które zakończyły się owocną współpracą w zwalczaniu piractwa u wybrzeży Somalii. Działo się to w okresie, kiedy w bardzo krótkim czasie droga morską przez Morze Czerwone, Zatokę Adeńską i Ocean Indyjski, która jest również kluczowa dla interesów europejskich, nagle została niemalże sparaliżowana przez bardzo prosty model biznesowy stosowany przez piratów z Somalii. Często byli to młodzi chłopcy, pływający na niepozornych łódkach i zarządzani przez bezwzględnych piratów. Byli w stanie, w zasadzie w łatwy sposób, zatrzymać duże statki handlowe, sterroryzować załogę, narazić handel i przepływ towarowy, który tym szlakiem się odbywał, na bardzo duże straty.

W stosunkowo krótkim czasie Unia się zmobilizowała i udało się nam wysłać pierwszą morską operację wojskową w tamte zagrożone tereny. Przede wszystkim, by chronić międzynarodową pomoc humanitarną dla Somalii, dostarczaną drogą morską przez ONZ.

Wszystko to działo się w okresie potwornej katastrofy humanitarnej – niezwykle istotne było to, by nie dopuścić do przerwy w dostawach żywności. Z drugiej strony operacja pozwoliła stworzyć korytarz, który zapewniał bezpieczeństwo przepływającym statkom, nie tylko europejskim. Ta operacja przysłużyła się sprawie światowej. Nawiązaliśmy wtedy bardzo szybko owocną współpracę z Amerykanami, ale również z marynarkami wojennymi innych krajów, byli wśród nich także Chińczycy. Negocjacje zakończyły się sukcesem, chińskie okręty nam pomogły.

Czyli wspólnota, coś, co leży u podstaw Unii, okazała się przepisem na sukces.

Tak. Pojawił się tam również ciekawy wątek ukraiński. Wspomniana operacja zaczęła się w 2008 r., a jednym z partnerów, z którymi podpisaliśmy porozumienia o włączaniu się do operacji unijnych, była Ukraina, która wysłała po raz pierwszy swoją fregatę. Jakby chcąc pokazać swoje przywiązanie do wartości unijnych i chęć współpracy z Unią. Decyzja o zaangażowaniu się w tę sprawę bardzo dobrze przysłużyła się później narodowej sprawie Ukraińców.

A czy są jakieś obszary działania Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych, które wymagają poprawy lub wyeksponowania?

Unia jest jednym z największych dawców pomocy rozwojowej i humanitarnej na świecie i myślę, że czasami jest to niewystarczająco widoczne. Siłą unijną jest to, że nasza dyplomacja składa się z przedstawicieli wszystkich krajów członkowskich, częściowo urzędników UE, a częściowo dyplomatów narodowych i oficerów wojska, którzy wnoszą unikatowe doświadczenie. Jako zespół reprezentujemy różne wrażliwości, pochodzimy z różnych krajów unijnych, np. z obszarów, które były mocarstwami kolonialnymi albo mają za sobą doświadczenie komunizmu. Dzięki tej różnorodności łatwiej znajdujemy wspólny język z krajami, z którymi rozmawiamy.

Czy kobiety, stereotypowo postrzegane jako świetne mediatorki, stanowią silną grupę w dyplomacji?

Na pewno środowisko polityki bezpieczeństwa i obrony jest zdominowane przez mężczyzn, kobiet jest mniej. Podobnie środowisko dyplomatyczne, chociaż niewątpliwie sytuacja



HELENA BOGUSŁAWSKA jest zastępcą kierownika Oddziału ds. Praw Człowieka w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych. Jako wieloletni urzędnik Unii Europejskiej była oddelegowana do placówek dyplomatycznych UE przy ONZ w Waszyngtonie (2016-2020) i Genewie (2020-2024). Wcześniej pracowała w Dyrekcji ds. Zarządzania i Planowania Kryzysowego Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych oraz w Sekretariacie Generalnym Rady UE i w Europejskiej Agencji Obrony w Brukseli. Zaczęła pracę zawodową jako pracownik służby cywilnej w Ministerstwie Obrony Narodowej, a następnie w Przedstawicielstwie RP przy UE w Brukseli. Jest absolwentką Instytutu Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego.

w ostatnich latach znacząco się pod tym względem poprawiła. Posiadamy ponad 140 placówek, nazywamy je delegacjami unijnymi na świecie. Wśród szefów tych unijnych placówek pań ambasaderek jest 55. To jest 38 proc., czyli bardzo blisko magicznego progu 40 proc., gdzie taka proporcja sił rzeczywiście przekłada się na zmianę kultury pracy. Wśród ambasaderek jest również pięć pań z Polski (i dwóch panów). Nie wygląda to źle.

Oraz oczywiście wysoka przedstawiciel ds. Unii i polityki bezpieczeństwa – Kaja Kallas.

Tak, w strukturach w centrali naszą główną szefową jest Kaja Kallas, była premierka Estonii. Natomiast funkcję sekretarza generalnego pełni Hiszpanka Belén Martínez Carbonell. Sytuacja w tym roku pod względem obecności kobiet w strukturach władzy wygląda lepiej niż jeszcze parę lat temu.

Zadania, które stawia sobie Europejska Służba Działań Zewnętrznych, to również wzmacnianie pozycji obywateli. Jakie są najważniejsze wymiary tego wzmacniania?

W traktatach unijnych mówi się o tym, że naszym

obowiązkiem jest obrona praw człowieka i promowanie tych praw na świecie. Unia stara się to robić w różnych obszarach działań zewnętrznych, w ramach pomocy rozwojowej, humanitarnej, w polityce handlowej, zagranicznej i bezpieczeństwa.

W dziedzinie praw człowieka społeczeństwo obywatelskie jest kluczowym partnerem, zarówno poza rządowe organizacje w Unii, jak i poza nią, a także indywidualni obrońcy praw człowieka na świecie. Upominamy się o nich, kiedy są więzieni i prześladowani, opłacamy pomoc prawną lub ewakuacje.

Wśród nich wiele jest kobiet, które walczą o ochronę środowiska naturalnego lokalnych społeczności, szczególnie w Ameryce Łacińskiej. Walczą też z barbarzyńską praktyką rytualnego „obrzezania” kobiet w Afryce, z różnymi formami dyskryminacji i przemocy ze względu na płeć, także w sytuacjach konfliktów zbrojnych.

Podważanie praw kobiet to często pierwsze sygnały rosnących tendencji autorytarnych. Nowa Komisja Europejska, która została powołana jesienią, przygotowała cały program działań równościowych na ten rok, którego częścią będą również działania w polityce zagranicznej. Od 10 marca w Nowym Jorku obradować będzie komisja ONZ do spraw statusu kobiet. Unia w ramach tych wielostronnych

negocjacji stara się promować utrzymanie wypracowanych światowych norm. Niestety, koalicja państw, które próbują te normy podważać, stale rośnie.

Kto Panią inspiruje w pracy: na polu działań dyplomatycznych, procesów pokojowych?

Kiedy pracowałam w Waszyngtonie w latach 2016-2020, doświadczyłam tam, dużo bardziej niż w innych stolicach, żywej dyskusji na temat polityki zagranicznej. Spotkałam wówczas dużo kobiet z ogromnym i cennym doświadczeniem. Jedną z nich była Madeleine Albright. Imponowała mi jeszcze z czasów, kiedy wspierała polską integrację z NATO.

Wymieniłabym na pewno postać sędzi Sądu Najwyższego Ruth Bader Ginsburg, która przez lata wpływała na amerykańską politykę i postrzeganie kobiet na wysokich szczeblach. Była drugą kobietą pełniącą funkcję sędzi Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Gdy pytano ją, kiedy będzie wystarczająco kobiet w Sądzie Najwyższym, odpowiadała, że wówczas, gdy będzie ich 9 (tyle łącznie sędziów zasiada w Sądzie Najwyższym). Świetna merytorycznie, z niezwykle silną osobowością, była równocześnie bardzo skromną i przystępną osobą. Życzyłabym sobie, by takich kobiet było jak najwięcej. ©

ŻYCIE BEZ ROZPROSZEŃ

BARTŁOMIEJ TOPA, AKTOR:

Uczymy się o długości rzek i głębokości jezior, a nie mamy pojęcia, jakie w nas zachodzą procesy. A przecież jeśli będziemy umieć nazywać emocje, będziemy łatwiej budować relacje.

BARTŁOMIEJ TOPA: Dlaczego właśnie ze mną chce pani rozmawiać o dyscyplinie i zachowaniu w życiu równowagi?

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jest Pan w wieku, w którym wyciąga

się wnioski z tego, co się dotąd doświadczyło.

No tak, w maju będę obchodzić kolejne urodziny. Jestem tym faktem zadziwiony: dobijam sześćdziesiątki? Kiedy to się stało? A jednocześnie jestem zachwycony,

bo to czas uprzywilejowania. Mimo przeciwności losu zdarza się tyle możliwości.

Zawodowych?

Nie mówię teraz o aktorstwie. Tylko o narzędziach, które dostaliśmy, by le-



piej poznać się jako ludzie. Proszę zobaczyć, jak rozwinęła się psychologia. Albo że nauka daje nam możliwość zbadania naszego genotypu.

Pan zbadał?

Tak, bo chciałem się dowiedzieć, co może mnie czekać w moim ciele, jak się rozkłada we mnie energia. Tak jak dawniej ludzie patrzyli w gwiazdy i rozwijali tę wiedzę przez tysiące lat, tak dziś wchodzimy do laboratoriów, szukając dowodów na istnienie duszy. Pokolenie moich rodziców było czegoś takiego pozbawione.

Pod tym względem jesteśmy uprzywilejowani. Ale borykamy się z innymi problemami: przybyło bodźców. Z każdej strony napierają na nas informacje, obrazy, dźwięki.

Jak Pan sobie z tym radzi?

Wykonuję proste ruchy: od trzydziestu lat nie mam telewizora. Nic w domu z ekranu nie miga i nie gada. Albo idę na spacer. Chętnie prowadzę auto, pięć godzin za kierownicą to czas wyłącznie

dla mnie: rozmyślam, słucham audiobooków. Redukuję niepotrzebne treści, na ile mogę, staram się lawirować w gąszczu bodźców. Mam pragnienie: chciałbym, by było pięknie.

W sensie?

Choćby w tym, co mnie otacza. Doceniam ładne wnętrza, przedmioty, widoki. Źle znoszę przypadkową zabudowę i kiczowate billboardy na Podhalu, z którego pochodzę. Ile razy tam jadę, tyle razy jestem zdruzgotany. Proszę porównać architekturę renesansową ze współczesnym budownictwem modułowym. Kiedyś miało być solidnie, dziś tanio, kiedyś budowało się przez kilka wieków, dziś w dwa tygodnie. W dawną architekturę wkładano serce, to był prawdziwy akt twórczy.

Kiedy parę lat temu po raz pierwszy wszedłem do bazyliki św. Piotra, byłem porażony jej wielkością i majestatem. Bazylika św. Piotra była dawniej dla człowieka oknem na cały wszechświat. Obecnie uniwersa czerpiemy z mediów, kina, platform streamingowych.

Ryzykowne porównanie.

Ale zgodzi się pani, że żyjemy za szybko i byle jak? W pośpiechu, obok siebie. Gadamy o bzdurach, uciekamy od prawdziwego spotkania. Bo na nie trzeba mieć czas i zainteresowanie. Nieraz myślę, że świat czeka przełom, że coś pieprznie i z powrotem wrzuci nas w real bycia wspólnotowego. Że ludzie ponownie do siebie się zbliżą.

Panie Bartku, za miedzą toczy się wojna...

A ja bym chciał, by było bez przemocy. Naiwne? Naiwne. Ale takie właśnie mam tęsknoty. Agresja nie musi mieć skali zbrojnego konfliktu, by wprowadzić z równowagi. Podnosi się ciśnienie i natychmiast rzucamy mięsem, kiedy kierowca zajeżdża drogę, wymusza pierwszeństwo, a pieszy niespodziewanie wchodzi na ulicę. Niepotrzebnie człowiek się triggeruje, emocje zapalają się jak kartka papieru. Potem są bezsenne noce, tabletki itd. Zbyt łatwo poddajemy się bodźcom.

→



ALBERT ZAWADA

→ Pan się nie poddaje?

Akurat śpieć dobrze. W tym wszystkim pomocne są wartości. Jeśli mamy je po-
ustawiane, to nawigacja sprawnie działa.

Jakie wartości?

Wyniesione z domu. Nasz był otwarty. A przecież wychowywałem się w Nowym Targu, w dość konserwatywnym frag-
mencie Polski. Z jednej strony Kościół i cała związana z nim kultura, z drugiej – ferment intelektualny, który zresztą szedł z tego Kościoła, w postaci Klubu Inteligencji Katolickiej, do którego należałem. Lata 80. to był też czas, kiedy przycho-
dziły z zachodu dary – materialne ślady lepszego świata. Zastanawiałem się: „Jakie tam musi być bogactwo, że oni to nam za darmo dają. A u nas nie ma. O co w tym chodzi?”. Ojciec w kuchni słuchał co noc „Głosu Ameryki”, a wujek, szef Solidarności Podhala, w stanie wojennym ukrywał się w górach. Dzieciństwo i młodość przy-
padło na komunę, ale nie było wcale złe.

A jak?

Wkoło czysto, schludnie. Rówieśnicy, zabawa, muzyka. I narty. Kiedy rodzice kupili mi pierwsze buty – jeszcze nie na kłamry, tylko częściowo sznurowane, bo na takie tylko było ich stać – to wsia-
dałem w autobus i jechałem do Zakopanego, by zjeżdżać z Kasprowego. Do upadłego. Byłem nieziemsko zmęczony i równie szczęśliwy. W ogóle mnóstwo trenowałem: pływanie, siatkówka, lek-
koatletyka. Skakałem o tyczce, w dal, wzwyż, pchałem kulą, biegałem przez płotki. Choć najważniejszy był hokej: lata 70. i 80. to był złoty wiek „Szarotek” z Podhala Nowy Targ. Dwanaście lat z rzędu zdobywali mistrzostwo Polski. Znałem cały skład, to byli moi bohaterowie. Dobrze jeździłem na łyżwach, z chło-
pakami rozgrywaliśmy mecze, bramkami były tornistry. Natomiast już jako czterdziestolatek miałem epizod z tria-
thlonem.

To już sport ekstremalny.

Kombinacja biegania, kolarstwa i pły-
wania. Nie uprawiam go na co dzień, bo wymaga pełnego zaangażowania. Gdy przygotowywałem się do triathlonu, ćwi-
czyłem dzień w dzień po dwie godziny. Co w moim zawodzie jest trudne do osią-
gnięcia ze względów logistycznych, mam ścisły terminarz. Triathlon jest nie tylko

testem na wytrzymałość fizyczną, ale i psychiczną. To rodzaj doświadczenia to-
talnego.

A powie Pan jeszcze coś o wartościach?

Tu ważny jest tata. By nam było lepiej, poleciał pracować do Stanów. Za pierw-
szym razem na półtora roku, za drugim na rok. Pamiętam ogromną za nim tę-
sknotę. I zapach przesyłanych paczek, a w nich kolorowe kurtki, w Polsce nie do dostania. Jako ojciec czuję się podob-
nie odpowiedzialny za rodzinę, zabezpie-
czam byt, to pozostaje na mojej głowie.

Co jest w Panu jeszcze z ojca?

Precyzyjność? Ojciec był domorosłym
mechanikiem. Gdyby miał możliwość kształcenia się, byłby na pewno świet-
nym inżynierem. Kiedyś z Anglii spro-
wadził silnik z chłodni i wrzucił do fiata. Było taniej, bo na ropę, a on dorabiał na
taksówce. W garażu urządził mały warsz-
tat, w którym ten silnik rozkładał i skła-
dał. By coś takiego zrobić, trzeba mieć
masę cierpliwości i świetną pamięć. W wykonywaniu domowych zajęć oj-
ciec też był dokładny. I ja starannie myję
naczynia czy odkurzam podłogi. I nie
spóźniam się na spotkania. To element
porządku.

Na nasze przyszedł Pan kwadrans wcześniej.

Sądzę, że pasja, oddanie się czemuś bez
reszty – to także wartość wyniesiona z ro-
dzinnego domu. Z dwójką rodzeństwa ukończyliśmy szkołę muzyczną, brat zo-
stał lutnikiem. Ja chodziłem na flet, ryt-
mikę... Teraz żałuję, że nie przyłożyłem
się bardziej do fortepianu. Oszukiwałem
ojca, że to jest właśnie zapisane w nutach,
choć grałem zupełnie co innego. Całą ro-
dziną śpiewaliśmy w chórze – rodzice
w kościelnym, my w szkolnym.

To była Pana droga do aktorstwa?

Po podstawówce poszedłem do tech-
nikum weterynaryjnego. Poniekąd to
był pomysł dziadka Filipa, ojca mamy. Miał małeńkie gospodarstwo w Tylma-
nowej, każde wakacje spędzałem wśród
pół, łąk, krów i kur. Uwielbiałem tam
być. A dziadkowi chodziło o to, by wnuk
miał w ręku fach. Gdy byłem w „wecie”,
należałem do kółka tańców ludowych. Brałem też udział w konkursach poezji

śpiewanej i recytatorskiej. Byłem pod
ogromnym wrażeniem filmów Marka
Koterskiego, który do sedna rzeczywisto-
ści dochodził poprzez groteskę. Zdając do
filmówki, chciałem iść pod prąd wyzna-
czonej dotąd ścieżki.

I?

Zostałem rozłożony na łopatki. W
szkole zaczęliśmy poznawać emocje:
kochanie, troskę, nienawiść, wściekłość,
zazdrość, łagodność, bezradność, roz-
pacz... Po kolei i od Sasa do Lasa. Każda
rola to przecież wchodzenie w inne buty,
uruchamianie wewnętrznych zasobów.
To wszystko było mi obce, a równolegle
niezbędne do wykonywania zawodu. W
ówczesnej szkole nie było psychologa,
który mógłby nazwać to, co się z nami
dzieje. A skoro rzemieślnik uczy się ma-
szyny do obróbki skrawaniem, to akto-
rzy powinni nauczyć się, jak bezpiecznie
zarządzać swoimi emocjami. I umieć wy-
woływać je u innych.

Więcej – uważam, że tego rodzaju edu-
kacja powinna toczyć się przez całą pod-
stawówkę i szkołę średnią. Nikomu nie
zaszkodzą lekcje psychologii. Uczymy się
o długości rzek, o głębokości jezior, o po-
wierzchni Polski, o ilości opadów, a nie
mamy pojęcia, jakie zachodzą w nas we-
wnętrzne procesy, kiedy kończy się dzie-
ciństwo, a zaczyna młodość. Ta wiedza jest
potrzebna, by radzić sobie z tym, co bę-
dzie nas spotykać przez całe życie. Jeśli
potrafimy nazwać świat emocji, łatwiej
budować relacje.

Jak było z Panem?

Marzyłem, by znaleźć się w zespole
Jerzego Grzegorzewskiego. Fascynował
mnie jego sposób widzenia świata – to,
jak łączy tradycję z awangardą. Liczyłem,
że Grzegorzewski zobaczy dyplomowy
spektakl, który przygotowaliśmy jako
studenci czwartego roku. W Łodzi od-
bywał się Festiwal Szkół Teatralnych, na
który zjeżdżali dyrektorzy teatrów z Kra-
kowa, Warszawy, Wrocławia. A Grzego-
rzewski wtedy nie przyjechał. Dostałem
propozycję angażu do pięciu teatrów, ale
chciałem grać tylko u niego: w teatrze
Studio. Wkurzyłem się na Grzegorzew-
skiego i obraziłem się na teatr.

Młodzieńczy radykalizm?

I sytuacja ekonomiczna: nie było mnie
wówczas stać na teatr, za spektakl aktor

Skoro już pojawiliśmy się
na świecie, to po to,
by dotknąć czegoś
prawdziwego.

**Jesteśmy tu na chwilę,
między oddechem
pierwszym a ostatnim.**

ALBERT ZAWADA / PAP



BARTŁOMIEJ TOPA
(ur. 1967) – aktor,
producent filmowy.
Absolwent PWSFTviT
w Łodzi. Zagrał m.in.
w filmach Wojciecha
Smarzowskiego:
„Wesele”, „Dom zły”,
„Drogówka” i „Kler”.
W pierwszym sezonie
serialu Netfliksa
pt. „1670” zagrał główną
rolę – szlachcica Jana
Pawła Adamczewskiego.

dostawał 50 zł. Ale, prawdę powiedziawszy, bałem się też wyjścia na scenę. Gdybym zaczął grać tuż po szkole, z moimi kolegami, to pewnie jakoś bym sobie z rozpędu poradził. A ja zrobiłem przerwę od teatru na dwadzieścia lat. Dopiero w 2010 r. przyszło zaproszenie od Kasi Adamik i Olgi Hajdas, by zagrać w sztuce „Koza, albo kim jest Sylwia?”. Wtedy wróciłem na scenę. Początkowo odczuwałem nieprawdopodobny strach przed tym, co się stanie, że zapomnę kwestii, że nie sprostam. To był też czas, kiedy poznałem Ewę Foley, prowadzącą warsztaty rozwoju osobistego. Pokazywała, jak każda emocja odbija się w ciele i jakimi sposobami ją z niego uwalniać.

Panu to wszystko pomogło?

Pomogło. Każdy aktor, oprócz technik niezbędnych do uprawiania zawodu, powinien znaleźć dla siebie wentyl bezpieczeństwa. Ja na przykład biorę symboliczny prysznic. Inni uprawiają jogę, idą do lasu, w góry, nad morze. Ale jest i tak, że ludzie szukają ukojenia w wódzie, dragach, seksie.

Aktorstwo nadal daje Panu satysfakcję?

Głęboko wierzę, że ta robota, którą uwielbiam, rezonuje z widzem. Wiem, że tak się dzieje, bo jeżdżę od pięciu lat po Polsce ze spektaklami „Kolacja dla głupca” i „Dobrze się kłamię”. Teatr stwarza możliwość bezpośredniego kontaktu z publicznością: poczucie, że to jest moje, a jednocześnie wspólne, bo grane dla 500 widzów. Słyszę wtedy każdy szmer i widzę reakcję, jak ludzie wyłączają się z mózgu codzien-

ności. Może niektórzy po raz pierwszy od dawna szczerze się zaśmiali?

A czy popularność nie przeszkadza w celebrowaniu kameralnego życia? Popularność to wydmuszka.

Panie Bartku...

Nie powiem, że to obce mi doświadczenie. Ale ono nie zmienia mnie jako aktora. Swoją robotę wykonuję najlepiej, jak potrafię. Czytam sporo scenariuszy, niektóre mnie ciekawią, zdarzają się role wnoszące coś więcej do mojego jednostkowego doświadczenia. Choćby serial „Powrót”, gdzie gram Jana Starosteckiego, faceta w sile wieku, umierającego na zawał serca, by następnie zmartwychwstać i powrócić do świata żywych. Wtedy dopiero zaczyna się orientować, co jest w życiu istotne, które obszary dotąd odpuszczał i zaniedbywał.

Dlaczego właśnie ta rola?

Ja też usiłuję złapać balans między czasem prywatnym a zawodowym. Więcej mieć tego pierwszego. Mam świadomość, że skoro już pojawiliśmy się na świecie, to po to, by dotknąć czegoś prawdziwego. Jesteśmy tu na chwilę, między oddechem pierwszym a ostatnim. A samo ciało jest hologramem, zaprogramowaną strukturą biologiczną. Nawet kiedy przestają bić nasze serca, pozostajemy małą częścią większej całości.

A czego prawdziwego mamy dotknąć?

Samego istnienia? Doświadczenia go przez ciało – uszy, oczy, nos; i przez zmysły – słuch, wzrok, czucie. Doceniamy to, kiedy zbliżamy się do sytuacji granicznej,

przejdąc z jednego stanu w drugi. Takim momentem jest umieranie. Umierali moi bliscy, umierali moi przyjaciele. Umarł mój synek, który urodził się z wadą serca. Wiedzieliśmy, że nie będzie dla niego ratunku.

Niepojęte doświadczenie.

Synka nie ma fizycznie, ale jest wciąż z nim. Jego śmierć uprzytomniła mi, że na sporą część spraw w życiu nie mamy wpływu. Paradoksalnie ta świadomość daje mi siłę. Bo rzeczywistość odciąga od tych najważniejszych rzeczy, przypominamy sobie o nich, kiedy ktoś odchodzi. A kiedy odchodzi twoje dziecko, to już nigdy nie będzie tak, jak wcześniej. O śmierci należy myśleć i mówić. I same dzieci na nią przygotowywać. W 2021 r. urodziły się dwie moje córki. Mają dziś trzy i pół roku i stawiają mnóstwo pytań, ćwicząc swój i mój charakter. Biegający żywioł. Kiedyś nasz kot, Sznurek, przyniósł do domu martwego ptaszka. Córki musiały się skonfrontować z tym, że ich ukochany kotek jest myśliwym, a ptaszek to jego pokarm. Wzięliśmy łopatkę i ptaszka wspólnie pochowaliśmy. Tłumaczyłem: taka jest kolej rzeczy oraz natura kotka. Tutaj jest ziemia i wszyscy kiedyś do niej trafimy. Jesteśmy częścią cyklu życia i śmierci.

Naprawdę mówi Pan to trzylatkom?

Pokazuję im rytm świata. To, czego zazdroścę ludziom Wschodu – ich medycynie, filozofii, duchowości – to umiejętności myślenia o sobie holistycznie, bez stawiania granicy między ciałem a duszą. Mają większy wgląd w siebie niż my, ludzie Zachodu. Trochę →

→ upraszcam, ale ludzie Wschodu raczej nie zapominają, że każdy kolejny dzień zbliża ich do kresu. I że trzeba żyć z sensem, treściwie. Oraz dbać o ciało. A ja bym chciał dożyć co najmniej 90 lat w sprawności fizycznej i intelektualnej.

Jak chce Pan to osiągnąć?

Zwracam uwagę na oddech i systematycznie się nawadniam. Trzecia rzecz to dobre jakościowo i nieprzetworzone żarcie, bo jak będziesz jeść syf, w tym cukier, to przyjdzie choroba. Potrzebny też jest ruch, sprawność mięśni. Grawitacja jest silna, ziemia upomina się o nas, by nas przyjąć, nie ma co się poddawać. Spełniając te cztery warunki, wchodzimy na dobrą drogę.

Pan na niej jest?

Jestem na etapie odświeżania moich wartości. Dostałem od terapeuty kartę, na której jest ich wpisanych czterysta, i mam za zadanie zredukować je do dziesięciu najważniejszych. Na razie wyeliminowałem pięćdziesiąt. Nad każdą się głowię, bo jedna jest połączona z inną, tworzy się sieć. Prawda stoi blisko prawdziwości, a prawdziwość łączy się z prawdomównością itd. A ja nie jestem osobą, która widzi świat w kontrastach, że coś jest czarne, a coś białe. Dostrzegam szarości, stany pośrednie, przejścia, nieoczywistości. W dziesięciu wartościach, które zostaną, na pewno będzie szczerłość i empatia. Oraz odwaga – w sensie brania odpowiedzialności za swoje decyzje... Zdarza się, że ścieżki wartości, nasze i naszych najbliższych, przestają się krzyżować. Dla mnie coś jest ważne, dla drugiego mniej lub wcale.

Co wtedy?

Nie wiem, jestem na etapie refleksji. Odświeżam relację z samym sobą, by zobaczyć się w relacjach z innymi. Kiedy bawię się z moimi córkami, robię to całym sobą. Czas i uwaga są tylko dla nich. Nie pomniejszam ich o kręcenie filmików czy robienie zdjęć, bo jest ładnie i trzeba utrwalić. Liczy się pełne zaangażowanie. Żadnych rozpraszaczy. © Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



KONSTANTIN YUGANOV / ADOBE STOCK

Wielkopostna równowaga

PIOTR SIKORA

Tradycyjne praktyki – modlitwa, post i jałmużna – to przydatne mechanizmy kontrolowania naszej uwagi i zachowania duchowej równowagi.

ASKESIS ZNACZY ĆWICZENIE. WIELKOPOSTNĄ ascezę spróbuj więc zacząć od takiego ćwiczenia: włącz jakąś muzykę, najlepiej zespół złożony z kilku instrumentów. Skup się na rytmie, słuchając dokładnie, ilu różnych bębnow używa perkusista... Słyszałeś słowa wokalu? A teraz słuchaj bez szczególnego skupiania się na jakimś elemencie. Niech muzyka gra, a ty stań na jeden nóż; na samych palcach. Stojąc tak, spróbuj zastępnąć nieruchomo... Co się stało z Twoją percepcją muzyki? A przecież brzmiała cały czas tak samo.

Możesz wykonać jeszcze inne ćwiczenie: pomyśl o czymś trudnym, co czeka cię w najbliższej przyszłości (co i tak, zapewne, narzuca się twojej świadomości); zaangażuj się w intensywne rozbudowywanie tej mentalnej historii... A teraz zacznij poruszać oczami, zatrzymując wzrok na około sekundę – nie dłużej – na jakimś przedmiocie i nazywając, co widzisz (potem przenosząc wzrok w inne miejsce). Co stało się z twoimi myślami o trudnej przyszłości?

KOLEJNY UWAGI | Uwaga – bo ona jest głównym organem powyższych ćwiczeń – jest

między innymi zdolnością i narzędziem selekcji, wyboru. Ilość bodźców, które do nas docierają w każdej sekundzie, przekracza nasze zdolności percepcji i możliwości asymilacji. Dlatego nasz umysł, za pomocą uwagi, tylko niektórym sygnałom pozwala dotrzeć do świadomości. Selektywność uwagi związana jest też z naszym działaniem. W każdej chwili otwiera się też przed nami mnóstwo możliwości zaangażowania – ale zrealizować możemy tylko niektóre z nich. Życie jest sztuką wyboru.

Jak pokazują powyższe proste ćwiczenia, wybiórczość uwagi jest ściśle związana z tym, w co się właśnie angażujemy, co jest dla nas w danym momencie ważne. Mechanizm ten działa także w przypadku bardziej skomplikowanych i rozciągniętych w czasie aktywności. Nic więc dziwnego, że kierowca samochodu jadącego w gęstym ruchu drogowym może nie zanotować, co mówi do niego bliska osoba siedząca na fotelu pasażera – nawet jeśli ta przekazuje mu ważne informacje. Nic zatem nieoczekiwanego, że ktoś mocno zaangażowany w pracę zawodową, zwłaszcza w jakimś „gorącym” okresie, może nawet przez

dłuższy czas nie zauważać, co się dzieje w rodzinie.

Wybiórczość uwagi pozwala nam zatem skutecznie działać, ale – jednocześnie – może być przyczyną psucia się naszych relacji, cierpienia bliskich osób. Dobrze by było, gdybyśmy świadomie panowali nad tym mechanizmem. Niestety – do jego natury należy to, że jeśli już działa (a działa od najwcześniejszych chwil życia) i filtruje dochodzące do nas informacje, sam staje się przeszkodą do obiektywnego rozpoznania sytuacji i zrównoważonej oceny, co dla mnie jest bardziej ważne, a co mniej, w co warto się bardziej zaangażować, a z jakich aktywności choć trochę wycofać. Uwaga jest jakby koleiną, w której poruszamy się, pogłębiając ją coraz bardziej, w związku z czym mamy coraz większą trudność zmiany kierunku ruchu.

MODLITWA | Trzy tradycyjne wielkopostne praktyki – modlitwa, post, jałmużna – mogą być bardzo pomocne w wydobyciu się z tej koleiny i odzyskaniu równowagi uwagi.

Modlitwa – czyli czas tylko dla Boga. Oczywiście słowo „Bóg” nie oznacza żadnego konkretnego, uchwytnego bytu-elementu świata. Nic, co moglibyśmy dostrzec, czego doświadczyć, o czym pomyśleć – odróżniwszy to od jakiegoś szerszego tła – Bogiem nie jest. „Czas tylko dla Boga” nie jest zatem skierowaniem uwagi w jakims konkretnym kierunku. To raczej zatrzymanie się, wycofanie z wszelkich działań skierowanych na konkretne sprawy „tego świata”, trwanie w ciszy i „odklejanie” uwagi od każdego konkretnego „przedmiotu”, który ją do siebie będzie chciał przykuć.

„Czas tylko dla Boga” musi naprawdę trochę potrwać (np. pół godziny dziennie przez cały Wielki Post): wtedy możliwe będzie rozpoznanie, że wszelkie dotychczasowe zaangażowania dotyczyły spraw, które przemijają i mają jedynie relatywną wartość. Wtedy, być może, będzie możliwe bardziej wyraźne dostrzeżenie dotąd pomijanych zakamarków życia. Dopiero po jakimś okresie takiego zatrzymania stanie się bardziej jasne, jaka jest prawdziwa waga tego, co (czasem niemal bezwiednie) stało się w naszym życiu najważniejsze, najbardziej pochłaniające uwagę.

Jeśli naprawdę poświęcimy jakiś czas tylko dla Boga, to trwając tak w ciszy i zatrzymaniu będziemy mogli doświadczyć,

czego w tym czasie najbardziej nam brakuje, ku czemu nasze serce-umysł, może nawet ciało, wyrzyna się najbardziej: „dość już tego bezruchu, trzeba działać, robić to a to! już dłużej chyba nie wytrzymam!”. Dopiero wtedy ujawni się pożytek z postu.

POST | Post bowiem, w najbardziej podstawowym sensie, to ograniczenie jedzenia, czyli wprowadzenie organizmu w stan, w którym odczuwa brak zasobów koniecznych do biologicznego przetrwania. Oczywiście – najczęściej to odczucie braku i poczucie biologicznego zagrożenia jest złudzeniem umysłu: rzadko kiedy człowiek poszczący redukuje posiłki do poziomu naprawdę grożącego śmiercią głodową. Ale właśnie tutaj tkwi haczyk: umysł poszczącego może zorientować się, że ilość pożywienia, która wydawała mu się konieczna do dobrego funkcjonowania/zdrowia/życia wcale do tego konieczna nie jest. Innymi słowy – dzięki praktyce postu umysł może zorientować się, że ulegał złudzeniu, rozpoznać swoją prawdziwą potrzebę, odróżnić ją od potrzeb urojonych.

Podobny „postny” mechanizm działa także w przypadku innych ludzkich potrzeb, pragnień, nawyków. Jeśli zatrzymamy się na chwilę, wycofamy z rozmaitych „światowych” aktywności i poświęcimy czas „tylko Bogu” – odczujemy zapewne brak tego, w co byliśmy dotąd zaangażowani, poczujemy impulsy do jakichś konkretnych działań. Jeśli jednak wówczas zdecydujemy się na post – czyli nie poddamy się impulsom, nie zaangażujemy w działanie, którego umysłowi brak – będziemy mieli okazję rozpoznać, co naprawdę w naszym życiu jest konieczne, a co nie, jaka jest rzeczywista wartość rozmaitych aktywności i jak są one ze sobą powiązane. Będzie to kolejny krok pozwalający naszej uwadze odzyskać równowagę.

Tak pojmowany i praktykowany post jest pewnego rodzaju odwykiem, który pozwala odzyskać nam wolność od rozmaitych uzależnień – często subtelnych, zakrywanych przez ich kulturową otoczkę (np. wartość przypisywaną przez naszą kulturę pracy czy efektywności).

Odwyk nie jest niczym przyjemnym. Zatrzymanie się, wycofanie z wielu aktywności i „postne” w tym wycofaniu trwanie może ujawnić albo nawet spowodować rozmaite nieprzyjemne reakcje

umysłu: osądzające myśli, rozdrażnienie, lęk, poczucie winy. Trudności i napięcia możemy nawet odczuwać w ciele. W tym miejscu otwiera się przestrzeń dla trzeciej wielkopostnej praktyki: jałmużny.

JAŁMUŻNA | Słowo „jałmużna” ma we współczesnym języku dość negatywny wydźwięk. Kojarzy się często z działaniem niby to dobroczynnym, lecz w gruncie rzeczy podejmowanym z pozycji wyższości, czasem nawet z lekkim odczuciem pogardy dla osoby, która z owej jałmużny korzysta. Tak naprawdę jednak chodzi o akt przeciwny wobec opisanej wyżej postawy. Możemy więc darować sobie walkę o słowa i skupić się na rzeczy samej.

Chodzi bowiem o działanie podejmowane w całkowitym skupieniu na osobie, ku której jest ono skierowane – skupieniu powodującym zapomnienie o sobie, własnych celach, potrzebach, pragnieniach. Chodzi więc o takie działanie, w którym „znika” działający, a pozostaje samo działanie. A jeśli działanie pozostaje samo, przestaje być inwestycją: zarówno we własną korzyść, jak i – nawet – w jakieś późniejsze, zewnętrzne wobec działania efekty. Angażując się w prawdziwą jałmużnę, nie oczekujemy nic w zamian, żadnego „zwrotu” z poświęconego wysiłku, żadnej nagrody. Więcej nawet – rezygnujemy z kontroli nad efektami naszego działania. Dając coś drugiemu (czas, uwagę, pieniądze, jakąś możliwość), rezygnujemy z kontrolowania, co osoba obdarowana zrobi z darem, wykorzysta go czy też (w naszym mniemaniu) zmarnuje.

Tak rozumiana jałmużna jest zatem najlepszym sposobem powrotu do aktywnego życia ze stanu modlitewnego zatrzymania i postnego trwania w powstrzymywaniu się od dla nas ważnych zaangażowań. Działanie w skupieniu (na drugim człowieku i na samym działaniu) leczy, po pierwsze, nieprzyjemne efekty postu, związane z „krzykiem” naszego ego, że czegoś mu brakuje. Pozwala nie walczyć z tymi brakami bezpośrednio, nie tłumi na siłę „krzyku”, tylko po prostu delikatnie odwraca uwagę i pozwala doświadczyć radości z bezinteresownego zaangażowania. Po drugie zaś, im mniej w naszym działaniu jest naszego ego, tym większa szansa dla uwagi, by pozostała w równowadze i nie czyniła nas ślepyimi na to, co w życiu ma największą wartość – na Życie samo. ©P

Świadkowie krzywdy Kościoła

ANNA GOC

Osoby skrzywdzone seksualnie przez księży chcą zmian w prawie kanonicznym. Pod listem, który wysłali do Watykanu, podpisali się biskupi. Nie wszyscy.

CZUJESZ SIĘ TAK, JAKBYŚ CO JAKIŚ CZAS musiała stanąć naprzeciw olbrzymów. A oni za każdym razem wciskają cię coraz mocniej w ziemię. Nie możesz jednak nic zrobić, stoisz i czekasz – mówi Tośka Szewczyk, gdy pytam, jak wyglądały dotąd jej kontakty z przedstawicielami diecezji, w której zgłosiła swoją krzywdę.

Osoby wykorzystane seksualnie przez księży mogą zgłosić swoją sprawę delegatowi ds. ochrony dzieci i młodzieży, który jest w każdej diecezji i w każdym zgromadzeniu zakonnym. Zgłoszenie uruchamia postępowanie, a jeśli sprawa zostanie uznana za wiarygodną – proces kościelny. Jego przebieg, a także status pokrzywdzonych, precyzuje prawo kanoniczne.

28 lutego, przed „Dniem modlitwy i solidarności z Osobami Skrzywdzonymi wykorzystaniem seksualnym”, abp Wojciech Polak, delegat KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży, ogłosił wspólny list – pokrzywdzonych i biskupów – z apelem o zmiany w prawie kościelnym.

– Zmiany kluczowe, bo jeśli uda się je wprowadzić, osoby skrzywdzone będą stroną we własnych sprawach. Teraz, zgodnie z prawem kanonicznym, jesteśmy, mówiąc skrótem, „świadkami

krzywdy Kościoła”. Pokrzywdzona jest wspólnota, sprawiedliwość, przykazanie, a nie osoba, które została wykorzystana seksualnie przez księży – mówi Tośka Szewczyk.

To ona jest jedną z inicjatorek listu.

Nie umarłam

Od początku działa anonimowo. Nie ujawniała dotąd publicznie swojego wizerunku. Nie powiedziała najbliższemu, że „Tośka Szewczyk” – to ona.

– Nie chciałabym jednak, żeby osoby skrzywdzone przez księży uznały, że nie warto mówić bliskim o tym, co się wydarzyło. Bywa, że prawda jest dobrze przyjmowana i wzmacnia relacje. Bliscy starają się wspierać, a wsparcie jest kluczowe.

– Skąd więc decyzja o anonimowości? – pytam.

– Wiem, że nie wszyscy wytrzymują emocjonalnie informację, że ich dziecko było molestowane seksualnie przez księdza. Znam dwie osoby, których najbliżsi nie poradzi sobie z tym tak bardzo, że odebrali sobie życie. Jeśli historia staje się publiczna, włączają się w nią kolejne osoby – krewni, znajomi, sąsiedzi. Nie zawsze po to, by wesprzeć – mówi Szewczyk.

Swoją sprawę zgłosiła do diecezji już jako dorosła, w 2020 r. Wciąż czeka na jej zakończenie. O tym, jak wygląda sytuacja osób pokrzywdzonych w procesach kościelnych, napisała w książce „Nie umarłam. Od krzywdy do wolności”. Określenie „nieumarli” ma oddać to, co przeżywają osoby wykorzystane seksualnie przez księży. Jego autorem jest Robert Fidura, który o swojej krzywdzie opowiedział po raz pierwszy także pod pseudonimem („Wiktor Porycki”).

Od maja ubiegłego roku działają we trójkę – Tośka Szewczyk, Robert Fidura i Jakub Pankowiak, główny bohater filmu dokumentalnego braci Sekielskich „Zabawa w chowanego”.

Czy biskup usłyszysz mój głos

Zaczęło się od listu pokrzywdzonych do Rady Stałej KEP. Jego inicjatorami byli Szewczyk, Fidura i Pankowiak, ale podpisało się pod nim czterdzieści sześć osób.

List był reakcją na opublikowany w portalu Więź tekst Zbigniewa Nosowskiego „»Czy Ksiądz Biskup mógłby w końcu usłyszeć mój głos?«. Pytania do abp. Tadeusza Wojdy”. To historia dwóch kobiet, które zgłosiły sprawę wykorzystania seksualnego przez księdza w diecezji gdańskiej. Sprawę opisał wcześniej Stanisław Zasada w „Tygodniku Powszechnym”. Z relacji kobiet, a także ustaleń dziennikarzy, wynika, że w czasie zgłaszania sprawy doszło do licznych nieprawidłowości, m.in. zeznania złożone przez kobiety, które są podstawą w dalszym postępowaniu, zostały niewłaściwie zaprotokołowane. Metropolita gdańskim był wtedy abp Tadeusz Wojda, obecny przewodniczący Episkopatu.

Pokrzywdzeni sformułowali w liście osiem postulatów. Domagali się zawieszenia abp. Tadeusza Wojdy w pełnieniu obowiązków przewodniczącego KEP do czasu wyjaśnienia stawianych mu zarzutów, a jeśli te zostaną potwierdzone – usunięcia go z tej funkcji; podania terminu rozpoczęcia działania niezależnej komisji, która zbada przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele od 1945 r., na wzór komisji, które powoływały episkopaty m.in. Francji, Portugalii czy Niemiec; spotkania pokrzywdzonych z biskupami, powołania Rzecznika Praw Osób Skrzywdzonych, a także włączenia kobiet w system pomocy osobom pokrzywdzonym w diecezjach.

Jednym z najważniejszych postulatów było wprowadzenia zmian w prawie kanonicznym.

Dotrzeć do papieża

19 listopada ubiegłego roku Szewczyk, Fidura i Pankowiak spotkali się na Jasnej Górze z biskupami, którzy uczestniczyli w zebraniu plenarnym KEP. Przyszło ponad 70 biskupów, jednak nie wszyscy, którzy byli wtedy na miejscu.

RDC DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Protest „Pamiętamy. Stop pedofilii w Kościele katolickim” przed kościołem św. Floriana. Kraków, 16 września 2018 r.

– W czasie spotkania omówiliśmy szczegółowo zarówno postulaty zmian w prawie, jak i przygotowaną we współpracy z pokrzywdzonymi listę dobrych i złych praktyk – mówi Szewczyk. – Podzieliliśmy kontakty pokrzywdzonych z diecezją na etapy: składanie zawiadomienia w kurii, dochodzenie wstępne, w czasie którego zapada decyzja, czy sprawa jest wiarygodna, i na tej podstawie jest wysyłana do Watykanu, oraz sam proces. Omówiliśmy szczegółowo każdy z etapów, wymieniając po kilka najbardziej reprezentacyjnych przykładów, co może pójść nie tak i jaki to ma wpływ na pokrzywdzonych.

– Co na to biskupi? – pytam.

– Miałam wrażenie, że słuchali i że przyjęli naszą perspektywę. Wiem, że niektórzy mają świadomość, jak wygląda sytuacja osób pokrzywdzonych, i że wspierają nasze działania, by ją poprawić.

Jesienią pokrzywdzeni przekazali listę propozycji zmian w prawie kanonicznym polskiej delegacji biskupów na synod. Wcześniej nad propozycjami pracowali z kanonistami. – Tuż przed wyjazdem na synod spotkaliśmy się z biskupami, by omówić szczegółowo nasze propozycje i zastanowić się, w jaki sposób najlepiej dotrzeć z nimi do papieża – mówi Szewczyk.

– Dostaliście odpowiedź z Watykanu? – pytam.

– Sekretarz synodu odpisał polskiemu biskupom, że przekazał nasz projekt Papieskiej Radzie ds. Tekstów Prawnych, Dykasterii Nauki Wiary i Papieskiej Komisji ds. Ochrony Małoletnich. Czekamy na odpowiedzi tych instytucji.

Jednomyslność biskupów

W styczniu powstał wspólny list – pokrzywdzonych i biskupów, który miał wesprzeć wysłaną jesienią propozycję zmian w prawie kanonicznym.

– Wiemy, że nie udało się nam dotrzeć do wszystkich, nasze kontakty są ograniczone. Ale wiemy też, że nie wszyscy pokrzywdzeni chcą się podpisywać pod wspólnym listem z biskupami – mówi Szewczyk.

– Nie podaliście też informacji, którzy biskupi podpisali się pod listem. Dlaczego?

– Wśród osób skrzywdzonych podpisy zbieraliśmy my – skrzywdzeni, a wśród biskupów – sekretariat KEP. My obiecaliśmy podpisanym osobom pokrzywdzonym, że opublikujemy listę z naszej strony. Dla niektórych imienny podpis pod tym listem był ważnym krokiem w stronę wyjścia z anonimowości, inni natomiast, podpisani pseudonimem lub anonimowo, wciąż nie mają możliwo-

ści publikacji we własnym imieniu. We własnym imieniu może wypowiedzieć się natomiast każdy z biskupów, który zdecydował się list podpisać.

O jednomyslności biskupów i kwestii tego, jak wpływa ona na sytuację osób pokrzywdzonych, mówił w rozmowie z „Tygodnikiem” ks. Grzegorz Strzelczyk. Na pytanie, dlaczego episkopat Niemiec czy Francji udało się powołać niezależną komisję badającą przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele od 1945 r., odpowiedział: „Bo tam zgadzali się na to wszyscy biskupi. Żeby ogólnopolska komisja zaczęła działalność, też powinni zgodzić się wszyscy. Jeśli się nie zgodzą, komisja będzie działała na terenie poszczególnych diecezji – tych, których biskupi zgodzą się na jej działanie”. I dodał: „Gdyby była determinacja oraz chęć szybkiego i dogłębnego rozwiązania tej sprawy u wszystkich biskupów w Polsce, także odwaga do tego, żeby się z tym zmierzyć, pewnie udałoby się powołać ją w miesiąc”.

Nie istniejesz

Gdy pytam, jak zmieniłaby się sytuacja pokrzywdzonych, gdyby zmiany w prawie, o które apelują, weszły w życie, Szewczyk odpowiada pytaniem: – Czy możemy się temu przyjrzeć, biorąc pod uwagę i zmiany w prawie, i to, w jaki sposób w ramach obowiązującego prawa bywamy traktowani przez kościelnych urzędników? Jest, na przykład, grupa delegatów, którzy dokształcają się, rozwijają, biorą udział w superwizjach. Ale są też delegaci, którzy nie pojawili się od miesięcy na żadnym szkoleniu i to ma przełożenie na naszą sytuację.

Przechodzimy wspólnie przez sprawę Tołki Szewczyk.

Najpierw moment składania zawiadomienia. – Być może, gdyby mój delegat brał udział w szkoleniach, ustaliłby ze mną miejsce składania zeznania, a nie zaprosił do budynku seminarium – zaczyna. – Skrzywdzeni wcale nie muszą składać zawiadomienia w miejscu, które jest nacechowane religijnie.

I druga rzecz: – Poszłabym na pewno z osobą towarzyszącą. Dopiero półtora

→ roku po złożeniu zeznania zorientowałam się, że ani w protokole, który spisywał ksiądz, ani w jego notatkach nie było nazwisk innych osób, które mogły być pokrzywdzone przez tego księdza i które wymieniałam w czasie rozmowy. A to w śledztwie może mieć istotne znaczenie – mówi. – Nie zauważyłam tego, być może osoba, która byłaby ze mną, zwróciłaby na to uwagę.

Na etapie dochodzenia wstępnego w sprawie Tośki Szewczyk ksiądz, domniemany sprawca, dalej pracował w parafii. – Mimo że powinien zostać odizolowany na czas wyjaśnienia stawianych mu zarzutów. Został zabrany z parafii na koniec roku szkolnego i pożegnany z wielkimi honorami. Na stronie parafii pojawiły się zdjęcia, na których odbierał kwiaty. Zdjęcia zniknęły, ale właśnie w taki sposób został zapamiętany – opowiada Szewczyk.

Wreszcie proces. – Nie mamy żadnego dostępu do tego, co dzieje się z naszą sprawą. Moja wróciła z Dykasterii Nauki Wiary z zaleceniem przeprowadzenia procesu karnego administracyjnego w Polsce. Gdy dopytałam delegata, co to znaczy, odpowiedział, że nie wie.

Sprawa Tośki Szewczyk trwa od pięciu lat. – To jest moje pięć lat odbijania się od ściany. Dzwonienia do delegata i ciągłego dopytywania. Uczenia się prawa kanonicznego na własną rękę. W końcu: szukania pomocy wśród zaprzyjaźnionych ludzi Kościoła, także kanonistów.

Szewczyk podkreśla, że ten czas – oczekiwania i niewiadomej – może trwać wiele miesięcy, nawet lat. – Kościół, po-

przez prawo kanoniczne, mówił mi w tym czasie: „Nie istniejesz”. To sytuacja, w której jako osoba pokrzywdzona jestem użyta do tego, żeby urzędnicy kościelni mogli zrobić porządek na własnym podwórku. Jestem potrzebna tylko po to, by złożyć zawiadomienie – mówi Szewczyk. – Czym więc różni się używanie mnie przez sprawcę od takiego używania mnie przez przedstawicieli Kościoła?

– Kiedy zorientowałaś się, że nie masz dostępu do swojej sprawy? – pytam.

– Nie było jednego momentu, raczej orientowałam się krok po kroku. Także dzięki osobom, które mnie wspierały. Dowiadywałam się, że nie mam wglądu do zeznań sprawcy, a on do moich ma. Że nie mogę składać wniosków dowodowych, a sprawca może. Że nie będę miała dostępu do treści wyroku, a sprawca – będzie miał. Czy gdybym o tym wszystkim wiedziała przed złożeniem zeznania w kurii, zdecydowałabym się na to? Raczej nie.

– Stąd obraz z olbrzymami?

– Tak, ale ostatnio chyba go przerobiłam. Jechałam rano do pracy samochodem, włączyłam kazanie. Nagle usłyszałam myśl „tak się nie traktuje córki Boga”. Trafiła do mnie. Dalej stoję naprzeciw olbrzymów, ale już nie czuję, że mogą mnie tak łatwo wcisnąć w ziemię. Gorzej, gdy tym olbrzymem nie jest konkretny człowiek, tylko system – jak prawo kanoniczne, gdzie trudno powiedzieć, z kim właściwie walczę. Ale nawet wtedy ta myśl pozostaje aktualna: „tak się nie traktuje córki Boga”.

Dajcie już spokój

Tośka Szewczyk w mediach społecznościowych zamieszcza reakcje na jej działania na rzecz skrzywdzonych wykorzystaniem seksualnym w Kościele.

„Już za dużo o tych skrzywdzonych”, „Przecież już wszystko dostali”, „Jakie odrzucenie? Jakie niezrozumienie? Przecież oni się panoszą w Kościele”, „Stop lewackim cwaniarom!!! Tośkom i innym”, „Brednie bufonki, zbyt... tępej by pojąć że zasługi JPII są stokroć większe niż jej krzywda”, „A nie walić z grubej rury w każdego Brata w Chrystusie”, „Dajcie już spokój z tymi skrzywdzonymi, Pana Jezusa skrzywdzili, sądzili fałszywie, zamordowali, kto się domaga zadośćuczynienia? Dajcie już spokój”, „Zło jest złem ale jest przebaczenie pojednanie poprawa a nie wyłudzenie pieniędzy od ludzi, kurii, kapłanów”, „Prześcieńcie łąć kurwie syny i płuć na kościół”, „Tośka – agent propagandy”, „Spadaj suko”, „Powinnaś być w więzieniu za hejt w internecie”.

– Jak Ty się z tym masz? – pytam.

– Do wielu z tych reakcji trudno się odnieść, bo się wzajemnie wykluczają. Potrafię usłyszeć, że atakują święty Kościół katolicki i że jak chcę współpracować z biskupami, to wchodzę w pakt z diabłem. Najbardziej bolą komentarze od swoich, czyli od skrzywdzonych. Kiedy mówię o swojej krzywdzie i walczę o zmianę sytuacji skrzywdzonych w Kościele, część skrzywdzonych błędnie zakłada, że próbuję reprezentować ich wszystkich. Nie jest tak. Reprezentuję Tośkę Szewczyk i tych, którzy każdorazowo mnie do tego upoważnili.

© © ANNA GOC

TP

POWIEDZ NAM, CO SĄDZISZ!

ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W KRÓTKIEJ ANKIECIE

Zeskanuj zamieszczony obok kod lub wejdź na powszech.net/ankieta3

Chcemy regularnie prosić Czytelników o opinie na wybrane tematy dotyczące drukowanego wydania. Państwa odpowiedzi pomogą nam w pracy nad tym, żeby „Tygodnik” był jeszcze lepszy.

W poprzedniej ankiecie pytaliśmy o to, jaka tematyka poruszana w „Tygodniku” interesuje Państwa najbardziej. Najczęściej wskazywali Państwo:

- SPRAWY SPOŁECZNE
- WIARĘ I DUCHOWOŚĆ
- REPORTAŻE ZE ŚWIATA



DZIĘKUJEMY, ŻE NAS CZYTASZ!

O. WACŁAW

Oszajca: Człowiek jak Bóg



ODPRAWIAJĄC DROGĘ KRZYŻOWĄ, CZTERNAŚCIE razy śpiewamy: „Kłaniamy się Tobie, Panie Jezu Chryste, i błogosławimy Ciebie, żeś przez Krzyż i mękę swoją świat odkupić raczył”. Wynika z tego, że najważniejsze dla człowieka i Boga wydarzyło się w przeszłości. Ale skoro wierzymy, że Bóg „jest ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich”, to znaczy, że Bóg i świat pozostają w nierozrwanym związku. Owszem, „przemija postać tego świata”, ale dzięki tej więzi, nazywanej miłością, świat nie stacza się w niebyt. Stałoby się tak, gdyby Bóg przestał działać, ale to jest niemożliwe.

Miłość jest imieniem Boga, jest wieczna. Sprawia, że bywamy szczęśliwi, ale też z jej powodu cierpimy i umieramy w znaczeniu przenośnym i dosłownym. Jezus mówi: „Mój Ojciec działa stale, dlatego i Ja działam”, czyli kocham. Zatem w opowiadaniu o kuszeniu Jezusa na pustyni nie chodzi o co innego, jak tylko o wierność tej miłości.

Autor pochodzącej z piątego wieku sentencji „*Lex orandi, lex credendi*” twierdzi, że najgłębszą prawdę o Kościele poznajemy, analizując teksty modlitw. Obecnie wygląda na to, że na pierwszym miejscu mamy modlitwy o zdrowie, po tym o dobrego męża, szczęśliwy poród, zdanie maturo, dobrze płatną pracę, jak też o „uzdrowienie ślepej kieszki”. A chcąc zapewnić modłom większą siłę oddziaływania na Boga, prosimy o protekcję Matkę Chrystusa: „Ciebie więc, o Matko Nieustającej Pomocy, przez bolesną mękę i śmierć Twojego Boskiego Syna, błagam najgoręcej, byś wyprosiła mi u Syna Twego tę łaskę, której tak bardzo pragnę i potrzebuję [i] o którą w tej nowennie pokornie proszę”.

To dziwne: chcąc Maryję zachęcić do zajęcia się naszymi prośbami, przypominamy jej, co jej Syn i ona sama musieli wycierpieć. Mówimy jej o tym bez skrępowania, jakbyśmy nie pamiętali, kto spowodował tę tragedię.

Mając to na uwadze, rozpoczynając wielki post, pomyślmy: czy mamy się „powstrzymywać” tylko od hucznych wesel i zabaw, mięsa i czekoladek? Czy też przede wszystkim od namolnego powtarzania Bogu w kółko: daj, daj! Spróbujmy powiedzieć Bogu: dziękuję! Jest za co. Człowiek wpatrzony w Boga też po trafi – jak On – że zła wyprowadzić dobro. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Niechęć do obcych



„APOSTOŁ JAN RZEKŁ DO JEZUSA: NAUCZYCIU, widzieliśmy kogoś, kto nie chodzi z nami, jak w Twoje imię wyrzucał złe duchy, i zaczęliśmy mu zabraniać. Lecz Jezus odrzekł: Przestańcie zabraniać mu, bo nikt, kto uczyni cud w imię moje, nie bę-

dzie mógł zaraz źle mówić o Mnie. Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami” – to ewangeliczne czytanie z minionego tygodnia (Mk 9, 38-40). Dwa miejsca w greckim oryginale Jezusowego dialogu z apostołami wydobywają ostrzejszy ton. Gdy mowa: „nie chodzi z nami”, mamy słowo *akolouthéo* [hemin], które lepiej byłoby przetłumaczyć: „nie chodzi za nami”. W Ewangelii św. Marka to słowo pada jeszcze dwa razy: gdy Jezus powołuje Lewiego (Mk 2, 14), mówiąc „pójdź za Mną”, i gdy tymi samymi słowami próbuje powołać bogatego młodzieńca (Mk 10, 21).

Oto prawdziwy problem Jana i apostołów (czy tylko ich?): nieznanego egzorcysta nie podąża po ich śladach. Nie naśladuje ich. Nie podziela ich kategorii myślenia, ich wrażliwości religijnej, ich sposobu przeżywania relacji z Jezusem, ich modelu pobożności. Uczynili z siebie (nie z Jezusa!) punkt odniesienia.

Co na to Jezus? Odpowiedź kryje się w drugim słowie, które trzeba przywołać w greckim zapisie. Chodzi o „z nami” („kto nie jest przeciwko nam, jest z nami”). W greckim tekście mamy tu słowo *hypér*. Ma ono wiele znaczeń, ale pierwszym jest niewątpliwie „ponad”. O działającym poza gronem Dwunastu człowieku Jezus mówi: „Zostawcie go, on nie jest za wami – on jest ponad wami; on jest wyżej niż wy”. Co go takim czyni? Odpowiedź może być tylko jedna: działająca w nim łaska Ducha Świętego. Uszanujcie działanie Ducha! I uszanujcie człowieka, który się Mu poddaje.

Ciekawe, że św. Hieronim, dokonując przekładu naszego tekstu na łacinę, zdecydował się spośród wielu znaczeń *hypér* wybrać słowo *pro*, to znaczy „dla”: „kto nie jest przeciwko nam, jest dla nas”. W tej wersji pouczenie Jezusa brzmiałoby: tego, który „nie chodzi za wami”, nie traktujcie jako wroga. Sami korzystajcie z łaski, którą otrzymał i którą się dzieli. Ta łaska jest także dla was!

Jak widać, przytoczona Ewangelia niesie w sobie wezwanie do bardzo poważnej korekty naszych postaw. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



HISTORIA

*Na wystawie figur karnawałowych w Kolonii.
Niemcy, 25 lutego 2025 r.*

KOŃCE ŚWIATA

Mieliśmy ich już w historii sporo. Stąd wiemy, że koniec świata wcale nie musi być apokalipsą. Czasem jeden świat gładko przechodzi w całkiem inny, choć niekoniecznie lepszy. Jaki nadejdzie po Trumpie?

ZIEMOWIT SZCZEREK

PREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH Donald Trump zmienia układ światowych sojuszy: agresywna Rosja z pariasa staje się partnerem najważniejszego kraju NATO. Jakby tego było mało – wszędzie do władzy prą nacjonalistyczni populiści. I wypychają na stołki w krajach sąsiednich innych nacjonalistycznych populistów, żeby się z nimi później kłócić o sprzeczne narodowe interesy.

Rzeczywistość, w jakiej zdążyliśmy się już zdomować i uznać za swoją, wali się w gruzy. Tak, to naprawdę jest koniec świata, jaki znamy. Survivalowcy i prepersi przygotowujący się do apokalipsy, zaopatrujący swoje piwniczne bunkry w konserwy, amunicję i pitną wodę mają już wygodny skrótowiec na ten zwrot – TEOTWAWKI (*the end of the world as we know it*).

Prawdziwy koniec Rzymu

A przecież powinniśmy być przyzwyczajeni. Przecież nie pierwszy to koniec świata, jaki znamy. Bo końców świata, TEOTWAWKI, mieliśmy już w historii sporo. Nie musi być tak, że koniec jest apokalipsą, jak II wojna światowa. Ale nawet i po takim końcu przyszła porządna postapokalipsa. Ludzie urządzali się w ruinach Warszawy, Berlina czy Hamburga. Potem mieliśmy pamiętać, albo przynajmniej nie zapominać. Za nami osiemdziesiąt lat powtarzania „nigdy więcej”. Ale trudno powiedzieć, czy ta pamięć nadal działa. Na pewno nazwanie kogoś nazistą może być przyczyną pozwu sądowego. Przynajmniej tyle. Choć symbolami tego nazizmu można się już bawić. Bo a to się „hinduski symbol szczęścia” maluje komuś na drzwiach, a to się „pięć piw zamawia” albo pozdrawia zgromadzonych gestem „prosto z serca”.

Ale czasem zdarza się i tak, że jeden świat całkiem gładko przechodzi w całkiem inny, choć niekoniecznie lepszy. Tak było podczas niezauważalnego dla ówczesnie żyjących ludzi upadku zachodniego Cesarstwa Rzymskiego. Bo dostrzeżono, owszem, fakt, że młodzi rzymski cesarz Romulus zwany Augustulesem („auguściatkiem”) przekazał w 476 r. władzę germańskiemu wodzowi Odoakrowi. Nie odczytano tego jednak jako końca Rzymu: Odoaker odesłał bowiem insygnia cesarskie do cesarza wschodniorzymskiego Zenona, sam uznając się jedynie za jego reprezentanta. Zresztą Ze-

non był Izauryjczykiem, więc Rzymianie przyzwyczajeni byli do obcoplemieńców na swoim tronie i nie robili z tego problemu, podobnie jak Polacy z litewskości Władysława Jagiełły.

Na pierwszy rzut oka nic się więc wtedy nie zmieniło. Tym bardziej że zarówno Odoaker, jak i człowiek, który mu tę władzę potem odebrał, inny Germanin, Teodoryk, zachowali zarówno rzymskie prawo, jak i instytucje, obowiązujące tak samo Rzymian, jak i napływowych Gotów. Teodoryk tylko trochę to wszystko uprościł i dostosował Rzym do nowych, nieco już jednak zbarbaryzowanych czasów. W swoim edyktie zrobił bowiem to, czego domagają się dziś niektórzy populiści: przełożył skomplikowane i wyrafinowane zapisy dawnych, rzymskich praw na prosty i zrozumiały język. Słowem: odelitaryzował je tak, by rozumieli je również prości ludzie, a przede wszystkim nowi w rzymskiej kulturze Germanie.

A poza tym cóż: Rzym jakby trwał. Goccy władcy sami nosili się i prowadzili jak rzymscy patrycjusze. Goci osiedlali się w Italii między Rzymianami, ale ci byli przyzwyczajeni do wielokulturowego świata. Gdzie tu jakiś „koniec Rzymu”? A jednak rzeczywistość zmieniała się pełzająco: powoli, lecz nieubłaganie. Dziś czas przed Odoakrem na rzymskim tronie uznajemy za starożytność, a po Odoakrze – za średniowiecze, choć granica to umowna i nikt o niej wtedy nie wiedział.

Prawdziwy „koniec Rzymu”, taki, który mieszkańcy musieli już dostrzec, nastąpił dopiero kilkadziesiąt lat później, gdy cesarz wschodniorzymski Justynian i jego wodzowie Belizariusz i Narses zabrali się za odbieranie Gotom Italii. W wyniku wieloletnich walk Italia została zrujnowana i wyludniona, a reszty dokonała epidemia dżumy, zwanej „dżumą Justyniana”. Gdy później do Italii wdarli się Longobardowie, by w swoim ustanowionym tam królestwie znieść rzymską administrację i odebrać pozostałym przy życiu Rzymianom ich obywatelskie swobody, szli już właściwie po zgłiszczach i zwłokach. Po trupie Rzymu.

Koniec wschodniego Rzymu, czyli świata bizantyńskiego, za który uznaje się upadek Konstantynopola, był bardziej konkretny i dramatyczny, ale właściwie trzeba się go było spodziewać. Turcy bowiem stopniowo okrawali państwo Ro-

majów (jak Bizantyńczycy, czyli Grecy, którzy przyjęli rzymską tożsamość, nazywali samych siebie), aż pozostało z niego wyłącznie Miasto: Konstantynopol, drugi Rzym. A później, po upadku murów rozbitych przez działo węgierskiego mistrza Orbana (nic nie poradzę), wschodni Rzym kurczył się coraz bardziej, aż zamknął się w obrębie Hagii Sofii – katedry, do której uciekali przed najeźdźcami przerażeni mieszkańcy. Gdzie i tak nie uniknęli rzezi. A sama katedra przerbiona została na meczet.

Co prawda niedawno, w ramach chwilowego szoku ludzkości wykończonych dwoma światowymi wojnami, próbowano jakoś się dogadywać i czynić względem siebie gesty dobrej woli, więc ten akurat meczet zamieniono na muzeum, by mogły zeń korzystać wszystkie narody i nikt nie miał go na wyłączność. Dopiero teraz, w ramach powrotu do „polityki asertywności”, Hagia Sofia została przez bardzo asertywnego polityka, jakim jest turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan, znów zamieniona na meczet. Czarne jest czarne, białe jest białe, zapomnijcie o półcieniach.

Gaza all inclusive

Końce świata bywają rozciągnięte w czasie. Kilkadziesiąt lat kończyła się epoka Francisca Fukuyamy, który po innym końcu świata, upadku demolidów, obiecał nam „koniec historii”. Epoka Fukuyamy kończyć się zaczęła już 11 września 2001 r., po ataku na World Trade Center w Nowym Jorku. Inni twierdzą, że zaczęła się rok wcześniej, gdy wybrano na prezydenta George’a W. Busha, traktowanego jako zapowiedź nowej polityki USA, w mniejszym stopniu opartej na ideach i zasadach, a w większym – na pragmatyzmie. A przecież to idee i zasady oraz trwanie przy nich potrzebne są do utrzymania trwałego pokoju.

I choć dziś wielu z tych, którzy wtedy Busha nienawidzili, dałoby się pociąć za jego powrót, bo w porównaniu do Trumpa jawi się wręcz jako czuły i wyrafinowany empatyk, to wówczas przedstawiano go jako ciężkiego głupca i krwiożerczego tyrana. Ale Trump ze swoim cynicznym prostactwem (próba upokorzenia i zakrzyczenia prezydenta Ukrainy na oczach całego świata, by usprawiedliwić to, że woli porozumiewać się z agresywną Moskwą, a nie broniącym się

→ Kijowem), bezceremonialnością (uparte tytułowanie premiera Kanady „gubernatorem”, tak jakby Kanada już teraz była wasalem USA), ignorancją (do niedawna myślał, a może i nadal myśli, że Hiszpania jest w grupie państw rozwijających się – BRICS), notorycznym kłamaniem i wulgarnością przeskoczył te wyobrażenia. To już nie zwiastun barbaryzacji, to czyste barbarzyństwo tańczące na gruzach dawnego świata.

Tak jak Teodoryk kazał przełożyć rzymskie kodeksy na zrozumiały język, tak Trump, jeśli chce włączyć do USA Kanadę i Grenlandię, to nie ubiera tego w retorykę „konieczności zbliżenia”, tylko wprost mówi o aneksji Kanady i Grenlandii. Jeśli chce zarabiać na wojnie, to nie udaje, że dla niego zarabianie na wojnie jest nieetyczne, tylko oznajmia, że chce zarabiać na wojnie – i tyle. Jeśli chce umawiać się z tyranem, a nie z jego ofiarą, to publicznie upokarza ofiarę.

Na swoje oficjalne media społecznościowe Trump wrzuca własne wizjerunki w koronie (jak Cezar, gdy chciał koronować się na króla i próbował wybadać społeczne nastroje) albo wygenerowane przez AI filmiki o tym, jak będzie wyglądał trumpowski raj na ziemi, gdy już z Gazy zrobi coś w rodzaju Miami. Raj Trumpa wygląda tak: z nieba sypią się dolary, między wieżowcami stoi wielki złoty pomnik prezydenta USA, niby nowego Turkmenbaszy. A Elon Musk wcina w jego cieniu pierwszorzędnny humus.

Gdyby coś takiego zrobił George W. Bush, pomyślano by, że zwariował. I raczej na pewno pojawiłyby się głosy zastanawiające się nad jego zdrowiem psychicznym i nawołujące do impeachmentu. To, że tak się teraz nie dzieje, świadczy, iż naprawdę żyjemy już w innej epoce. To nie Romulus Augustulus. Goci już rządzą Rzymem. Tylko że to są nasi Goci. Boimy się migrantów, a barbaria wyszła z nas samych.

Koniec już się wydarzył. Możemy go jedynie kontemplować, niektórzy z czarnym dystansem (co ma być, to będzie), inni – z przejęciem. Jak premier Donald Tusk, który w swoim poście z 26 lutego na platformie X pisał z przejęciem: „Niepewność, nieprzewidywalność, deale. Czy to są naprawdę reguły, na których powinien się opierać nowy ład międzynarodowy?”.

Premier sporego europejskiego kraju, sprawującego prezydencję Unii Europejskiej, jest w tej samej sytuacji, co wszyscy inni użytkownicy internetu: może jedynie wraz z nami patrzeć z przerażeniem na to, co się dzieje. I może wraz z nami tylko biadolić w mediach społecznościowych, kiedy właściciel jednego z nich, Elon Musk, oznajmia tam, że pora, by Stany opuściły NATO i Organizację Narodów Zjednoczonych.

Kto pobłogosławi nowy ład

Patrząc na administrację Donalda Trumpa (a choćby i na same jego profile w społecznościówkach), można reagować tak, jak we wspomnieniach Karoliny Lanckorońskiej reagowali lwowianie na ich własny, mały koniec świata, gdy w 1939 r. ich miasto opanowali Sowieci. A u Lanckorońskiej czytamy tak: „W mojej obecności oficer kupował grzechotkę. Przykładał ją do ucha towarzyszowi, a gdy grzechotała, podskakiwali obaj wśród okrzyków radości. Wreszcie ją nabyli i wyszli uszczęśliwieni. Ośluąpiły właściciel sklepu po chwili milczenia zwrócił się do mnie i zapytał bezradnie: »Jakże to będzie, proszę pani? Przecież to są oficerowie«”.

Rozpad wielonarodowych
imperiiów pełen
był mniejszych,
lokalnych końców świata.

Ludzie wyznający
ponadnarodowe tożsamości
**włóczyli się po nowym
świecie jak sieroty
po cesarstwach.**

W tysięcznym roku histeria związana z nadchodzącym rzekomo końcem świata była tak wielka, że papież Sylwester II w noworoczną noc wychodzić musiał do tłumów zgromadzonych w Rzymie. Udzielał błogosławieństwa przerażonym, zapewniając, że wszystko będzie w porządku. Nas nie ma kto o tym zapewnić. I pozostaje niepewność.

Francusko-niemiecki malarz romantyczny Théophile Schuler, dręczony pełnym obaw oczekiwaniem na kolejny z końców świata, namalował w połowie XIX w. alegoryczny obraz „Rydwan śmierci”. Rydwan jest ogromny, bo muszą się na nim zmieścić pędzące ku zagładzie alegorie wszystkiego właściwie, co jest na świecie znane. Jest więc tu papież, jest wojownik indiański, jest błazen, mędrzec, matka, malarz, poeta, słowem – zebrali się wszyscy. Koniec świata nie omija przecież nikogo.

Począwszy Schuler, obserwator francuskiej rewolucji lutowej 1848 r., w ramach której obalono we Francji zrestaurowanych po pokonaniu Napoleona Burbonów i wprowadzono ustrój republikański, bał się, że rewolucja doprowadzi do obalenia istniejącego na świecie ładu. A więc – końca świata takiego, jaki Schuler znał. TEOTWAWKI. Tym bardziej że rewolucja ta faktycznie miała swoje następstwa i doprowadziła do Wiosny Ludów, podczas której trzęsła się właściwie cała Europa.

Reform i praw zażądali Badeńczycy, berlińczycy, wiedeńczycy, Polacy w pruskim Wielkim Księstwie Poznańskim. Protestowano w Królestwie Obojga Sycylii, na Sardynii, w Rzymie, w austriackich wówczas Lombardii i Wenecji. Protestowali Węgrzy, w Galicji tworzone polskie struktury. Wiele z postulatów „wiosennych” rewolucji ludowych zgniotył wojska królów i cesarzy, ale sporo z tego zostało. W Prusach i Austrii uwłaszczono chłopów, etniczna tożsamość narodowa zaczęła przesączać się od elit do coraz niższych warstw społeczeństwa.

Czas sierot

Możemy się z Schulera podśmiewać, ale faktem jest, że Wiosna Ludów do jakiegoś końca świata przecież doprowadziła. Państwa narodowe zaczęły się przebić przez imperialne skorupy. Najpierw od Wyokiej Porty tureckiej oderwały się państwa bałkańskie. Po I wojnie światowej wolna już była cała Europa Środkowa. Czesi, Litwini i Łotysze na bieżąco rekonstruowali (a czasem wręcz konstruowali) swoją tożsamość narodową. Od państw i państwów zaroilo się jak pod ulem. Przerażony tym wszystkim był nawet Józef Conrad Korzeniowski, który, choć popierał niepodległość Polski jako narodu historycznego, to obawiał się całej tej narodowej



Théophile Schuler „Rydwany śmierci”, ok. 1850 r.

drobnicy, która musiała (i tak się w końcu stało) przenieść swoje etniczne tarcia z sąsiadami na poziom międzypaństwowy.

Dziś nadal uważamy, że wszystko się wtedy zmieniło na lepsze. Upadły imperia, narodziły się państwa narodowe, demokracja przebiła się do głównego nurtu i dziś jest systemem dominującym na całym świecie. Ale Schuler, gdyby mógł przewidzieć późniejsze dzieje, wcale nie musiałby się czuć uspokojony: z jego perspektywy chaotyczność rządów dzisiejszej demokracji musiałaby nosić znamie ochłokracji – rządów motłochu.

W końcu mało kto przejmuje się dziś duchem demokratycznych zasad. Wielu polityków, głównie populistycznych, robi wszystko, by je traktować instrumentalnie. Demokratyczne zabezpieczenia są po to, by je obchodzić albo – jak to się dzieje w wielu krajach nadal mieniących się demokratycznymi – najzwyczajniej w świecie ignorować. A z perspektywy Schulera, czasów oczywistych autorytetów i jasnych zasad, oznacza to, że coś tu już nie działa. I maszyna musi się zepsuć i stanąć. A jej operator, po prostu, odrzucić niepożądane już zasady. I wejść w erę chaosu.

Pamiętajmy: rozpad tych wielonarodowych imperiów pełen był mniejszych, lokalnych końców świata. Ludzie wyzna-

jący państwowe, ponadnarodowe tożsamości włączyli się po nowej międzynarodowej szachownicy jak sieroty po cesarstwach.

Godwin Karol Marian von Brumowsky, austro-węgierski as lotniczy urodzony w Wadowicach, zbombardował w czasie I wojny światowej rosyjską armię podczas przeglądu dokonywanego przez samego cara Mikołaja II. A po rozpadzie imperium błakał się jak cień pomiędzy rumuńską nagle Transylwanią a Wiedniem, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

Adam Dembicki von Wrocień, Polak z Sanoka, a jednak przede wszystkim austro-węgierski marszałek polny, po upadku państwa Habsburgów pozostał w niepodległej Polsce (choć w Galicji). Ale mimo że zmarł dopiero w 1933 r., to na grobie (imponującym, w kształcie piramidy) wypisano mu „Feldmarschall-Leutnant w służbie Cesarza Austrii i Króla Węgier Franciszka Józefa I-go” i zamieszczono jego zdjęcie w austriackim czaku. Remonty grobowca i naprawy uszkodzeń dokonanych przez wandalów pokrywał do niedawna rząd austriacki. „Przywykłem żyć w domu, nie w osobnych pokojach” – narzekali bohaterowie powieści nostalgizującego za austro-węgierską monarchią Josepha Rotha.

Śpiący rycerze

Tak, coś się skończyło. Nie wiadomo jeszcze do końca, co się z tego chaosu wyłoni, choć pewnie zręby nowego ładu przewidzieć się da już dziś. Ale na razie warto poprzedniemu światu zaśpiewać kołysankę. A właściwie wszystkim poprzednim światom. Poczynając, czemu nie, od świata osieroconego przez młodego cesarza Romulusa Augustulusa.

Jeśli chodzi o Augustulusa, to Valerio Massimo Manfredi w powieści „Ostatni legion” tworzy fikcję, w ramach której młody cesarz, po pozabawieniu go władzy przez Odoakra, dostaje się do Brytanii, gdzie trwać ma jeszcze tytułowy ostatni legion rzymski. Dorasta tam i od tej pory znamy go pod imieniem Uter Pendragon. A Uter Pendragon był ojcem legendarnego króla Artura – władcy broniącego celtyckiej Brytanii przed najeżdżającymi ją Sasami. Niosącymi jej koniec dotychczasowego świata. Po Sasach przyszli Normanowie, i świat znów się zmienił. A Artur, jak nasi tatrzańscy Śpiący Rycerze, miał wrócić, kiedy zaczną naprawdę sobie na za dużo pozwalać, i przegnać ich z powrotem na kontynent. Ale cóż: śpi do tej pory.

A co z tą kołysanką? Ano, śpiewał ją królowi Arturowi Przemysław Gintrowski do słów Jerzego Czecha:

„Noc nad brytyjską trwa krainą / Normański nastał tutaj rząd / Dzielnym Lancelot gdzieś zaginął / Nikt się nie kwapi, żeby ich wygnać stąd / Po co nam wojsko twe, Arturze / Któż teraz o wolności śni? / Komuś musimy przecież służyć / Ci Normanowie nie są wszak tacy źli...”

Szanowni Państwo, będzie inaczej. Być może gorzej. Ale być może nie będzie aż tak źle. Tego się trzymajmy. Bo czego innego możemy?

© ZIEMOWIT SZCZEREK

Autor jest reporterem i pisarzem. Ostatnio wydał „Wymyślone miasto Lwów” (Czarne 2022).

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: PIOTR MUCHARSKI
Zastępcy red. naczelnego:
EWELINA BURDA, MICHAŁ KUZIŃSKI
Redakcja:
www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca:
Tygodnik Powszechny sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji:
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl

Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl
promocja@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walsstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega sobie
prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść
ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy
publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów:
[www.tygodnikpowszechny.pl/](http://www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza)
nota-wydawnicza

S-NET
GRUPA TOŻA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

REKLAMA

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

CO TAK MRUGA?

Pochodzenie szybkich błysków radiowych, docierających do nas spoza naszej galaktyki, to jedna z największych zagadek astronomii. Ich badacze zastanawiają się, czy to nie świadectwo istnienia obcych cywilizacji.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI



MILION GWIAZD Z GŁOWY, ZOSTAŁO jeszcze 199,99 miliardów. Nowy, wielki przegląd nieba, dokonany przez poszukujących obcych cywilizacji astronomów programu SETI, nie przyniósł nam pierwszego kontaktu. Ale poszukiwania dopiero się rozkręcają, a przy ich okazji astronomowie wyjaśniają różne kosmiczne zagadki.

Astronomowie mają pewien problem, którego w zasadzie można im pozazdrościć. Mają zbyt wiele danych. Teleskopy, radioteleskopy, kosmiczne obserwatoria, detektory neutronów i fal grawitacyjnych – wszystkie produkują tak ogromne kartoteki sygnałów napływających do nas z kosmosu, że przekopanie się przez nie wszystkie, znalezienie najciekawszych obserwacji i powiązanie ich z innymi to tytaniczna praca. Dla pojedynczego astronoma – jak próba samodzielnego przekopania się przez zawartość Biblioteki Jagiellońskiej.

Oczywiście pomagają coraz bardziej złożone systemy do analizy danych, ale wciąż zbyt często ulotne, kosmiczne zjawiska zostają wypatrzone w danych poniewczasie, gdy już dawno przeszły w mroki historii. Zwłaszcza że niektóre z najciekawszych trwają milisekundy.

Poszukiwacze obcych cywilizacji, działający w ramach projektu SETI, postanowili coś z tym zrobić. Projekt COSMIC ma pozwalać na żywo filtrować sygnały przechwytywane przez jedno z największych urządzeń światowej astronomii – liczący dwadzieścia osiem 25-metrowych czasz radioteleskop VLA (znany np. z filmu „Kontakt”). I w czasie rzeczywistym alarmować o interesujących transmisjach. Dzięki temu można natychmiast reagować na potencjalne odkrycia.

Celem jest wyłapywanie w kosmicznym szumie tzw. technosygnatur. Sygnałów, które mają stanowić ślad wykorzystywania przez inną cywilizację zaawansowanych technologii.

Mamy już nawet pierwszy sukces. Zespół COSMIC był w stanie zidentyfikować sygnał bez wątpliwości pochodzący

z technologicznego źródła położonego o 24 mld kilometrów od nas. Ale szampan jeszcze poczeka w lodówce. Źródłem był wystrzelony w 1977 r. Voyager 1. „Wykrycie Voyagera 1 to ekscytująca demonstracja możliwości systemu COSMIC” – cieszył się astronom Jack Hickish.

Jak nas widzą

Nawet przy wsparciu nowego systemu poszukiwanie sygnałów od obcych cywilizacji będzie jednak mozolnym zadaniem. COSMIC jako swoisty pasażer na gapę analizował sygnały zbierane przez czasze VLA podczas realizowanego przez ten system teleskopów, niezwiązanego z kosmitami programu mapowania nieba nad północną półkulą. W ciągu roku przetrwał 950 tys. obserwacji. I choć wypatrzył kilka tysięcy potencjalnie interesujących sygnałów, żaden z nich nie przeszedł przez wszystkie etapy filtrowania.

Porażka? Zdaniem astronomów – wcale nie. COSMIC zdecydowanie przyspiesza proces analizy danych pochodzących z radioteleskopów, co sprawia, że poszukiwania mogą ruszyć z kopyta. Ale zasadniczy problem pozostaje ten sam: do przeszukania pozostało wciąż około 200 mld gwiazd tylko w naszej Drozdzie Mlecznej.

Na szczęście mamy coraz lepsze pojęcie, czego szukać. Kluczem są właśnie technosygnatury.

Pierwszymi, których poszukiwaliśmy, były sygnały radiowe. Albo nadawane celowo, albo, co bardziej prawdopodobne, stanowiące uboczne skutki działalności cywilizacji technicznej. Przykład? Radary wykorzystywane w lotnictwie czy meteorologii. Opublikowane w grudniu ubiegłego roku badanie astronomów z Uniwersytetu Kalifornijskiego Berkeley stwierdza, że dysponujący podobną do ziemskiej technologią obserwator powinien wypatrzyć nasze radary z odległości 12 tys. lat świetlnych. I *vice versa* – nasze teleskopy powinny zauważyć działalność wieży kontroli lotów obcej cywilizacji. A w promieniu 12 tys. lat świetlnych od nas jest około 30 mld gwiazd.

Radio to jednak tylko początek. Program SETI wykorzystuje też teleskopy optyczne do poszukiwania ewentualnych błysków laserów, a dzięki coraz doskonalszym technikom obserwacji planet pozasłonecznych – udało nam się bezpośrednio sfotografować już kilkadziesiąt

z nich – analizuje zmiany w składzie chemicznym obcych atmosfer, które mogą wskazywać na działalność inteligentnej cywilizacji.

Podsłuchiwanie radia

Opublikowane w grudniu badanie zespołu prowadzonego przez Davida Catlinga z Uniwersytetu Stanu Waszyngton wskazuje na przykład, że śladem działalności nieco bardziej zaawansowanej od nas cywilizacji byłaby zmiana w stosunku izotopów wodoru w wodach danego świata. Projektowane przez nas obecnie reaktory fuzyjne wykorzystują jako paliwo cięższą formę wodoru, czyli deuter. Cywilizacja polegająca na energii fuzji jądrowej mogłaby więc trwale zmienić stosunek deuteru do lżejszych izotopów w wodzie na danej planecie. A to bylibyśmy w stanie zmierzyć nawet długo po zniknięciu takiej cywilizacji.

Znakiem krzyczącym „tu ktoś mieszka” mogłaby być też obecność w atmosferze nietypowej ilości związków związanych z przemysłowymi zanieczyszczeniami, na przykład dwutlenku azotu. Planowany na lata 40. orbitalny teleskop Habitable Worlds Observatory (HWO – Obserwatorium Światów Nadających się do Zamieszkania) byłby w stanie takie zanieczyszczenia wypatrzyć.

„HWO pozwoliłby nam dostrzec takie emisje nawet 5,7 lat świetlnych od nas, czyli w odległości większej niż dzieląca nas od najbliższego sąsiada, Proxymy Centauri” – stwierdzają w artykule opublikowanym w „Astronomical Journal” kalifornijscy badacze. A jeszcze bliżej wizytówką cywilizacji mogłyby być światła miast, wyspy ciepła czy satelity. Cywilizację trudno schować. Ale trzeba wiedzieć, gdzie szukać.

Istnieją jednak zjawiska, które obserwujemy od przeszło 20 lat i które także mogłyby być technosygnaturami. Po wodem, dla którego nie są za takie powszechnie uznawane, jest to, że jeśli stanowią ślady działania innej cywilizacji, to musiałaby to być cywilizacja dysponująca technologią zdolną do kontrolowania całych systemów gwiazdnych.

Jak Gwiazda Śmierci

Pierwszej obserwacji dokonano przypadkowo. Na początku XXI w. brytyjsko-amerykański astrofizyk Duncan Lorimer szukał bardzo młodych pulsarów, które ➔

Zespół radioteleskopów ALMA położonych w górach w Chile. Pozwalają one na rejestrowanie nawet słabego promieniowania elektromagnetycznego, emitowanego przez chłodne obiekty kosmiczne, takie jak obłoki gazu i pyłu.

→ produkują rzadkie, nietypowe „superbłyski”. Skierował więc australijski radioteleskop Parkes na dwie małe galaktyki towarzyszące Drodze Mlecznej – Mały oraz Duży Obłok Magellana. Podobno już pierwszego dnia obserwacji, w zasadzie zanim teleskop skierował się na cel, zanotowano niezwykle mocny sygnał. Szybko okazało się jednak, że jego źródło nie leży w sąsiedztwie naszej galaktyki, lecz o wiele dalej. A sygnał, trwający 5 milisekund, był tak silny, że jego źródłem musiało być zjawisko, które w ciągu tego mgnienia oka wyzwoliło energię, jaką nasze Słońce zazwyczaj produkuje w ciągu kilku dni czy tygodnia.

Zjawisko, nazwane szybkim błyskiem radiowym (ang. *fast radio burst*, FRB), było tak tajemnicze, że ostatecznie badacze opublikowali swoją pracę dopiero sześć lat później. Ale ten i jemu podobne odkryte w kolejnych latach błyski stanowią dziś jedną z największych zagadek astronomii.

Co mogło wywołać taki impuls? Hipotez do dziś jest mnóstwo. Ale do dziś

wśród nich pozostaje także ta mówiąca, że te niezwykle jasne błyski, albo przynajmniej część z nich, mogą być swoistą wizytówką pozaziemskich cywilizacji.

– Jeżeli bardzo zaawansowane cywilizacje technologiczne są bardzo rzadkie w kosmosie, to jedyną możliwością manifestacji przez nie swojego istnienia nie jest komunikacja, tylko pozostawienie po sobie śladu w postaci procesów, które mogą być zauważone z dużych, kosmologicznych odległości, liczonych w setkach milionów czy miliardach lat świetlnych – opowiadał na kanale YouTube Copernicus Marcin Gawroński, radioastronom z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. – Pojawiły się publikacje czy spekulacje sugerujące, że FRB mogą być właśnie tego typu „świadectwami” istnienia zaawansowanych cywilizacji. Jednak pamiętajmy, że nauka koncentruje się na naturalnym wyjaśnieniu tego fenomenu i posiadamy już wiele istotnych wskazówek – mówił badacz.

Tyle że taka cywilizacja musiałaby być zdolna do okiełznania energii dla

nas zupełnie niepojętych. Podobnych do skutków działania Gwiazdy Śmierci z „Gwiezdných wojen” – czyli statku zdolnego do niszczenia całych planet.

Były szef obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu Harvarda Avi Loeb spekuluje zaś, że FRB mogą być sygnałem pochodzącym z międzygwiazdowej „autostrady”. Tzn. mogą być potężnymi promieniami emitowanymi przez obce cywilizacje w celu napędzania wyposażonych w żagle świetlne statków kosmicznych. Oczywiście, kiedy mowa o takich energiach, można wyobrazić sobie także bardziej destrukcyjne zastosowania.

Kosmici i gwiezdne wojny nie są, rzecz jasna, pierwszym wytłumaczeniem, po jakie sięgają astronomowie. Jest sporo kandydatów na naturalne zjawiska, mogące stać za produkującymi FRB kataklizmami.

Blitzary i magnetary

Jedną z pierwszych hipotez było to, że błyski FRB są produkowane przez



Rój Perseidów

Życie gwiazd

GDY ASTRONOMOWIE

odbierają niespodziewany sygnał z kosmosu, zwykle rozpoczynają od „standardowych podejrzanych”. Tymi zaś niemal zawsze są gwiazdy na którymś etapie swoich bujnych żywotów.

WIĘKSZOŚĆ GWIAZD

to podobne do Słońca, względnie niewielkie i spokojne „karły”. I tym zdarzają się jednak ekscesy. Pole magnetyczne wyciekające z gwiazdy lubi się

plątać, a w szczególnie zawężonych punktach uwalnia się spora energia: na tyle duża, że potrafi docierać do nas nie tylko ze Słońca, ale czasem nawet z odległych regionów naszej galaktyki.

NASZE SŁOŃCE

po kilku miliardach lat względnie spokojnie wygaśnie i pozostawi po sobie tak zwanego białego karła, jednak masywniejsze gwiazdy w końcowym etapie życia spektakularnie wybuchają. Takie eksplozje to supernowe – te zaś są tak jasne, że widzimy je już nawet z galaktyk innych niż nasza. Ponieważ szczegóły tego procesu nie są proste do zamodelowania, a natura nie lubi monotonii, nietypowe rozbłyski często kazały się zastanawiać astronomom, czy to aby nie nowa odmiana supernowej.

SAMO JĄDRO masywnej gwiazdy, gdy już ucichnie supernowa, staje się albo gwiazdą neutronową, albo czarną dziurą. Obydwa te obiekty mają potężną masę upchniętą w małej objętości, co oznacza, że potrafią brutalnie zakręcić materią, rozerwać na strzępy zwykłą gwiazdę i tak dalej: idealny pretekst do tworzenia scenariuszy kończących się wielkim „bum!”.

GWIAZDY NEUTRONOWE

mają ponadto potężne pola magnetyczne – te o szczególnie silnym to tzw. magnetary – te zaś, o czym była mowa wyżej, potrafią czasem uwolnić sporą porcję energii. Obiekty te lubią się ponadto szybko kręcić, co daje nam piękny scenariusz na wyjaśnienie szeregu rymstycznych po sobie następujących rozbłysków. Wystarczy sobie wyobrazić, że

na tylko jednej półkuli takiej gwiazdy coś rozbłysło: światło to będzie do nas naprzemiennie trafiało i nie trafiało.

JAKBY TEGO

było mało, astronomowie uwielbiają tworzyć scenariusze zupełnie hipotetyczne. „Blitzar” to gwiazda neutronowa, która nagle zamieniła się w czarną dziurę, ponieważ spowolniło się tempo jej obrotu (a tylko siła odśrodkowa powstrzymywała jej samobójczy kolaps). „Nowa kwarkowa” to podobny scenariusz, jednak gwiazda neutronowa zamienia się w nim nagle w hipotetyczną „gwiazdę kwarkową”. Lista potencjalnych wyjaśnień kosmicznych rozbłysków jest długa, stale rosnąca i programowo otwarta.

© P Ł K

niewielkie gwiazdy, tzw. czerwone karły, w procesie tzw. rekoneksji magnetycznej – w gwałtownym zjawisku, w którym zaburzenia pola magnetycznego gwiazdy powodują erupcje zjonizowanego gazu, obserwowane na Słońcu w postaci koronalnych wyrzutów masy. Hipoteza ta została jednak szybko obalona. Kolejnym kandydatem były tzw. mikrokwazary, czyli podwójne układy gwiazdne, w których jeden z partnerów to czarna dziura albo niezwykle masywna gwiazda neutronowa.

Wśród podejrzanych znalazły się także supernowe (eksplozje gwiazd) – za energetyczny, ale krótkotrwały impuls, rejestrowany przez nas jako FRB, miałyby odpowiadać kolaps jądra gwiazdy. A także tzw. blitzary, czyli gwiazdy neutronowe, które obracają się tak szybko, że mimo ogromnej masy nie zapadają się początkowo do czarnej dziury. FRB miały być też ostatnim „krzykiem” małych czarnych dziur, parujących i znikających przez miliardy lat wskutek emisji tzw. promieniowania Hawkinga.

Jest możliwe, że za różne typy szybkich błysków radiowych odpowiadają różne zjawiska, ale na razie nie można wykluczyć, że za tymi sygnałami stoi jakiś proces fizyczny, którego jeszcze po prostu nie znamy.

Najbardziej prawdopodobnym źródłem wielu FRB są jednak tzw. magnetary. Specyficzny rodzaj gwiazd neutronowych, które stanowią najsilniejsze magnesy we wszechświecie, około 10 tys. razy silniejsze niż nowo narodzone, zwyczajne gwiazdy neutronowe. Ich pole magnetyczne jest tak silne, że jest jednym z nielicznych znanych nam „magazynów energii”, gromadzących jej dostatecznie dużo, by w milisekundę wyprodukować szybki błysk radiowy.

Tu jednak znów pojawił się szereg zagadek. W 2022 r. międzynarodowy zespół, w skład którego wchodził dr Gawroński, odkrył błyski radiowe dochodzące ze zgrupowania gwiazd (tzw. gromady kulistej) położonego w pobliżu galaktyki M81. I tu pojawił się problem: gromada pełna była starych, zmęczonych życiem gwiazd, podczas gdy magnetary to raczej gwiazdne młodziki.

– Większość magnetarów powstaje podczas wybuchu klasycznej supernowej, czyli kolapsu grawitacyjnego młodej, bardzo masywnej gwiazdy. Teoretycznie nowy magnetar może się narodzić ze sta-

Źródłem szybkich błysków radiowych muszą być spektakularne zjawiska.

Ich emisja wiąże się z natychmiastowym uwolnieniem energii, jaką nasze Słońce produkuje przez kilka dni.

rej gwiazdy, a dokładnie z przekształcenia białego karła w gwiazdę neutronową na skutek „zjadania” towarzysza w ciasnym układzie podwójnym. Następuje to po przekroczeniu pewnej krytycznej masy białego karła, dla której istnieje stabilna struktura wewnętrzna. Teoria mówi, że takiej transformacji powinno towarzyszyć zjawisko supernowej – tłumaczy dr Gawroński.

I dodaje: – Jednak to wszystko nie jest takie proste. Według naszych obecnych teorii, potwierdzonych częściowo obserwacjami, magnetary są bardzo aktywne krótko po wybuchu supernowej, zaledwie przez kilkadziesiąt tysięcy lat, co jest czasem znikomym w skali kosmosu. Pozostałości po supernowych o takim wieku powinny być dla nas zauważalne, ale w tym momencie, mimo prób przy wykorzystaniu najlepszego dostępnego sprzętu, nic nie udało się zaobserwować.

Kosmiczne zagadki

Wyjaśnienie zagadki FRB nie jest łatwe także dlatego, że zjawiska te są niezwykle ulotne. Większość znanych błysków to zdarzenia jednorazowe (choć znane są też źródła powtarzalnych błysków) i najczęściej występujące na odległościach tak wielkich, że wytypowanie jednego, konkretnego obiektu, który za nie odpowiada, jest niezwykle trudne. Nie pomaga też to, jak krótkie są błyski – znajdują się na granicy tego, do wykrywania czego zdolne są nasze przyrządy. Nie ze względu na ich zbyt małą czułość, ale na ograniczenia narzucane przez... pamięci komputerów.

– Radioteleskopy produkują olbrzymie ilości danych, ale ogranicza nas pojemność dyskowa, możliwa prędkość zapisu

danych i tempo próbkowania samego sygnału. Lepiej jest zapisywać dane co milisekundę niż kilkaset razy szybciej, bo liniowo z prędkością spada zapotrzebowanie na pojemności dyskowe – tłumaczy dr Gawroński.

– Obecnie, w przypadku radioteleskopu toruńskiego, który jest używany przez moją grupę do badań, w standardowym trybie obserwacji produkujemy jeden terabit informacji w czasie około 90 minut. Docelowo sygnał zapisywany jest wtedy, gdy algorytmy poszukujące stwierdzą detekcję błysku dodatkowo potwierdzoną przez inspekcję manualną. Do czasu przeszukania danych jesteśmy zmuszeni trzymać całość na naszych dyskach, co utrudnia obserwacje i skraca życie dysków – dodaje.

Tu wracamy do poszukiwania Obcych. Bo systemy takie jak przetestowany właśnie COSMIC, pozwalające na żywo filtrować dane i wyszukiwać te najciekawsze, mogą być szansą także dla poszukiwań najbardziej tajemniczych, naturalnych zjawisk w kosmosie.

Same szybkie błyski radiowe, choć nadal są tajemnicze, dają szansę na wyjaśnienie innej zagadki kosmosu. W 2015 r. dzięki impulsom zarejestrowanym przez australijski radioteleskop udało się zważyć „zaginioną” materię barionową – klasyczną (a nie ciemną) materię, która w naszej galaktyce powinna być, ale której nie udało się wcześniej zaobserwować.

„Mając teraz również informację o odległości, z jakiej nadchodzi sygnał, możemy zmierzyć, jak gęsta jest materia między punktem, z którego pochodzi sygnał, a Ziemią, i porównać to z obecnym modelem rozmieszczenia materii we wszechświecie. Zasadniczo pozwala nam to zważyć wszechświat, a przynajmniej zwykłą materię, którą zawiera” – stwierdził współautor tej obserwacji, Simon Johnston z australijskiej agencji naukowej CSIRO.

A kto wie, może szukając szybkich błysków radiowych natrafimy też na inne tajemnicze sygnały. Takie, co do których nie będzie już wątpliwości, że ich źródło jest inteligentne. I nie jest nim wyprodukowana przez człowieka sonda, satelita albo generująca zakłócenia radiowe kuchenka mikrofalowa, używana w domu położonym kilometr od superczułego radioteleskopu.

©© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

SZKOŁA LATANIA

BARTOSZ „FISZ” WAGLEWSKI, MUZYK:

Wreszcie nagraliśmy optymistyczny utwór o tym, że jest „fajny dzień, łagodny jak maj” i ten dzień sprawia, że „czujesz, jakbyś się na nowo narodził”. Ale niełatwo dzisiaj opowiadać o rzeczach bezinteresownie przyjemnych.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Nie wierzę, że jesteś kiepskim kucharzem.

BARTOSZ „FISZ” WAGLEWSKI: Jestem niecierpliwy. Gotowanie bywa inspirujące, ale nie przepadam za zajęciami poprzedzającymi sam kluczowy proces – szykowaniem, obieraniem, krojeniem. Do tego biegające po kuchni dzieciaki, pies rozsypujący z woreczków kaszę gryczaną... Zwykle robię wokół siebie w kuchni niezły bałagan i ostatecznie nic nie leży na swoim miejscu. Zresztą, jak gotuję, to potem w ogóle nie ma już w domu miejsca na nic. I przypalam czosnek.

Ale ktoś to je?

Wciąż mam satysfakcję, jak coś mi się naprawdę uda, choć dzieci znużyły się większością propozycji z mojego menu, tymi wszystkimi makaronami, risottem, którymi ich karmię od czasu pandemii. Każde chce jeść coś innego: jedno mięso niechętnie, drugie mięso jak najbardziej, trzecie ma kilka swoich ulubionych dań i kropka.

„Niech płomienie wiją się pod patelnię jak ośmiornice, bo chcemy zapomnieć chociaż na chwilę o tym, że jesteśmy bezbronni, rzuceni w przestrzeń wojny” – w piosence „Śniadanie”, nagranej na nową płytę, starasz się trzymać codziennej rutyny. Pozwala zachować równowagę? Podczas gotowania telewizor jest wyłączony?

Telewizora nie mam, więc przede wszystkim komputer. Ta piosenka jest pytaniem o to, czy wyłączając ekran od-

najdujemy jeszcze w ogóle w życiu jakąś przyjemność. Czy poza algorytmami budującymi między nami podziały istnieje jakiś inny świat. Świat na zewnątrz. I czy on jest prawdziwy.

Jak Ty myślisz?

Mój syn ma teraz piętnaście lat i przeżywa to, co ja także przeżywałem w jego wieku, czyli odcina pepowinę, poszukując swojego miejsca. Tymczasem wszyscy jego starsi koledzy głosują na Konfederację. Córka spędza czas z zupełnie innej myślności ludźmi. A ja obserwuję, jak język, którymi posługują się oba ich obozy względem siebie, staje się coraz brutalniejszy. Do tego wszędzie na świecie zwyciężają nacjonalizmy, rośnie nieufność wobec nauki, racjonalnego podejścia do życia i świata.

Dużo krzyczymy – na siebie i do siebie.

Tak, dręczy mnie napuszenie śmiertelnie poważnych panów w garniturach oraz język, jakim posługujemy się w internecie. Żle się czuję w świecie, w którym każdy się unosi, oburza i uważa za mistrza świata. Drażni mnie to prężenie mięśni. Moralizatorstwo połączone z hipokryzją i cynizmem.

Chyba właśnie cynizm, obok nacjonalizmów, zwycięża dzisiaj w naszych wyborach. To nie jest dobry czas na ideały w polityce.

Jestem tego wszystkiego świadomy, a jednocześnie bardzo już tym zmęczony i nie mam pojęcia, co dalej, więc pytam

samego siebie, czy mogę sobie to, co sprawia, że czuję się bezbronny, na moment odpuścić.

Możesz?

Uczę się odpoczywać. Może to jest związane z wiekiem, ale nareszcie nie muszę się z nikim ścigać. Nie muszę też nikomu udowadniać, że coś przeżyłem i mam o tym coś ciekawego do powiedzenia. W takiej sytuacji łatwiej zamknąć komputer.

Czyli masz nareszcie święty spokój.

Jakby ktoś znieznacka wpadł do nas do domu i zobaczył tę rozsypaną po kątach kaszę gryczaną, z pewnością uznałby, że nie wypada mi mówić ani o wewnętrznym, ani o jakimkolwiek innym spokoju czy porządku.

A poważnie: wychowywałem się na Monty Pythonie, więc nie wyobrażam sobie życia bez zachowywania dystansu. Świat przemawia jednak do nas w coraz poważniejszych tonach. Szalenie łatwo jest kogoś urazić, ironia przestaje być czytelna. Tymczasem z lotu ptaka wszystko wygląda inaczej niż kiedy jesteśmy wędrującymi po ziemi, głęboko zanurzonymi w trawie mróweczkami.

→

BARTOSZ „FISZ” WAGLEWSKI (na zdjęciu z bratem Piotrem „Emade” Waglewskim) jest raperem, kompozytorem, wokalistą, instrumentalistą, autorem piosenek i producentem. Członek zespołów Tworzywo, Bassisters Orchestra oraz Kim Nowak.



→ **Czasem „dobry dzień tańczy jak psi ogon, wzywając do wyjścia”. I to powinno wystarczyć.**

Prawda? Wreszcie nagraliśmy optymistyczny utwór o tym, że jest „fajny dzień, łagodny jak maj” i ten dzień sprawia, że „czujesz, jakbyś się na nowo narodził”.

Natomiast oczywiście niełatwo dzisiaj opowiadać o rzeczach bezinteresownie przyjemnych i radosnych. Trudno się też nie denerwować sytuacją na świecie, kiedy dzieciaki dorastają i zadają swoje pytania. Sam się zastanawiam, jak one sobie w tej rzeczywistości poradzą.

My też mieliśmy problemy.

Na początku lat 90. byliśmy

„jak kamienie wystrzelone z procy”, „świadkami gwałtownych zmian”.

Tak, utwór „Niemoc”, który cytujesz, opowiada między innymi o tym, jak wtedy traciłem dobrych kolegów. O tym czarnym czasie, kiedy w ursynowskich blokach pojawiła się heroina. O alkoholizmie w mieszkaniach na naszych osiedlach, przemocy domowej i radzieckich żołnierzach opuszczających Polskę.

Ale ten dzisiejszy lęk, o którym przed chwilą powiedziałem, wynika z czegoś innego. Kiedy na świat przychodziły moje dzieci, wydawało się, choć była to pewna naiwność, że oto otwiera się wreszcie przed nami era długotrwałego pokoju, wolności – bez cenzury, za to z poszanowaniem drugiego człowieka. Byłem przekonany, że nasze dzieci będą miały łatwiejszy dostęp do wiedzy niż my, że będą z tego korzystały pełną parą. I że będą miały możliwość podróżowania, której nie mieli ich dziadkowie.

Uwierzyłeś w koniec historii.

To był efekt fascynacji Stanami Zjednoczonymi. Zresztą takie myśli u dzieciaka wychowanego w Polsce w latach 80. były nieuniknione, bo to, co się działo wtedy w amerykańskiej kulturze, było dla nas bardzo inspirujące, formujące. To stamtąd wziął się przecież cały nasz hip-hop. Wydawało się, że mamy świat na wyciągnięcie ręki. Dzisiaj wiem, że idealizowaliśmy to wszystko ogromnie.

Obchodzicie z Twoim bratem, Piotrkim, dwudziestopięćlecie wspólnego grania. Płyta „25”, która właśnie się ukazała, to między

innymi opowieść o czasach ideałów i idealizacji. Ale to też Wasza bardzo prywatna historia.

Grzebałiśmy ostatnio w starych VHS-ach, bo zacząłem się zastanawiać, czy trzeba to wszystko wyrzucić, czy może warto przegrać kilka rzeczy, zachować, zapisać w formie cyfrowej. I znalazłem wiele nagrań z naszych pierwszych koncertów, na przykład w warszawskim Remoncie. Piotrek miał pewnie kilkanaście lat, siedząc za bębnami. Ja jestem od niego trzy lata starszy, choć wówczas wydawałem się sobie dorosły, próbowałem pierwszych papierosów. Trzy lata różnicy wieku, dziś bez znaczenia, wówczas było kosmosem.

Ale wiesz, co w tym wszystkim było tak naprawdę niesamowitego? Zobaczyłem, że my w tym Remoncie w ogóle nie czuliśmy tremy. Byliśmy bardzo pewni tego, co robimy, muzyka była naszym naturalnym sposobem komunikacji.

Kiedy poczułeś, że stajecie się popularni?

Dzisiaj wiesz wszystko od razu – która twoja piosenka najbardziej się ludziom podoba, ile razy jej wysłuchano, a nawet kto i gdzie jej słuchał oraz w jakim wieku są ci twoi słuchacze. A wtedy wydawało się płytę i pojawiały się ewentualnie jakieś recenzje prasowe, ale tak naprawdę wszystko, co wiedzieliśmy o naszej twórczości, wynikało ze spotkania z ludźmi na koncercie. „Przyjdą czy nie przyjdą” – to było być albo nie być dla zespołu. Liczba sprzedanych biletów decydowała o popularności. Stąd wytwórnia wiedziała na przykład, że jest jakieś zainteresowanie grupą i może trzeba dodrukować płyty.

I ta popularność przyszła zaraz po „Polepionych dźwiękach”?

Tę pierwszą płytę nagrywaliśmy w mieszkaniu, częściowo u nas, częściowo u naszego kolegi DJ Ośki. Do wytwórni Asphalt Records, dziś już nieistniejącej, zaprosił nas jej założyciel, Marcin „Tytus” Grabski. On też zainwestował w pierwszy mikrofon dla nas. Był dość apodyktyczny, ale bardzo związany ze swoimi artystami.

Pamiętam pierwszy koncert zaraz po wydaniu tej płyty, tutaj, w Warszawie, w klubie Piekarnia przy Młocińskiej. Byliśmy przyzwyczajeni, że Piotrek jest po prostu DJ-em, miksuje różne rzeczy, później ja wychodzę i dajemy półgodzinny

wspólny występ. Tymczasem do tej Piekarni przyszło mnóstwo ludzi, klub był wypchany po brzegi. Przygotowaliśmy coś na kształt imprezy, a ludzie oczekiwali konkretnego koncertu. Naprawdę uczyliśmy się od podstaw, jak występować. Na własnych błędach.

Dobrze to wspominasz?

Chętnie do tego wracam i chętnie o tym mówię, bo byliśmy tylko szczeniakiem, braterskim duetem z gramofonami, a chcieliśmy, żeby nasz rap był punktem wyjścia do czegoś więcej. No więc te pierwsze lata to była nauka latania, poszukiwanie sposobu, żeby mieć swoją oryginalną opowieść muzyczną – to dlatego na okładce nowej płyty znalazły się ptaki.

Jak się nauczyłeś walczyć z tremą, która się wkrótce pojawiła?

Jak zacząłem pisać teksty i trzeba je było wszystkie zapamiętać na koncert, szybko okazało się, że całe to występowanie na scenie nie jest takie łatwe. A kiedy mieliśmy skład koncertowy, nie wszystkie sale były dobrze przystosowane akustycznie. Dzisiaj to się zmienia.

Który moment jest najgorszy?

Ten tuż przed wyjściem na scenę, a na dużych festiwalach – dziesięć minut przed samym koncertem. Zdecydowanie nie wolę małe kluby albo filharmonie, domy kultury. Ale już podczas wyjścia do publiczności dochodzi do jakiejś przemiany. To jest zresztą coś niesamowitego, poczucie takiej mocy: kiedy masz za sobą zespół, to jakby mieć całą armię.

Zawsze kiedy trzeba było się zgłosić na jakiś apel albo zagrać coś w szkolnym teatryku, to się chowałem, żeby przypadkiem nie padło na mnie. Nie lubiłem publicznych występów. Wyobrażałem sobie, że zostanę malarzem albo grafikiem i będę stał samotnie w pracy przed sztalugą.

Przeszło Ci?

W końcu zrozumiałem, że jest jakieś przełożenie między tymi zajęciami, że jedno z drugim jakoś się łączy, chociaż występowanie na scenie daje dużo energii, której zawsze potrzebowałem. Pomaga też przeświadczenie, które miałem bardzo wcześnie, że to, co robię, jest dla mnie istotne, że wiem, o czym opowiadam i dla kogo. Poczucie, że jestem przy-

Szef kuchni poleca: Fisz w kilku smakach



■ POLEPIONE DŹWIĘKI, 2000 r.

„Wreszcie na naszej scenie hiphopowej znalazł się ktoś, kto ma o czym opowiadać i robi to w inteligentny, dowcipny, szczery i dojrzały sposób” – pisała „Machina”. Debiutancki album spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem słuchaczy i krytyków. Zapewne dlatego, że „Fisz” poruszał zupełnie inne tematy niż jego koledzy, częściej nawiązał o emocjach, rozmowach, miłości – redefiniując gatunek i ośmielając do pisanie kolejnych artystów, takich jak Taco Hemingway.



■ HEAVI METAL, 2008 r.

Lubię ten album za jego niespodzianki i eksperymenty oraz balans pomiędzy nostalgią a humorem, często autoironicznym. Krytycy zwracali uwagę na sample znanych artystów, takich jak Iron Maiden czy Nina Simone. Ale na tej płycie „Fisz” pojawia się także jako mistrz „sztuki kulinarnej dźwięków i słów”, wyznając, że „nie tonąc w toksynach pożera karczochy, awokado, szpinak”.



■ 25, 2025 r.

Opowieść o pierwszych zespołach i występach, braterskiej relacji, upływającym czasie, docenianiu drobnych gestów i rutyny. W związku z rocznicą premiery pierwszego albumu na płycie znalazły się stylistyczne odniesienia do „Polepionych dźwięków” (szukajcie ich w utworach takich jak „Sedno”, „Śniadanie” czy „Sptywacz”). © © MOCH

gotowany i konsekwentny w tym, co chce robić na scenie. A jeżeli widzisz klub wypełniony ludźmi, którzy przyszli tylko dla ciebie, na twój koncert, to jest to jednak bardzo motywujące.

A są momenty zwątpienia?

Ostatni raz poczułem coś takiego na festiwalu w Jarocinie. Przed nami Lech Janerka grał materiał Klausa Mitffocha. Tych płyt nasłuchiwałem się w dzieciństwie, do dzisiaj bardzo je lubię. I wtedy, w tym Jarocinie, Janerka był w świetnej formie. Słuchając go, zadawałem sobie pytanie, co my na tym rockowym festiwalu robimy, czy my tu pasujemy, co to będzie. Poczułem niepewność. Wiesz, my z rockiem mamy mało wspólnego, jak i z całą legendą jarocińską.

Janerka był Twoim idolem?

Jako dzieciak słuchałem bardzo dużo różnej muzyki, ale nigdy nie miałem idoli. Może dlatego, że mam ojca muzyka? Nie znosiłem tych grup modlitewnych pod wezwaniem gwiazd muzyki pop, stojących godzinami w kolejce do swego idola. Traktowanie ludzi występujących na sce-

nie jak kosmitów jest śmieszne. Weźmy Beastie Boys – to nigdy nie byli gwiazdorzami, a grupa świetnych, twórczych ludzi pełnych dystansu do siebie i świata. Byłem fanem różnych gatunków, różnych muzyków i ich umiejętności, ale nigdy nie byłem w niczym fanklubie. Przeciwnie, bardzo często się rozczarowywałem. Szczególnie po lekturze wywiadów z muzykami!

Tylko muzyka? Bez biograficznych kontekstów?

Nie, biografii i rozmów czytałem bardzo dużo, wycinałem sobie nawet teksty z magazynów muzycznych. Było w nich coś budującego, chyba poprzez fakt, że część z tych osób miała podobnie do mnie, tzn. bywali nieśmiali, a przełamywali to dopiero wychodząc na scenę. Przed publicznością odkrywali siebie na nowo, czasem ze zdziwieniem, bo nie wiedzieli w ogóle, że tak potrafią.

Widziałeś nowy film o Bobie Dylanie?

Jeszcze nie, a dobry? Zanim odpowiesz, muszę ci powiedzieć, że Bob Dylan jest dla mnie bardzo ciekawą postacią, to był

też ważny artysta dla pokolenia mojego ojca. Kiedyś, kiedy mieliśmy robić wspólnie z ojcem audycję muzyczną, to była postać, która nasze wybory połączyła.

Dlaczego?

Zawsze fascynowała mnie ta historia, wiesz, kiedy on niespodziewanie dla wszystkich przeszedł na gitarę elektryczną, a ludzie go po prostu wygwizdali, byli na niego za tę zmianę obrażeni. Bardzo mi się to spodobało. Dzisiaj robi się tak wiele rzeczy pod publiczność, a nie o to przecież chodzi w muzykowaniu.

Punktem kulminacyjnym filmu jest właśnie ten moment. Wspominam o nim, bo Dylan podaje ciekawą definicję tego, co tak naprawdę stwarza artystę na scenie.

Byłam ciekawa, jak Ty o tym myślisz.

Są takie postacie w historii, także mojego pokolenia, które wygrały tym, że były bardzo autentyczne, chociaż nie wszystkim się to podobało. Artyści, którzy nie szli na żadne kompromisy. Artyści, którzy robili to, co uważali za istotne, i nie starali się kupować publiczności za wszelką cenę.

Patrz, mieliśmy jakieś wyobrażenie na temat tego, czym jest punk rock, a tymczasem pojawiali się ludzie, którzy otwierali te drzwi jeszcze szerzej. Właśnie dlatego pojawił się w tej opowieści Lech Janerka, on też jest takim artystą.

A Ty i Piotrek, idziecie pod prąd?

Jak rozpoczynaliśmy naszą przygodę z „Polepionymi dźwiękami”, to rap dla starszego pokolenia był czymś niestrawnym. Muzyka, którą tworzyliśmy, była uważana wręcz za antymuzykę, za deprawację muzyki popularnej. Byliśmy zaprzeczeniem muzyki rockowej.

Kiedy to się zmieniło?

Jak powstała Radiostacja. Wtedy była to jedyna stacja radiowa, która grała muzykę istotną dla mojego pokolenia. Utwory „Czerwona sukienka” i „Polepiony” znajdowały się na listach przebojów tylko tam. Ścigaliśmy się wtedy o pierwsze miejsca z Kalibrem i Warszawskim Deszczem. A odpowiadając na twoje pytanie: nie wiem, czy nadal idziemy pod prąd, ale niezmiennie jesteśmy sobą. I jesteśmy ze sobą.

© © Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

Nowy układ warszawski w teatrze

DARIUSZ KOSIŃSKI

Zmiany na stanowiskach dyrektorskich w ważnych warszawskich teatrach potwierdzają, że rewolucja się wyczerpała. Co było, wróciło. Znowu mamy dramat.

ZAKOŃCZONY ZALEDWIE DWA TYGODNIE temu konkurs na dyrektora Teatru Narodowego zwieńczył długi cykl dyrektorskich zmian w Warszawie. Wprawdzie nie podjęto jeszcze decyzji w sprawie Nowego Teatru, którego zespół poprosił władze miasta, by w miejsce Karoliny Ochab mianowały dyrektorem Michała Merczyńskiego, ale ta zmiana ma inny charakter, bo Nowy Teatr i tak pozostanie przede wszystkim autorską sceną Krzysztofa Warlikowskiego. Natomiast zmiany wcześniejsze, począwszy od TR Warszawa (od 1 września 2023 r. jego dyrektorką jest Anna Rochowska, która zastąpiła Grzegorza Jarzyne), przez teatry Współczesny i Dramatyczny, aż po Powszechny i Narodowy, składają się na całą serię wydarzeń wytwarzających zupełnie nową sytuację w życiu teatralnym stolicy – nowy układ warszawski, który oddziałuje na sytuację w całym kraju.

Kłata, Kleczewska i Grecy

Zacznijmy od końca, bo koniec wieńczy dzieło. Mianowanie Mai Kleczewskiej na stanowisko dyrektorki Teatru Powszechnego i Jana Klaty na dyrektora Teatru Narodowego to (na najbardziej oczywistym poziomie) dowód uznania dla dorobku i pozycji równieśnych sobie artystów (rocznik 1973), długo uznawanych za protagonistów teatru prowokacyjnego, skandalizującego, antytradycyjnego i co tam jeszcze. I Kleczewska, i Kłata od dawna reżyserują na scenach nobliwych instytucji,

uczą w akademiach teatralnych, mają na swoim koncie całe pęki nagród. Ale i tak dla pewnej części środowiska i publiczności są przedstawicielami mitycznego teatru „progresywnego” (używam tego dwuczynnego słowa wyłącznie jako cytatu), a nominacje, które otrzymali, uważane są za dowód na jakąś rewolucję teatralną.

Spieszę uspokoić wszystkich wystraszonych i przejętych rzekomym najazdem barbarzyńców. Wystarczy przeczytać programowe deklaracje obojga i pomyśleć chwilę bez uprzedzenia o tym, co robili ostatnio, by zobaczyć, że proponują absolutnie spójny z tradycją projekt teatru dramatycznego. Jan Kłata w swojej programowej aplikacji określa go jasno i precyzyjnie: „oparty na wielkiej literaturze, z niej się wywodzący, ale autonomiczny jako sceniczna poezja, nie ilustracja tekstu”. Jak sądzę, pod tym programem podpisałaby się bez wahań także Maja Kleczewska, która wprawdzie nazwała swój program „Teatr przyszłości / Teatr otwarty”, ale też proponuje przedstawienia oparte na interpretacjach dzieł literackich obdarzonych znacznym autorytetem, co się zowie markowych. Ta oferta pozostaje przy tym w zgodzie z tym, co oboje nowi dyrektorstwo wystawiali ostatnio: Platon, Szekspir, Mickiewicz i Wyspiański, z czasów zaś bliższych współczesności – Orwell, Iwaszkiewicz i Hauptmann. Klasyka klasyki.

Kłatę i Kleczewską, przy wszystkich różnicach osobowości i stylów, łączy rozumienie teatru dramatycznego jako na-

pędzanego relacją „przeszłość – współczesność”, „to, co było – to, co jest”. Odpowiadając na groźbę formułowaną przy pomocy cytatu z Wyspiańskiego („To, co było – może przyjść”), Kłata pisze: „Jesteśmy częścią kultury śródziemnomorskiej oraz transatlantyckiej i przypominanie tego Zachodowi oraz manifestowanie tego Wschodowi jest polską racją stanu”. Wobec tego „musimy się odnajdywać w Homerze, Szekspirze, Moliere i Goethem”. Nie wiem, czy Kleczewska zgodziłaby się z tym akurat zestawem nazwisk, ale z pewnością i jej bliskie jest rozumienie teatru dramatycznego jako dziedziny swojej podwójnej rewizji. Jej zasadę sformułowałbym tak: scenariusze o modelowym, wręcz mitycznym czy archetypowym zakresie, powstałe w określonym kontekście historycznym i kulturowym są wykorzystywane jako materiał do pracy, która odkrywa w nich nowe pokłady znaczeń i wartości, a jednocześnie aplikuje je współczesności i wyobrażeniom o przeszłości jako rodzaj krytycznego testu.

To nie żadne „uwspółcześnianie” czy „przepisywanie”. To wręcz najstarsza wersja teatru dramatycznego Europy, na której zasadał się wszak teatr starożytnych Greków (do którego zresztą Kleczewska i Kłata chętnie i często się odnoszą). Współczesny repertuarowy teatr dramatyczny tworzy dla takiej praktyki warunki o tyle szczęśliwsze, że zestaw mitycznych scenariuszy nie jest zamknięty, a jego bogactwo i różnorodność dają twór-





ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Maja Kleczewska podczas próby medialnej spektaklu „Bachantki” w Teatrze Powszechnym. Warszawa, 4 grudnia 2018 r.

com ogromną swobodę, także w obszarze weryfikacji samego kanonu (sporo pisze o tym w swoim programie Kłata).

Tak rozumiany teatr dramatyczny opiera się na relacji między mitem, klasyką, kanonem z właściwymi im autorytetami i mocą, a tworzoną tu i teraz realizacją, proponującą autorskie i współczesne interpretacje. Co ważne, rozpoznawanie sensów i wartości stąd wynikających wymaga przynajmniej podstawowej wiedzy o materiale źródłowym oraz otwartości na operację na nim wykonywane.

Taki teatr dramatyczny odtwarza środowisko, które w Polsce zwykło się nazywać inteligencją. Odtwarza więc nie tylko sam siebie, ale i warunki społeczne umożliwiające jego egzystencję.

Co zostało po Monice Strzępce

Zasadniczą dla teatru dramatycznego relację między trwałym modelem zapisanym w tekście a jego nieuchronnie zmienną sceniczną aktualizacją bez trudu odnaleźć można też w programach i deklaracjach nowych dyrekcji teatrów Dramatycznego i Współczesnego. W przypadku pierwszego huczna a żałosna klęska programu Moniki Strzępki wymusiła korektę kursu. Miasto nie zdecydowało się jednak na powrót do modelu w pełni zgodnego z nazwą, lecz w trybie dość awaryjnym ściągnęło z Bydgoszczy duet twórczy Wojciech Faruga – Julia Holewińska, zdecydowanie bliższy dramaturgicznym formułom praktyk te-

atralnych, których sedno polega na wytworzeniu bezpośrednich reakcji na zjawiska współczesne, często przy odwołaniu do ważnych rozpoznawń najnowszej humanistyki i nauk społecznych.

Co jednak znamienne, swój teatr dramaturgiczny Faruga i Holewińska rozwijały głównie w Bydgoszczy. W Warszawie są raczej znani z typowo dramatycznych inscenizacji w Teatrze Narodowym. Ich ostatnia praca na tej scenie – mocno a niesprawiedliwie odsądzony od czci i sensu „Faust” Goethego, był wręcz modelowym przykładem teatru dramatycznego, o jakim pisałem wyżej. W wywiadzie dla „dwutygodnika” Wojciech Faruga złożył wprawdzie deklarację brzmiącą jak negacja programu Kleczewskiej i Kłaty: „Mam wrażenie, że w teatrze bardzo dużo pracowaliśmy już z ważnymi tekstami kultury, ważnymi powieściami, ważnymi scenariuszami filmowymi. Już zdekonstruowaliśmy wiele rzeczy”. Zaraz jednak dodał, że chciałby „szukać nowych tekstów i nowych języków w dramacie”.

Tego typu problemów zupełnie brak w przypadku Teatru Współczesnego, którego nowy dyrektor, Wojciech Malajkat proponuje teatr literacko-aktorski z repertuarem budowanym na tekstach stosujących zmodernizowane wprawdzie, ale łatwo rozpoznawalne konwencje i środki sztuki dobrze skrojonej. Jego deklaracje programowe nie pozostawiają co do tego wątpliwości: „Chcę budować repertuar wokół dobrej literatury, bo tylko ona (...) ma szansę odnosić się do problemów, konfliktów i wyzwań, jakie niesie ze sobą czas bieżący, a które są – jak się przekonujemy – uniwersalne”. Podkreślę powtarzając: tylko literatura (więc teatr jako taki nie) ma szansę odnosić się do konfliktów i wyzwań czasu bieżącego. Zaprawdę – zaskakujące *credo* jak na dawnego aktora Jerzego Grzegorzewskiego i wieloletniego rektora Akademii Teatralnej!

A jednak takie deklaracje nikogo zdają się nie dziwić i nie zastanawiać. Znajdują też pełną akceptację władz stolicy. Wiceprezydentka Aldona Machnowska-Góra w niedawnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” powiedziała, że Maja Kleczewska wygrała konkurs w Powszechnym, bo „przygotowała program oparty na kla-

sycznych dramatach oraz ich reinterpretacjach”, a „to jest formuła, której brakuje w Warszawie”.

Oznacza to, że ów brak jest realnie odczuwany, choć diagnoza postawiona przez panią wiceprezydent to oczywista nieprawda, przeciwko której powinni natychmiast zaprotestować dyrektorzy warszawskich teatrów Polskiego, Ateneum, Klasyki Polskiej, a nawet Komedii (tu przystań znalazł zaskakująco wypchnięty z większych scen dramatycznych Michał Zadara). A jednak znajduje ona poparcie znacznej części publiczności, co ujawniło się szczególnie w trakcie zawirowań wokół dyrekcji Moniki Strzępki. Jej upadek z pewnością przyczynił się do umocnienia atmosfery, w której mimo faktycznej dominacji scen dramatycznych odczuwa się brak teatru „opartego na klasycznych dramatach i ich inscenizacjach”.

W najbliższych latach będziemy się mogli przekonać, czy to poczucie ma realne skutki i czy sceny proponujące zaspokojenie owego braku zrealizują swój program. W każdym razie trudno wątpić, że w stolicy, która od lat wyznacza dominujące trendy teatralne, po dekadach deklarowanej rewolucji i panowania „nowego”, nadszedł czas restauracji repertuarowego teatru dramatycznego. Wygnany władca powrócił na tron.

Stolica jest dramatyczna

Mamy właśnie do czynienia z zakończeniem procesu, który u swoich początków, ponad ćwierć już wieku temu, wydał się przewrotem, radykalną zmianą, trwałym odejściem od tradycji repertuarowych scen dramatycznych. Dziś wiadać, że był to raczej okres koniecznej rekonstrukcji i rewitalizacji systemu, który dzięki kolejnym pokoleniom nowych twórczyń i twórców przejął i wchłoniął cały niemal zasób strategii, taktyk, tematów, znaków i repertuarów, tworzonych od początku XX wieku przez to, co określało się jako awangarda i alternatywa, a budowało swoją pozycję na radykalnej opozycji wobec „teatru istniejącego”.

Systemowy elektroluks teatralny wessał i przetworzył na swój własny sposób i pożytek niemal wszystkie „rewolucje sceniczne XX wieku”, łącznie z najbardziej autorskimi, jak te Tadeusza Kantora i Jerzego Grotowskiego. Zrobił to jednak nie po to, by się radykalnie zmieniać, lecz by odnowić i wzbogacić swoje zasoby, →

→ a następnie wykorzystać je do skutecznej restauracji teatru dramatycznego. Ten proces można śledzić w twórczości najciekawszych twórczyń i twórców ostatnich dekad, poczynawszy od Lupy i Warlikowskiego. Oczywiście znaleźć go też można w teatrach Kleczewskiej i Klaty, a prestiżowe nominacje dyrektorskie dla obojga znaczą tyle, że zyskał oficjalną akceptację.

Rodzi się wobec tego pytanie, co z całym ruchem nazywanym – niekoniecznie precyzyjnie – teatrem postdramatycznym, performatywnym, autoteatrem czy postteatrem, którego istnienie i rozwój także ja rozpoznawałem jako zjawisko rosnące w siłę, a odmienne od teatru dramatycznego? Co z Warszawą jako wyłaniającym się w pierwszych dekadach XX wieku centrum takich praktyk, które nie opierają się na relacji „przeszłość – teraźniejszość” i hasłach w stylu „rewizja i pamięć”, ale starają się zmieniać współczesność przy pomocy tworzonych i sprawdzanych na bieżąco procesów performatywnych?

Odpowiedź idąca ze stolicy jest prosta: odchodzi tam, skąd przyszedł – na margines, poza centrum, poza mainstream. Wprawdzie w stolicy wciąż działają i mają mocną pozycję sceny z nim kojarzone – teatry Nowy, TR i Studio, a także jego szczególny ośrodek, Komuna Warszawa, ale obserwując ich działalność w ostatnich latach, bez trudu zauważyć można wymuszone ograniczanie aktywności, blaknącą w swej atrakcyjności niszowość oraz oznaki zwrotu ku bardziej tradycyjnej dramatyczności. Możliwe, że proponowana przez zespół zmiana na stanowisku dyrektorskim Nowego da tej wiodącej niegdyś scenie nowy (*nomen omen*) impuls, ale w tej chwili to, co kiedyś było kołem zamachowym i wibrują-

W nowym układzie teatralnym brak w Warszawie stałej sceny dla twórców pracujących performatywnie.

Co jeszcze dziwniejsze,
w tym nowym układzie
nie widać miejsca nawet
dla Krystiana Lupy.

cym ośrodkiem kreatywności, stało się klubem względnie zadowolonych z życia przedstawicieli klasy średniej.

W nowym układzie warszawskim brak stałej sceny, która deklarowałaby się jako przeznaczona dla osób konsekwentnie pracujących raczej z performatywnością niż z teatralnością. To paradoks, bo są to w znacznej części artystki i artyści związani z Warszawą, tacy jak opisywani już na tych łamach Wojtek Ziemilski, Weronika Szczawińska, Agnieszka Jakimiak i Mateusz Atman czy Anna Karasińska. Co jeszcze dziwniejsze, w tym nowym układzie warszawskim nie widać miejsca nawet dla Krystiana Lupy.

Wymienieni mają poważne problemy ze znalezieniem tu miejsc do pracy. Podejmują ją częściej daleko od stolicy (szczególną przystanią stał się dla nich w ostatnich sezonach Teatr Jaracza w Olsztynie pod dyktando Pawła Dobrowolskiego), ale nie mają możliwości stałego i choćby względnie spokojnego rozwijania swoich poszukiwań. Nie znam dyrektorskiej propozycji programowej, która bazowałaby

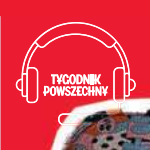
właśnie na nich. Nawet jeśli czasem ktoś z nich pojawi się w jakiejś aplikacji, to funkcjonuje tam na zasadzie kwiatka u kożucha.

Pół wieku temu eksperymenty teatralne i parateatralne ekscytowały swoją nowością i składanymi przez nie obietnicami odmienionej przyszłości. Dzisiejsi alternatywni nie mają wsparcia liczących się grup publiczności i będą musieli dopiero o nie powalczyć, co wymagać będzie siły i cierpliwości, oraz przynajmniej tymczasowych schronień. W Warszawie może służyć im jako takie Muzeum Sztuki Nowoczesnej, już rozwijające własny program performatywny. Tyle tylko, że wejście w jego biały kub też oznaczać będzie powrót do punktu wyjścia, czyli do koncepcji *performance art* jako części sztuk wizualnych.

Możliwe, że lepsze perspektywy rysują się przed twórcami przedstawień niedramatycznych poza Warszawą. Szczególną rolę odegrać tu może Narodowy Stary Teatr w Krakowie pod też nową dyktando Doroty Ignatiew i Jakuba Skrzywanka. Ale na odpowiedź, czy tak się rzeczywiście stanie, musimy jeszcze chwilę poczekać.

Rok temu wydałem książkę zatytułowaną „Teatr, który nadchodzi”. Jej ostatnia część poświęcona była zjawiskom należącym do tych „postteatralnych”. Na szczęście jej tytuł „Będzie” opatrzyłem wyrażającym niepewność pytańikiem, a „nadchodzenie” definiowałem jako proces paradoksalnie stały, a nie zmianę polegającą na całkowitym zastąpieniu i wyparciu tego, co było. Ale i tak niedługo po wydaniu książki jej tytuł stać się może przedmiotem żartów, proponujących jego przemianowanie na „Teatr, który odchodzi”. Zaiste: „to, co było – może przyjść”. © DARIUSZ KOSIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY




Nowy cykl Podkastu Tygodnika Powszechnego:

CIEKAWÉ, CO CZYTA

Nasi idole i ulubieńcy. Aktorki i aktorzy, muzycy, sportowcy, piosenkarki i piosenkarze. Jakie książki czytają przed snem, co ostatnio ściągnęli na swój czytnik, który tytuł ich zachwycił?

Posłuchaj rozmowy Moniki Ochędowskiej
z **VOGULE POLAND**





ANDREY POPOV / SHUTTERSTOCK

Pirat jest w nas

MICHAŁ WALKIEWICZ

Amerykanie tracą rocznie około 30 mld dolarów oraz 200 tys. miejsc pracy za sprawą piractwa. W Polsce ta strata wynosi około 7 mld złotych. Znowu kradniemy?

PIRAT? TO FACET Z ŁOMEM I KAPTUREM nasuniętym na czoło, który kradnie twoje auto. To dobrze ubrany młody mężczyzna, która gwizdnął twoją torbkę. Pamiętacie jeszcze tę antypiracką kampanię, w której zestresowana porównaniami do tych zbójów dziewczyna wyłączyła torrenty, przerywała ściąganie z sieci plików z filmami i włączyła myślenie? Los dopisał puentę: ilustrujący tę reklamę, zachęcający nas do porzucenia złodziejskich praktyk utwór został wykorzystany bez zgody kompozytora.

Ponieważ za klipem stały połączone sztaby FACT (amerykańskiej federacji antypirackiej) oraz MPA (amerykańskiego stowarzyszenia filmowców), jego morał jest zazwyczaj mylnie rozumiany. To nie opowieść o hipokryzji czy instytucjonalnej bezradności wobec późnego kapitalizmu, tylko o grze pomiędzy rządem, podmiotami dostarczającymi treści i nami, użytkownikami. Dziś, gdy pirac-

two znów rośnie w siłę, ta historia uzmysławia, że podstawą edukacji w zakresie własności nie może być straszenie więzieniem. Są inne sposoby.

Ile tracimy na piractwie?

W styczniu ubiegłego roku magazyn „Wired” informował, że piractwo muzyczne rośnie na świecie w zatrważającym tempie: 15-17 proc. w skali roku. W tym samym czasie w krajach Unii Europejskiej spadła jednak nielegalna konsumpcja filmów. Pobieranie bądź strumieniowanie produkcji anime (a także cyfrowych wydań popularnych mang) stanowiło ułamek tej przegródki, choć w skali całego świata to dziś najchętniej kradzioną treść kulturalną. Piractwo telewizyjne (w rozumieniu nielegalnych transmisji sportowych, programów telewizyjnych lub seriali z pasm kablowych) dla odmiany jest prawdziwą zmorą w państwach członkowskich UE – w 2023 r. wzrosło aż o 6 proc.

Prymat Indii wśród najczęściej „pirackich” krajów można tłumaczyć gwałtownym technologicznym skokiem (w ciągu ostatnich piętnastu lat dostęp do szerokopasmowego internetu zwiększył się tam aż o 14 tys. proc.). Lecz problem w europejskich krajach pozaunijnych, Rosji oraz Wielkiej Brytanii, jest już kwestią konkretnej polityki antypirackiej.

Mówiąc krótko, odpowiedź na pytanie, co, skąd i za pomocą czego kradniemy, zmienia się w zależności od szerokości geograficznej, PKB, krajobrazu kulturalnego oraz dziesiątek innych kryteriów. Większość źródeł jest jednak zgodna co do problemu w ujęciu globalnym.

Jak podają analitycy z platformy MUSO, badającej finansową wyporność sektora kulturalno-rozrywkowego, w 2023 r. zanotowano aż 141 mld odwiedzin na stronach ze skradzioną własnością intelektualną. Zaś ich wzrost prognozowany jest na około 3-5 proc. w skali kolejnych dwunastu miesięcy (dane za 2024 r. wciąż są przygotowywane).

W kontekście społecznym nie jest to drastyczny skok – jeśli uwzględnimy aberrację w postaci pandemii, możemy powiedzieć, że mieści się w zakresie historycznej sinusoidy. Ale w kontekście ekonomicznym to już jest problem. Bloomberg alarmuje, że Amerykanie tracą rocznie około 30 mld dolarów oraz 200 tys. miejsc pracy za sprawą piractwa. Firma Deloitte i Stowarzyszenie Sygnał donoszą z kolei, że w Polsce ta strata wynosi około 7 mld złotych.

Jest życie w szarej strefie

⇒ Lamentowanie nad tym, ile udało się zaoszczędzić dzięki walce z piractwem, to jak przekonywanie palacza, że jeśli pieniądze na tytuł będzie odkładał do skarpety, to za dziesięć lat wyciągnie z niej bentleya. Analitycy podkreślają, że w obliczu trwałości (choć ja powiedziałbym raczej: nieśmiertelności) tej nieuczciwej praktyki pieniądze są jedynie pozycją w arkuszu kalkulacyjnym, nie mają faktycznej wartości.

– Globalny powrót piractwa jest niepokojący. Ale jeśli lekko nagniemy perspektywę, zobaczymy, że jest to szansa dla dostawców treści; szansa na nawrócenie konsumentów korzystających z nielegalnych źródeł, na uczynienie ich swoimi klientami i zakręcenie kurka z odpływającymi pieniędzmi – przekonuje Christopher Firth z firmy consultingowej Kearney, która przygotowuje wraz z MUSO coroczne raporty.

Na pytanie, jak miałyby to wyglądać, nikt nie zna jednak odpowiedzi. I nic dziwnego. Jak pokazują dane MUSO oraz EUIPO (European Union Intellectual Property Office) z ostatnich lat, intensyfikacja nieuczciwych praktyk w internecie obejmuje głównie tych, którzy świadomie wybrali ciemną stronę mocy i ani myślą z niej zawracać. Reszta, czyli większość, żyje w świecie informacyjnego chaosu. Wybieramy – często nieświadomie – pomiędzy legalnym źródłem, nielegalnym źródłem a czymś, co „wygląda podejrzanie, ale kto to wie”.

– W ciągu ostatnich pięciu, sześciu lat ciężar właściwy zjawiska przeniósł się z użytkownika na serwisy z nielegalnym kontentem – mówi Kinga Jakubowska, prezeska Fundacji Legalna Kultura. – Pirackie strony upodabniają się do tych legalnych, ich oferta jest bardzo podobna, na domiar złego są wspierane przez reklamodawców czy też domy mediowe, które szukają dużych zasięgów. A szkoda. Reklamy, jak wiadomo, są elementem uwiarygodniającym takie serwisy.

Plan konsumpcji

Kim zatem jest nasz oszukujący i oszukiwany *everyman*? Według MUSO, to mężczyzna w wieku od 18 do 26 lat. Najczęściej przedstawiciel pokolenia Z, które korzysta z nielegalnych źródeł znacznie częściej niż milenialsi. Co najciekawsze, to właśnie milenialsi obserwowali w cza-



WOITEK ŁASKI / EAST NEWS

Sprzedaż pirackich kaset wideo, 1991 r.

sie rzeczywistym, jak zmienia się wiatr – byli na świecie, gdy piractwo wchodziło w obręb kultury internetowej, obserwowali jego zimowy sen w trakcie streamingowej rewolucji, a teraz są częścią postpandemicznego renesansu nieuczciwej praktyki. Jeśli zatem wybierają piractwo, przyczyny są zwykle nieco bardziej skomplikowane. Zetki z kolei – wbrew powszechnemu przekonaniu, że to część ich rebelianckiej natury – są zazwyczaj zbyt biedne na szeroki dostęp do kultury. „Wysoka stopa bezrobocia młodzięży wiąże się z wyższym poziomem piractwa” – czytamy w raporcie EUIPO.

Domeną i jednych, i drugich jest tzw. *cordcutting*, czyli praktyka świadomego odwrotu od tradycyjnej i kablowej telewizji oraz zonglerki usługami streamingowymi. W teorii ma ona działać trochę jak „życie na promocji”, czyli trend strategicznego konsumpcjonizmu, optymalizowania domowego budżetu z wykorzystaniem rozmaitych zniżek i okresów promocyjnych. W praktyce spycha nas często na pirackie wody.

Z opublikowanej przez serwis *cordcutting.com* analizie piractwa za 2023 r. wynika, że aż 78 proc. Amerykanów korzystających regularnie z nielegalnych treści pozostaje subskrybentami przynajmniej dwóch legalnych usług streamingowych. Jeśli zatem wykonujemy jakiś krok w stronę światła, to w szerszej perspektywie jest to zaledwie część większego „planu konsumpcji”. Podobna stra-

tegia obcowania z kulturą zyskuje popularność również w Polsce.

Dlaczego kradniemy?

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest kilka. Po pierwsze – agresywna rywalizacja na rynku platform streamignowych doprowadziła do niemal całkowitego wysycenia rynku. Przed dekadą serwisy warte subskrypcji mogliśmy policzyć na palcach jednej ręki. Dziś musimy wybierać między dziesiątkami licencjonowanych katalogów. Nawigujemy pomiędzy usługami subskrypcyjnymi, wypożyczalniami VOD, serwisami hybrydowymi i odbijamy się od kolejnych bramek – na przykład w serwisach, które oferują subskrypcję, ale część katalogu chowają za dodatkowymi płatnościami.

Spotkałem się z argumentem, że jest to kulturowo uwarunkowana niedojrzałość i że rozmiar oferty przerasta nasze faktyczne potrzeby. Być może. Jednak, jak podkreślają respondenci w rozmaitych badaniach, towarzyszącym piractwu stanem ducha nie jest cynizm, tylko frustracja. „Skoro płacę tak dużo za rozmaite usługi, to dlaczego nie mam dostępu do treści, na których mi zależy?” – pytają widzowie.

Gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. A konkretniej – o licencje. Struktura licencyjna może być dla nas nieprzenikniona, lecz jej istnienie jest odczuwalne. Zwłaszcza wtedy, gdy sięgamy do portfela. „Roczna konsumpcja niele-

galnie oferowanych treści szacowana na 7,36 mld zł to kwota, która pozwoliłaby na opłacenie rocznego abonamentu do serwisu VOD dla wszystkich internautów w Polsce oglądających treści wideo” – informuje w raporcie Teresa Wierzbowska, prezeska Stowarzyszenia Sygnał. Zgadzam się. Ale tylko przy założeniu, że mówimy o jednym serwisie VOD.

Portal wirtualnemedi.pl policzył w ubiegłym roku, że miesięczna opłata za zestaw najpopularniejszych usług obejmujących filmy, telewizję i sport wyniosłaby około 496 złotych. Jasne, trochę w tym złej woli (nie mam błędnego pojęcia, dlaczego w analizie uwzględniano wyłącznie pakiety Premium). Lecz nawet połowa tej kwoty to już poważne pieniądze.

Do tego dochodzą inne powody, takie jak ceny abonamentów uzależnione od reklam, kwestia cyfrowej własności i związanej z nią nieufności wobec licencjodawców, a także regionalnych blokad zawartości. Część z tych problemów da się zniwelować kampaniami edukacyjnymi oraz pracą u podstaw. Inne rozwiązałyby wyłącznie implozja rynku, bo przecież jakość samego produktu (od technologii, przez artystyczną wartość katalogu) spada wprost proporcjonalnie do rosnącego tempa rywalizacji.

„Jeśli produkt się zgadza, konsumenci będą płacić. Jeśli jednak stawiasz przed konsumentami kolejne bariery, od reklam przez drogie plany subskrypcyjne, po regionalne blokowanie zawartości, produkt przestaje się zgadzać. A konsument zaczyna myśleć o wydatkach” – przekonuje w rozmowie z portalem Cybernews producent muzyczny Omar Zulfi.

Piractwo nie jest odruchem bezwarunkowym, ale... Tak jak pandemiczna rzeczywistość uzmysłowiła nam, że jesteśmy w stanie pożerać o wiele więcej internetowych treści niż podejrzewaliśmy, tak dzisiejsza wojna o użytkownika serwisów wypycha nas poza nawias legalnych źródeł.

Polacy na plus?

W opublikowanej na serwisie Legalnej Kultury „(Nie)krótkiej historii piractwa” z 2016 r. Rafał Pawłowski przypomina, że tradycja nielegalnego kopiowania tekstów kultury jest stara jak świat. Po złodziejskich śladach wędruje od starożytnego Rzymu, przez XVIII-wieczne

regulacje w zakresie prawa autorskiego i Statut Królowej Anny, aż po rewolucję VHS oraz rzeczywistość nowych mediów. To świetny, gęsty tekst. Uzmysławia, że intuicyjnie umieszczamy kradzież własności intelektualnej w szarej strefie społecznego życia.

Powstanie Napstera, czyli serwisu, który na początku XXI wieku udrożnił przepływ nielegalnych plików muzycznych, jest w tej opowieści kluczowe – nie tylko dlatego, że dzięki filmowi „The Social Network” jego założyciel Sean Parker zawsze będzie miał twarz legendy branży muzycznej, Justina Timberlake’a. To właśnie Napster uruchomił fałszywą narrację o tym, że kradzież sprzyja rozpowszechnianiu kultury. W Polsce podobne bajki rymowały się z generalną akceptacją piractwa jako „znaku czasów”. Z szacunkiem dla chłopaków, którzy wypalali płyty w akademiku; z kultem giełd nielegalnego oprogramowania; z dziewczym zachwytem nad sieciami p2p; z totemami przełomu wieków w rodzaju popularnego „Muła” (czyli serwisu e-mule, umożliwiającego ściąganie skradzionych plików); wreszcie – z podziwem dla „pirata”, który jeździł żółtym renault mégane, a na kartce papieru miał wypisane filmowe nowości.

Jeszcze przed pandemią stało się jasne, że to iluzja. Dzięki kiełkującej rywalizacji w sektorze streamingowym oraz raczkującym wówczas kampaniom społecznym (wpływ Legalnej Kultury jest tu nie do przecenienia) stało się oczywiste, że piractwo jest nie tyle szkodliwe, co po prostu nieopłacalne. Dziś analitycy z Deloitte i Sygnału przekonują, że do końca bieżącej dekady tempo wzrostu piractwa wyniesie około procenta (i ok. pół miliarda złotych strat) w skali roku. Na papierze to niewiele. Mówimy jednak o Polsce, która pozostaje wzorem dla większości krajów Unii Europejskiej i która może pochwalić się najniższym wskaźnikiem piractwa filmowego.

– Kluczowe jest budowanie świadomości – mówi Jakubowska. – Oswajanie ludzi z faktem, że prawo autorskie nie dotyczy jedynie twórcy. Dotyczy użytkownika oraz jego bezpieczeństwa. Stało się częścią rzeczywistości, w której żyjemy i którą tworzymy. Gdy nasza fundacja startowała, wydawało mi się, że to robota na pół roku. Że wystarczy wszystkim wszystko wytłumaczyć i problem się roz-

wiąże. Tymczasem okazało się, że dopiero po roku prowadzenia kampanii środowiska decyzyjne w rodzaju szefostwa telewizji publicznej w ogóle chcą/zechciały na ten temat rozmawiać. Trzeba zatem sobie uświadomić, że taka praca u podstaw nie powinna dotyczyć wyłącznie użytkownika, ale też wszystkich innych osób oraz instytucji, które mają na to wpływ.

Masz wybór

Punktem dojścia powinny być nowe regulacje na szczeblu rządowym. Amerykanie wyszli z podobnego założenia. W Kongresie jeszcze w tym roku będzie procedowana poprawka do amerykańskiego prawa własności autorskiej. Umożliwiłaby ona właścicielom praw łatwiejszy nacisk na dostarczycieli usług internetowych i zobowiązywała ich do szybszego blokowania stron z nielegalną zawartością.

Bez względu na to, czy mówimy o Polsce, czy o Stanach, trudno wyobrazić sobie takie zmiany bez odpowiedniej edukacji. Zwłaszcza że egzekwowanie wszelkich antypirackich praw robi się coraz trudniejsze. Na przeszkodzie stoją problemy prawne, ciągła fluktuacja pirackich trendów, rozwój AI sprzyjający gromadzeniu i kolportowaniu nielegalnych treści oraz rozprzężający się w nieskończoność rynek usług.

Jak się w tym wszystkim odnaleźć? Jak przekonuje Jakubowska, najważniejsza jest wiedza o tym, że w ogóle mamy wybór. Czasem wystarczy skorzystać z serwisu bazalegalnychzrodol.pl, gdzie można sprawdzić, czy nie łamiemy prawa. Kiedy indziej wystarczy zwykły agregat treści platform streamingowych, na których szukamy filmu czy serialu na wieczór. Od świadomości wyboru zaczyna się w końcu świadome korzystanie z kultury. A stąd już niedaleka droga do myślenia o jego konsekwencjach. Niekoniecznie o tych, które dotkną mnie, raczej o tych, które poniesiemy wszyscy.

© MICHAŁ WALKIEWICZ



Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

Księgi danych ukrytych

MONIKA OCHĘDOWSKA

Nieterminowe płatności, wymuszanie dodatkowych opłat, brak dostępu do danych sprzedażowych własnych tytułów – to tylko kilka problemów polskich wydawców. Przez brak regulacji rynku książki nieuczciwe praktyki najsilniejszych graczy stały się powszechne.

W WTOREK 25 LUTEGO POZNALIŚMY wyniki badań, jakie na zlecenie Instytutu Książki przeprowadziła Polska Sieć Ekonomii – stowarzyszenie łączące, poprzez cykle debat i wspólnych przedsięwzięć, ekonomistki i ekonomistów z przedsiębiorcami i przedsiębiorczyniami oraz osobami zaangażowanymi społecznie. Cel? Rozeznanie się w faktycznym stanie polskiego rynku książki, trudnym dotąd do diagnozowania z powodu braku dokładnych danych bądź manipulowania nimi (o czym za chwilę).

Dla wieloletnich obserwatorów branży wnioski płynące z raportu PSE nie będą pewnie zaskoczeniem, choć uświadamiają, jak bardzo przyzwyczailiśmy się do sytuacji, w której coraz większą część zysków konsumuje coraz mniejsza liczba jej przedstawicieli i uczestników (obecnie 80 proc. rynku książki kontrolują cztery największe firmy dystrybucyjne, zob. infografikę obok).

STRATEGICZNE DOBRO | Ekonomiczni ortodoksi powiedzą, że taki „etap koncentracji” jest naturalnym procesem ewolucji wszelkiego rodzaju rynków. Moment, gdy wygrywają najsilniejsi i najsprytniejsi, pojawia się w gospodarce wolnorynkowej nieuchronnie. Zanim się na to zgodzimy, zatrzymajmy się nad dwiema kwestiami. Po pierwsze: mamy dziś mnóstwo obostrzeń i regulacji dotyczących produkcji i sprzedaży, które stosuje się w celu ochrony konsumentów i producentów oraz zapobiegania nadmiernym wahaniom cen (skup interwencyjny, limity produkcji, ceny minimalne, ograniczenia marż itp.). Ponadto stacje radiowe mają obowiązek nadawania określonej ilości polskiej muzyki, kina muszą raportować liczbę odwiedzających je wi-

dzów itd. Książka żadnym tego typu regulacjom ustawowo nie podlega. A powinna – i tu wprowadzę argument drugi: staje się bowiem dla polskiej gospodarki dobrem o znaczeniu wręcz strategicznym.

Przez ostatnie 20 lat obecności w Unii Europejskiej chłoniliśmy zachodnie technologie i wpinaliśmy się do łańcuchów globalnych wartości. Oferowaliśmy relatywnie niskie koszty pracy przy jednoczesnym wysokim poziomie wykształcenia i kwalifikacji naszych pracowników, co przyciągało do Polski zachodnich inwestorów. Musimy być jednak gotowi na to, że ten model się wyczerpuje. W 2027 r. nie będziemy już beneficjentem Unii, a jej płatnikiem netto. To oznacza, że nie będziemy rywalizować z sąsiadami niskimi kosztami pracy, a wiedzą oraz społecznym i kulturowym kapitałem.

Dobro, którym jest książka, jest w takim momencie kluczowe – podobnie jak system edukacji (także przechodzący w ostatnich latach kryzys), wydatki na badania i rozwój albo sztuczną inteligencję. Książka jako dobro kultury, ale też jako rynek o znaczeniu strategicznym, powinien być zatem, dla naszego bezpieczeństwa, uregulowany, podobnie jak ma to miejsce we wszystkich rozwiniętych krajach europejskich, takich jak m.in. Austria, Niemcy, Francja, Hiszpania czy Włochy. Pierwszym krokiem ku regulacjom powinno być, wedle twórców raportu, odwrócenie trendu jego oligopolizacji.

NIEUCZCIWE PRAKTYKI | Potrzeby przeciwdziałania nieuczciwym praktykom monopolistów zgłaszane były państwu przez Polską Izbę Książki wielokrotnie, i to już ponad dekadę temu. Przez ten czas – jak wskazują autorzy badania – nie tylko nie

zostały one wyeliminowane, ale stały się wręcz powszechne: doświadczyło ich trzy czwarte respondentek i respondentów. Na czym one polegają?

Po pierwsze, sklepy takie jak Amazon, Bonito, Empik czy Tantis nie są zobowiązane do przekazywania danych sprzedażowych do żadnych organizacji zajmujących się raportowaniem o rynku książki. W efekcie obraz tego rynku jest niepełny, słowem: tak naprawdę dokładnie nie wiemy, co czytamy oraz ile kupujemy książek. W Nielsen BookScan – największym panelu agregującym dane o sprzedaży – zebrane są informacje jedynie o 55 proc. zakupów, z niedoszacowaniem na ok. 63,5 mln egzemplarzy.

Poza ukrywaniem danych sprzedażowych dochodzi też do manipulowania nimi. Sieci dystrybucji, mówiąc w skrócie, nie ujawniają informacji o odsetku zwrotów w wolumenie sprzedaży. Zamiast tego – jak czytamy w raporcie – publikują wyniki wskazujące na wysokie poziomy sprzedaży, aby podkreślić swoje sukcesy, a następnie po zamknięciu roku finansowego dokonują masowych zwrotów do wydawnictw.

Wykorzystując swoją siłę przetargową, firmy dystrybucyjne wprowadzają też systematycznie, pod pretekstem „kosztów operacyjnych”, nowe opłaty dla swoich klientów, często niepowiązane z rzeczywistą wartością świadczonych usług. Kluczowym przykładem jest dostęp do danych sprzedażowych – wydawnictwa muszą dziś płacić za informacje o szczegółowej sprzedaży swoich tytułów. To obciążające z perspektywy zarządzania firmą: brak danych nie tylko nie pozwala na planowanie działań promocyjnych, zamawianie dodruków czy zarządzanie stanem magazynowym. Wydawca nie jest też w stanie rozliczyć się ze swoimi autorami. Ale poza wysokimi opłatami za dane sprzedażowe, wydawcy ponoszą również inne koszty, płacą np. za zwroty, ekspozycję, a nawet zabezpieczenia książek przed kradzieżą.

Kolejnym problemem, najbardziej wpływającym także na czytelnicki i czytelników, jest stosowanie przez dystrybutorów cen dumpingowych w postaci olbrzymich rabatów. Rabaty zmuszają wydawnictwa do sztucznego zawyżania cen okładkowych, obowiązujących następnie wyłącznie w księgarniach kameralnych, które na skutek takich dzia-

SEKTOR KSIĄŻKI W LICZBACH

Twórcy

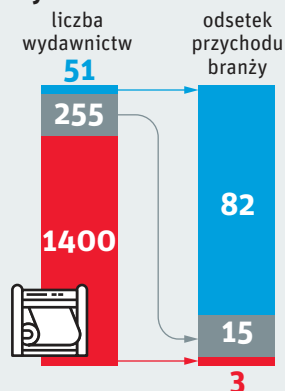
3000  **2500 zł**

zawodowych
autorek i autorów

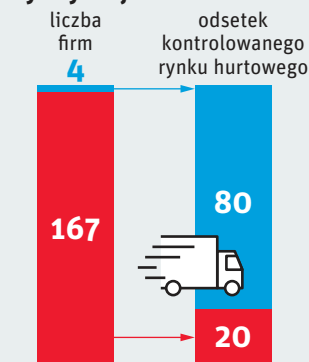
mediana miesięcznego
przychodu autora



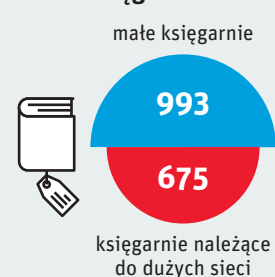
Wydawnictwa



Dystrybucja



Liczba księgarni



Liczba bibliotek publicznych



Lektor:

Zapomniany pamiętnik



■ Halina Nelken

PAMIĘTNIK Z GETTA W KRAKOWIE

Wydawnictwo W.A.B.,

Warszawa 2025,

ss. 448.

DŁUGO CZEKAŁIŚMY. NIEDŁUGO MINIE 16 LAT OD ŚMIERCI autorki, a pierwsze wydanie jej książki ukazało się w 1987 r. w Kanadzie. To właściwie trzy książki w jednej. Najpierw nostalgiczne wspomnienia o dorastaniu w zamożnej, spolonizowanej (dziadek – powstaniec styczniowy) rodzinie żydowskiej w Krakowie, a ściślej – w przyłączonym w 1915 r. do Krakowa Podgórzu. Potem dziennik rozpoczęty tuż przed wojną i kontynuowany w getcie, z komentarzami dopisanymi po latach. I znów relacja wspomnieniowa, zatytułowana „Za drutami: Płaszów, Oświęcim, Ravensbrück...”, wstrząsający opis walki o przetrwanie. Do tego wiersze wplecione w tekst.

Halina Nelken urodziła się w 1923 r., rodzina mieszkała przy ul. Długosza. Wojenne gettowe adresy też będą w Podgórzu, tyle że miejsce wielopokojowego mieszkania z wiedeńskimi meblami i młodopolskimi obrazami zajmą obskurne lokale, w których z trudem mieszczą się wszystkie łóżka. Dzienniczek nastolatki zmienia się w kronikę przyspieszonego dorastania i narastającej grozy. Brud, głód, przymusowa praca sprzątaczką na rakowickim lotnisku. „Akcje” i łapanie, potem wysiedlenia. Wracając z Rakowic, Halina przeskakuje kałuże krwi na rogu Dąbrówki i Janowej Woli; kilka godzin wcześniej zginął tu, wśród innych, poeta i pieśniarz Mordechaj Gebirtig. Wysiedlenie październikowe 1942: „księżyc srebrzył bładym światłem wąskie jak studnia podwórko... W dole leżały stopy pomordowanych podczas akcji ludzi. Trupy rzucone były jak mieszały się z sobą w ostatnim uścisku”.

Po wojnie Halina Nelken ukończyła historię sztuki, została kustoszem w krakowskim Muzeum Narodowym. W 1958 r. wyjechała do Wiednia, od 1960 r. do śmierci mieszkała w Stanach Zjednoczonych, gdzie pracowała na kilku uczelniach. A z jej niezwyklego pamiętnika z getta warto wydobyć jeszcze jeden wątek: przyjaźń, a trochę flirt z pewnym uroczym 40-letnim inżynierem, o którym pisze, że był wtedy dla niej autorytetem. Otóż jest to Aleksander Weissberg, wybitny fizyk urodzony w Krakowie i wychowany w Wiedniu, komunista, potem więziony w Sowietach i wydany Niemcom, po ucieczce z Krakowa uratowany dzięki pomocy przyszłej żony Zofii Cybulskiej, po wojnie osiadły w Paryżu. Jego „Wielka czystka” ukazała się po polsku w Bibliotece „Kultury”, a wkrótce Znak wyda jego biografię, autorstwa Ireny Grudzińskiej-Gross. ©P

łań tracą klientów. Przeprowadzone na potrzeby raportu badanie pokazuje, że mediana rabatu dla dystrybutorów wynosi 50 proc. (choć coraz częściej jest to, jak przyznają sami wydawcy, nawet 70 proc.). Jak to wpływa na cały rynek książki, widać na zamieszczonej wyżej grafice: bogacą się przede wszystkim pośrednicy i duże sieci.

WNIOSKI I ROZWIĄZANIA | We wnioskach załączonych do raportu Polskiej Sieci Ekonomii znalazł się rozdział dotyczący proponowanych, kompleksowych rozwiązań (punktowe decyzje, takie jak jednolita cena książki czy zerowy VAT nie przyniosą poprawy). Już 17 marca ma się odbyć spotkanie członków i członkiń Polskiej Izby Książki, podczas którego będą one konsultowane. W kwietniu planowany jest natomiast okrągły stół PIK, którego celem ma być wypracowanie wspólnych postulatów w oparciu o wyniki raportu. ©P

PRZYCHÓD AUTORA

Przy cenie okładowej 57,50 zł autor(ka) może liczyć na wynagrodzenie z tytułu tantiem w wysokości ok. 2,9 zł za egz. Roczna mediana wynagrodzenia z tytułu wypożyczeń bibliotecznych wynosi ok. 360 zł, przy 4 gr za pojedyncze wypożyczenie. Wynagrodzenia te są dziś naliczane na podstawie danych jedynie z 60 bibliotek, co nie stanowi próby reprezentatywnej.

PAWEŁ

Bravo: Eksperyment z formą

GARNITUR ALBO GARSONKA ODEBRANE Z PRALNI? BIAŁYCH Koszul też bym radził dokupić, i to ze trzy co najmniej. Warto mieć zapas, żeby szybko się przebrać, skoro tylko się człowiek spoci, a o to przecież nietrudno, kiedy cię opieprzają jak burą sukę za to, że nie dziękujesz dość grzecznie. Wystarczyło zobaczyć scenę z bezpiecznego dystansu, na komórcę opartej o blat upaprany mąką, twarogiem i krwawym sokiem (akurat był w planach sernik z ostatnimi już malinami z zamrażarki), żeby poczuć na długo awersję do krawaciarzy. Nasze tzw. feedy zapełniły się prędko dowcipami szydzącymi z garniturów. Czy zresztą Winston Churchill nie siedział ongiś w tym samym gabinecie odziany w okropny kombinezon skrojony na wojskową modłę i opinający zacne brzuszysko?

Jako szczęśliwy posiadacz dwóch starych marynarek i ani jednego krawata mogłem się tylko cieszyć, że *vox populi* zgadza się z moją awersją do formalnych strojów. Ale zaraz zakiełkowało we mnie zdanie odrębne. Kilka lat, które spędziłem

niegdyś z dala od garnków i knajp, za to blisko ośrodków władzy, pozwalają mi stwierdzić, że forma jest kluczowa, a garnitur może być nawet wymowniejszy od zawartego w nim polityka. Military outfit ukraińskiego wodza to tylko jeden z wyjątków od reguły (akurat amerykańscy prezydenci udają na pokaz swajaków, więc wyjątki powinni doprawdy rozumieć).

W kuchni napotkamy jeszcze sztywniejsze, trwalsze formy podtrzymujące całą tę pozornie spontaniczną konstrukcję, jaką jest doświadczanie smaków. Spotykamy się w tym kącie – świeżo powiększonym i z wielkim oknem, za co jestem grateful! – już tak długo, że nie będę wam opowiadał tonem odkrywcy, jak to przygotowanie i spożywanie jedła jest wyrazem społecznego istnienia, funkcją hierarchii i polem do manifestowania tożsamości. A tylko przy okazji załatwiamy kwestię zaopatrzenia komórek w substancję i energię. Gdyby to fizjologia i metabolizm rządziły naprawdę naszą biesiadą, na stołach zapanowałaby nędza i rozpacz, przy której menu popielcowe wydawałoby się szczytem rozpusty.

Tak, forma, rytuał, zasady. Kształty, przedmioty, gesty. Bez tego nie ma posiłku. I rozmycie się w naszej części świata nakazów religijnych niczego tu nie zmienia. Ale czy te różne ograniczenia nałożone na bezkształt życia mają, oprócz racji historycznych lub mitycznych, wpływ na zmysłowość jedzenia i dobrotę po spożyciu? Oczywiście. Już dobre 10 lat w rozmowach kucharzy po ciężkiej zmianie powraca słowny projekt badaczy z Uniwersytetu Stanowego w Minnesocie. W jednym z ciągów eksperymentów dzielono uczestników na dwie grupy – jedna



GORODENKOFF / ADOBE STOCK

GRAZYNA MAKARA

dostawała zawiłą instrukcję, w jaki sposób ma rozpakować tabliczkę czekolady, a potem połowę zjeść, grupie kontrolnej mówiono tylko: bierzcie i jedzcie, jak wam się podoba. Potem mierzono poziom satysfakcji i wrażenia, a także np. jaką kwotę byłoby się gotowym wydać na taką czekoladę. Inne sposoby badania były bardziej zawiłe, nie czas i miejsce je streszczać, ale wiercie mi: wyszły mocne przesłanki, że rytuały są, by tak rzec, ważną przyprawą. Pomagają odczuwać smak i zadowolenie z posiłku.

I znów ta Minnesota! Przecież to tam miał bazę akademicką Ancel Keys (o ile nie przebywał akurat na badaniach terenowych w słonecznej Italii), którego dwa tygodnie temu tego obśmiewaliśmy za wynalezienie diety śródziemnomorskiej. Trochę mi było potem głupio; nie chcę, by pozostał w naszej pamięci tylko jako bajkopisarz i mitotwórca, bo był to absolutny pionier nowoczesnego podejścia do odżywiania.

Kucharze po ciężkiej zmianie lubią sobie czasami opowiadać też o poprzednim sławnym „eksperymentcie z Minnesoty”. Na przełomie 1944 i 1945 r. Keys zgromadził w zamknięciu i pod stałym nadzorem trzydziestu paru dobranych pod kątem różnych warunków cielesnych ochotników z zastępczej służby wojskowej (głównie kwakrów i mennonitów). Pierwsze trzy miesiące zdrowo i obficie ich odżywiał, żeby wyrównać warunki startowe, następnie przez pół roku głodził (1800 kalorii dziennie), jednocześnie poddając różnym fizycznym pracom. A następnie przez trzy miesiące „przywracał” do pełni odżywiania. Przez cały czas mierzono rozliczne parametry cielesne uczestników, poza tym raportowali swoje samopoczucie i kondycję mentalną – Keysa interesowało, jak niedożywienie wpływa na emocje i zaburza procesy poznawcze. Oraz jak potem wraca to wszystko do normy wraz z poprawą diety.

Raport z tych badań do dziś jest podstawą koncepcji dietetycznych, a struktura eksperymentu posłużyła jako matryca dalszych prac nad skutkami głodu. Mniejsza z tym, nie róbmy w kuchni konferencji. Ciekawsze – a w dzisiejszych warunkach dziejowych nawet wzruszające – jest to, dlaczego Keys to wymyślił i jak przekonał Pentagon, by mu to wszystko sfinansował. Chodziło o zrozumienie potrzeb wygłodzonej i wymęczonej ludności Europy, którą US Army w swym marszu napotykała. Było wtedy dla amerykańskich elit politycznych i wojskowych jasne, że powinnością jest nie tylko wyzwolenie, ale i wsparcie w powrocie do normalności po wojnie. Jankescy żołnierze rzucający z czołgu dzieciakom czekoladę i mleko w puszcze to był ładny obrazek dla kamer, ale Keysowi zależało, żeby Ameryka pomogła Europie wyjść z niedożywienia w sposób metodyczny, racjonalny i optymalny dla zdrowia. Dlatego potrzebował przebadania na ochotnikach strategię powrotu do pełnego wyżywienia, czego, kiedy, w jakiej kolejności ludziom po kilku latach głodowania potrzeba, jak im pomóc, żeby nie zaszkodzić.

W eksperymencie brali udział, jako się rzekło, mennonici i kwakrzy, najtwardsi z twardych w religijnie motywowanej odmowie stosowania przemocy. Ale kiedy się czyta o Keyse i jego mocodawcach, generałach i ministrach, ma się wrażenie, że, należąc do mniej radykalnych kongregacji, mieli jednak sporo chrześcijaństwa pod skórą, przynajmniej tyle, żeby równoważyć rzemiosło zabijania, którym musieli się trudnić. Zostawiam wam tę historię na pustym popielcowym stole jako odtrutkę na festiwal pogańskiej barbarii, jaki musimy teraz oglądać.



ROBERT6666 / ADOBE STOCK

Krem Beatrice

A miało być weselej, o pączkach jeszcze do wczoraj świętowanych jak idole! Chciałem pisać o najdziwniejszych, czasem absurdalnych formach i nadzieniach, o których gromadziłem szokującą wiedzę (posypka truflowa i płatki złota to tylko początek). Zostawmy na przyszły rok. Ale żeby został jakiś ślad, przypomnę wspomniały krem, który można zjadać łyżkami bez żadnego pączka, wymyślony przez moich kolegów z „Kuchni Dantego”. To wariant tzw. kremu dyplomatycznego, będącego z kolei połączeniem kremu cukierniczego z bitą śmietaną.

SKŁADNIKI:

4 żółtka **30 g** skrobi kukurydzianej (od biedy ziemniaczanej) **180 g** cukru pudru **200 g** śmietanki **400 ml** soku z mandarynek **2** mandarynki

W rondelku doprowadzamy prawie do wrzenia 350 ml soku. Ucieramy starannie do białości żółtka ze 100 g cukru i szczyptą soli, dodajemy skrobię i mieszamy. Przekładamy tę masę na powierzchnię gorącego soku, podgrzewamy dalej, a kiedy pojawi się bąbel świadczący o wrzeniu, zdejmujemy z ognia i energicznie mieszamy trzepaczką, aż powstanie dość gładki krem (wyjdzie to lepiej, jeśli wstawimy rondel do dużej miski wypełnionej lodem). Na patelence podgrzewamy resztę cukru, kiedy zacznie trochę ciemnieć, dolewamy resztę soku i łyżkę masła, mieszamy, dodajemy cząstki mandarynek i dalej grzejemy, delikatnie mieszając przez parę minut. Do już zimnego kremu dodajemy mocno ubitą śmietankę i mieszamy. Podajemy w miseczkach, kładąc na wierzch cząstki mandarynek i polewając karmelowym sosem. © & ®



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).



ZMYŚŁY

INNA KRAINA OZ

Ceremonia rozdania Oscarów była niczym listek figowy na rozbieranej imprezie. Hollywood jak zawsze celebrowało własną świetność, głównie tę minioną. Na szczęście było jeszcze kilka tytułów, które przywracają wiarę w kino.

ANITA PIOTROWSKA



CAROLINE BREHMAN / EPA / PAP

Adrien Brody z Oscarem za najlepszą rolę pierwszoplanową („Brutalista”), Mikey Madison, najlepsza aktorka pierwszoplanowa („Anora”), Zoe Saldña, najlepsza aktorka drugoplanowa („Emilia Pérez”), i Kieran Culkin, laureat nagrody dla najlepszego aktora drugoplanowego („Prawdziwy ból”) podczas 97. ceremonii rozdania Oscarów w Dolby Theatre w Los Angeles. 2 marca 2025 r.

CEREMONIA 97. EDYCJI OSCARÓW ODBYŁA SIĘ, ZGODNIE Z TRADYCJĄ, w słonecznym Los Angeles. Jednakże dla wielu widzów przebiegała w cieniu kiepskiego i zarazem coraz straszniejszego filmu, jaki reżyserowany jest tysiące kilometrów dalej, w Waszyngtonie. Czy hollywoodzka gala pamiętała o pożarach, które trawiły jeszcze niedawno kalifornijskie miasto? Jak najbardziej. Czy odniosła się do bliższej rzeczywistości, w której Jokerzy rozdają dziś wszystkie karty? Niespecjalnie.

Zbyt wielka wygrana

Rzeczywistość przerasta dziś najbardziej fantastyczne scenariusze i to w tempie dużo szybszym niż dwadzieścia cztery klatki

na sekundę. Co więcej, wszelkie spekulacje, kto wygra, a kto powinien, w tym roku zdawały się wyjątkowo jałowe. Żyjemy w rzeczywistości coraz bardziej medialnej, zapośredniczonej, i to w dużej mierze okoliczności pozamerytoryczne napędzają oscarową maszynkę, decydując o werdyktach.

Liczą się więc pozaekranowe wpadki, skandale i kalkulacje, rozmaite antypatie i sympatie, nie mówiąc o wątpliwościach związanych ze stosowaniem w kinie sztucznej inteligencji, o nieproporcjonalnych środkach wyłożonych na promocję poszczególnych tytułów czy o bieżącej sytuacji politycznej. To sprawia, że mógł wygrać nie tylko uśredniony gust, ale i wybór możliwie bezpieczny. W ostatnich dniach, kiedy nad „Emilią Pérez” czy „Brutalistą” z różnych powodów zebrały się ciemne chmury, na zwycięzcę typowano nawet „Konklawe” czy „Kompletnie nieznanego” – dobre, lecz przecież dalekie od oryginalności czy wybitności kino. Inna rzecz, że brakowało w tym roku jednego wyraźnego faworyta, nie było też bezdyskusyjnych arcydzieł, choć to już pewnie znak naszych czasów, kiedy coraz trudniej podjąć artystyczne ryzyko, bo o kształcie kina decydują algorytmy.

Ostatecznie wszystko, co najważniejsze (i chyba jednak trochę za dużo) wygrała „Anora” Seana Bakera. Czyli niezależne kino amerykańskie, zrobione za niewielkie pieniądze, budzące jednak kontrowersje z powodu udziału rosyjskich (czytaj: reżymowych) aktorów. Ich obecność w filmie i na gali wywoływała całkiem słuszne oskarżenia – że oto normalizuje się bojkotowaną w wielu miejscach kulturę agresorów. A Kreml miał podczas oscarowej nocy kolejną w ostatnim czasie okazję, by otworzyć z hukiem *szampanskoje*, bo satyra na bezwstydnie bogatych Rosjan to jedno, a sukces kremlowskich pupili to drugie.

Bajka dla dorosłych

Długo czekałam, aż Baker, występujący na scenie również w związku z Oscarem za reżyserię, montaż i scenariusz oryginalny, powie przynajmniej jakiś frazes odnoszący się do tych okołopolitycznych zarzutów. Wolał jednak apelować o ratowanie kina jako wspólnotowej instytucji, zagrożonej przez streaming. Podobnie zresztą inni nagrodzeni czy prowadzący ceremonię Conan O’Brien – pozwalali sobie co najwyżej na blade aluzje do piątkowej „afery garniturowej” w Gabinetcie Ovalnym. Na próżno też można było wypatrywać niebiesko-żółtych przypinek i jedynie aktorka Daryl Hannah miała odwagę zawołać „Sława Ukrainie!”, po czym wręczyła statuetkę... twórcy „Anory”. Ktoś powie: porzućmy wreszcie ostatnie złudzenia – Ameryka, jaka jest, każdy widzi. I nie jest tajemnicą, że również Hollywood wcześniej czy później musi odczuć na własnej skórze nowe polityczne porządki. Marna to jednak satysfakcja.

W innych okolicznościach główny Oscar dla „Anory” nie byłby żadnym problemem. Ta współczesna bajka dla dorosłych – zwariowana, frywolna i prosta w dobrym znaczeniu tego słowa – zwodzi albo uwodzi niemal do końca. I dopiero ostatnia scena zupełnie inaczej ustawia ten niby błahy film. Tytułowa pracownica seksualna z Brooklynu, której odebrano wszelkie iluzje związane z miłością czy awansem społecznym, dostaje szansę, by wreszcie odzyskać siebie. A Mikey Madison gra tak świeżo i migotliwie, że długo nie da się jej postaci przyspilić jako naiwnej bądź wyrachowanej.

Z awanturniczej farsy „Anora” staje się przypowieścią o brudnych regułach rządzących dzisiejszym światem, ➔

→ konkretnie USA późnego kapitalizmu. Swoją drogą, łatwo było dostrzec w zwycięstwie dwudziestopięcioletniej Madison ironiczny przypis do „Substancji”, nagrodzonej jedynie za charakteryzację i fryzury. Zdesperowana bohaterka Demi Moore stworzyła w niej przecież dużo młodszą wersję siebie i w końcu musi stoczyć ze swoim najdoskonalszym wcieleniem morderczą wojnę. Film Coralie Fargeat, jedynej zresztą kobiety w głównej dziesiątce, docisnął do maksimum konwencje body horroru, by stworzyć cudowne filmowe monstrum, złożone z leków, pragnień, stereotypów, uosabiające skandal starzenia się czy urynkowanie ciała. I, chcąc nie chcąc, stał się zjadliwym komentarzem do oscarowego targowiska próżności.

Punkty za pochodzenie

Wiele zresztą spośród nominowanych tytułów pokazało swój krytyczny pazur. Przynajmniej trzy – „Anora”, „Brutalista” Brady’ego Corbetta i „Miedziaki” RaMella Rossa – brutalnie przenicowują *American dream* i znany truizm: to nie jest kraj dla marzycieli i wrażliwców. Osadzone w różnych okresach powojennej historii, opowiadają o tępej sile, o władzy pieniądza pod postacią cynicznych deweloperów i buszujących za oceanem rosyjskich oligarchów czy o supremacji rasowej, której nawet „punkty za pochodzenie”, również te oscarowe, nie są w stanie zlikwidować do końca. Daleko tym filmom do typowo hollywoodzkiego eskapizmu.

Warto też odnotować obecność w najważniejszej stawce mocnych tytułów spoza USA, francuskich („Emilia Pérez”, „Substancja”) czy brazylijskiego („I’m Still Here”). Ucieszyła także wygrana łotewskiego „Flow” Gintisa Zilbalodisa w bardzo silnej kategorii animacji pełnometrażowej. Postapokaliptyczna opowieść bez słów o przygodach dzielnego kota i jego drużyny to triumf wrażliwości i inwencji nad wyrafinowaną technologią i wielkim budżetem. Dodajmy: dwadzieścia razy mniejszym niż w przypadku czarnego konia, jakim był animowany „Dziki robot” Chrisa Sandersa ze stajni DreamWorks, w którym porzucana maszyna „myśląca” uczy się matkowania gęsiemu pisklęciu. A wszystko to w języku wizualnym, urzekającym kreatywnością i przyjazną kreską.

Było jednak wiele okazji, by w taką noc nie zachwycać się wyłącznie estetyką i po prostu nie siedzieć cicho, kiedy płonie świat. Najbardziej liczyłam, że zdecydowany głos zabiorą twórcy mojego faworyta, czyli „Brutalisty”, ale – znowu – nie

doczekałam się. Szkoda, bo to dzieło potwornie ambitnego outsidera, które z łatwością mogłoby ugiąć się pod ciężarem zbyt wielu pomysłów, wątków, idei. Mamy więc u Corbetta powidoki Holokaustu, ironiczne spojrzenie na Amerykę zbudowaną przez imigrantów, portret artysty na łasce wielkiego biznesu, systemową i całkiem realną przemoc...

O dziwo, wszystko to się w tym filmie spina w całość – monumentalną i chwiejną zarazem, dającą jednak poczucie obcowania z bardzo przemyślaną konstrukcją. Aż się prosiło, by odnieść ten brawurowy pod każdym względem obraz do dzisiejszych realiów. Zwłaszcza że otrzymał trzy statuetki, w tym za zdjęcia Lola Crawleya i muzykę Daniela Blumberga, które w filmie o żydowskim architekcie w powojennych USA wykorzystane zostały w sposób iście architektoniczny, współkreując filmową przestrzeń i dobudowując jej kolejne sensory.

Fenomen najlepszego aktorstwa

Adrien Brody także opuścił Dolby Theatre ze złotą statuetką – za rolę, którą złośliwi uważają za przedłużenie tej z „Pianisty”, nagrodzonej Oscarem w 2003 r. Od początku wydawała się pewniakiem, pomimo bardzo mocnej stawki, z Ralphem Fiennesem za „Konklawe”, Timothée Chalametem za „Kompletnie nieznanego”, Colmanem Domingo w „Sing Sing” i Sebastianem Stanem w „Wybrańcu”. Szybko okazało się jednak, że Brody może tę konkurencję przegrać, jako że w tak zwanym międzyczasie wyszło na jaw, iż węgierski akcent jego bohatera László Tótha wspomagany był przez sztuczną inteligencję, podobnie jak i pion scenograficzny. Rozpętało to bardzo pożyteczną dyskusję na temat wykorzystywania AI nie tylko w doskonaleniu ról filmowych, ale i w ogóle przy tworzeniu kina. Powróciły pytania, gdzie przebiega granica technologicznej ingerencji w autorskie dzieło i na czym polega uczciwość w jej zastosowaniu.

Dlatego tak silnym konkurentem dla Brody’ego okazał się w pewnym momencie Chalamet w roli młodego Boba Dylana. W „Kompletnie nieznanym”, na przekór hollywoodzkim biopikom, reżyser James Mangold rekonstruuje (i trochę dekonstruuje) kluczowy i poniekąd legendarny moment w życiorysie artysty. Zaś młody aktor nawet swoje umiarkowane podobieństwo potrafi przekuć w ekranowy atut, nie popadając przy tym w płaski mimetyzm. Poza tym gra na gitarze i śpiewa tak, że nawet doskonale nakarmiony algorytm nie podrobiłby tego lepiej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP 10 MARCA W PONIEDZIAŁEK O GODZINIE 18.00

CO TO BĘDZIE?

Spotkaj się z ZIEMOWITEM SZCZERKIEM w krakowskim Pięknym Psie.

Czy koniec świata, jaki znamy, będzie spektakularną katastrofą, czy raczej powolnym procesem, który zrozumiemy, gdy będzie już za późno?

Prowadzenie MICHAŁ SOWIŃSKI

Tegoroczne Oscary pokazały raz jeszcze, jak bardzo nieuchwytny i kapryśny bywa fenomen „najlepszego aktorstwa”. W przypadku męskich ról drugoplanowych Kieran Culkin z kręconego w Polsce „Prawdziwego bólu” od początku wydawał się bezkonkurencyjny. Nawet mając za rywala Edwarda Nortona (folkowy guru w „Kompletnie nieznanym”), Guya Pearce’a (najczarniejszy charakter w „The Brutalist”), Jurę Borisowa (rosyjski gangus w „Anorze”) czy Jeremy’ego Stronga (to jego bohater, prawnik Roy Cohn, stworzył w „Wybrańcu” dobrze nam dziś znanego politycznego potwora).

Żony, matki, aktywistki

Z kobietami w roli pierwszoplanowej sytuacja okazała się dużo bardziej dynamiczna. Karla Sofía Gascón za tytułową rolę w „Emilii Pérez” miała szansę na pierwszą w historii statuetkę dla aktorki jawnie transpłciowej, lecz zaprzepaściła tę możliwość niefortunnnymi tweetami sprzed lat. Rasistowskimi, islamofobicznymi oraz... wymierzonymi w samą Amerykańską Akademię Sztuki i Wiedzy Filmowej.

Wspomniana Demi Moore, z najodważniejszą kreacją w tym rozdaniu i w całej swojej karierze, przekonała się, że odwaga to nie wszystko, zaś Fernanda Torres z „I’m Still Here” Waltera Sallesa, mocno promowana przez akademików latynoskiego pochodzenia, okazała się „niewystarczająca”, choć mogła zakasować konkurentki bardzo powściągliwym zagranem autentycznej postaci z brazylijskiej historii najnowszej. Czyli Eunice Paivy, żony, matki, aktywistki, prawniczki przeciwstawiającej się zbrodniom i kłamstwom tamtejszej dyktatury. Ostatecznie ten znaczny, aczkolwiek trochę sztampowo poprowadzony film otrzymał Oscara dla najlepszego tytułu międzynarodowego.

Owó wynik był szczególnym rozczarowaniem, bowiem nominacje w tej kategorii były wyjątkowo mocne, by wymienić tylko „Dziewczynę z igłą” Magnusa von Horna, ze znaczącym polskim udziałem twórczym i produkcyjnym, czy niemieckie „Nasienie świętej figi” Mohammada Rasoulofa (więcej o tym filmie w następnym numerze). A najlepszy w tym rozdaniu Jacques Audiard po prostu się naraził swoją „Emilią Pérez” – i Meksykanom, i środowiskom LGBT+ (pisałam o tych kontrowersjach w poprzednim numerze).

Toteż mający najwięcej, bo aż trzynaście nominacji francuski film mówiony po hiszpańsku musiał się zadowolić tylko dwoma statuetkami, za drugoplanową rolę żeńską dla Zoe Saldany i za piosenkę „El Mal”. To właśnie dobry przykład tego, jak zewnętrzna koniunktura może wpływać na oceny artystyczne. Tym razem zadziałała wybitnie krzywdząco – Audiard, bezpardonowo łączący musical, kino gangsterskie, melodramat i poważne tematy społeczne, spokojnie mógł zgarnąć nagrodę za reżyserię.



FRANG MICELLOTTA / GETTY IMAGES

Na próżno było wypatrywać niebiesko-żółtych przypinek i jedynie aktorka

Daryl Hannah

miała odwagę zawołać

„Sława Ukrainie!”.

Ameryka, jaka jest, każdy widzi. I Hollywood też odczuje na własnej skórze nowe polityczne porządki.

Jak ocalić piękno

Nie dotyczy ta uwaga filmu dokumentalnego, gdzie okoliczności polityczne prawie zawsze mają i czasem muszą mieć jakiś wpływ na ocenę merytoryczną. Spodziewałam się, że w związku z tym nagrodzona zostanie współprodukowana przez Ukrainę „Wojna porcelanowa” Brendana Bellomo i Sławy Leontiewa, z muzyką folkowego zespołu DakhaBrah – dzisiaj boleśnie aktualna i jakże metaforyczna.

Oto podczas ukraińskiej wojny troje artystów, na przekór wdzierającej się w ich świat imperialnej przemocy, próbuje ocalić kruche piękno, nie tylko za pomocą kina, ale i czegoś tak absurdalnego w tych warunkach jak ceramika. Kamera jako narzędzie polityczne wraca w nagrodzonym dokumencie „Nie chcemy innej ziemi” Basela Adry, Hamdana Ballala, Yuwała Abrahama i Rachel Szor, wstrząsającym zapisie izraelskiej destrukcji na Zachodnim Brzegu, a zarazem dziennikarskiej interwencji z udziałem Palestyńczyka i Izraelczyka.

To właśnie z ust twórców tego filmu padły na scenie najmocniejsze słowa, nie tylko o tragedii humanitarnej w Strefie Gazy i konieczności uwolnienia izraelskich zakładników, ale i przeciw bieżącej polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, która utrudnia proces pokojowy. Choć pewnie nie mniej na czasie wybrzmiałby dzisiaj inny film, bez wątplenia najciekawszy w tej kategorii – „Ścieżka dźwiękowa zamachu stanu” Johana Grimonpreza, mistrzowsko zmontowany dokument o tym, jak USA podczas zimnej wojny próbowały wykorzystać swoją kulturę, a konkretnie muzykę jazzową i jej twórców, w ramach politycznej *soft power*.

Powrót do początków

Nic więc dziwnego, że z taką podejrzliwością i z takim wyczekiwaniem na „zajęcie stanowiska” oglądało się tegoroczne rozdanie najbardziej pożądanych nagród w kinowej branży. Każdą wzmiankę o świecie spoza czerwonego dywanu – o dzielnych kalifornijskich strażakach, obecnych zresztą na scenie, o czyichś imigranckich korzeniach albo o anonimowych rzemieślnikach stojących za każdą produkcją filmową – witano gromkimi owacjami.

Była niczym listek figowy na rozbieranej imprezie, gdzie Hollywood jak zawsze celebrowało własną świetność, głównie zresztą tę minioną. Na szczęście, było jeszcze tych kilka-kilkaście tytułów, niekoniecznie amerykańskich, które przywracały wiarę w kino. To czysto rozrywkowe, w rodzaju „Wicked” Jona M. Chu, kipiący od efektów powrót do nieco innej krainy Oz, przepisujący baśniowe tropy i musicalowe numery na język dzisiejszych wzorców i fantazji. I tym bardziej kino niebędące wyłącznie ucieczką od rzeczywistości, coraz bardziej filmowej, coraz mniej prawdopodobnej.

© ANITA PIOTROWSKA

TOMASZ

Stawiszyński:

Prorocy wiecznego życia



W KONKURSIE NA NAJBARDZIEJ EKSCENTRYCZNEGO CZŁOWIEKA NA ŚWIECIE Bryan Johnson byłby niewątpliwie faworytem. Ten 47-letni miliarder z Doliny Krzemowej, twórca start-upów oraz właściciel funduszu inwestycyjnego, od 2021 r. poświęca się całkowicie...

nieśmiertelności. Jego codzienna rutyna – można się z nią zapoznać na platformie Netflix, w filmie „Don't Die: O człowieku, który postanowił żyć wiecznie” – podporządkowana jest powstrzymywaniu i odwracaniu procesów starzenia. Johnson śpi o ściśle wyznaczonych porach i jada posiłki skomponowane tylko z najzdrowszych składników, w optymalnej gramaturze i konsystencji. Od rana do wieczora nic, tylko naświetla się jakimiś lampami, poddaje licznym zabiegom, wciera w skórę kremy oraz maści, pochłania dziwne koktajle, monitoruje nocne erekcje (sic!), trenuje, a do tego łyka ponad sto różnych pigułek. Stosuje również dożylnie wlewy i transfuzje, korzystając m.in. z krwi własnego syna. Na pytanie, czy kiedyś umrze, bez wahania odpowiada: „nie”.

Słuchając tego człowieka, przyglądając się praktykowanemu przezeń umartwianiu ciała, rytualnemu porządkowi, w jakim funkcjonuje, jego wampirycznym inklinacjom oraz głębokiej wierze we własną wiecznotrwałość – nie sposób nie zauważyć, że mamy do czynienia z fenomenem o charakterze religijnym. Przebrany w technologiczno-medyczny żargon, wprzęgnięty w fitnessową maszynę, zorientowany na ciało, niemniej noszącym oczywiste znamiona duchowości. Rzecz jasna, raczej spod znaku magii czy gnozy, które obiecują pełne wyzwolenie z okowów natury ludzkiej, niż ortodoksji, nakazującej akceptację ograniczeń i podporządkowanie się wyższej sile czy mądrości.

W tym sensie Johnson zdaje się wprost wyjęty z filmu „Substancja” lub serialu „Rozdzielenie”, o których tu niedawno pisałem. Dokładnie o takiej mentalności, takiej wizji świata traktują przecież te produkcje. Tyle że Johnson, po pierwsze, nie jest postacią fikcyjną, a po drugie kompletnie tego wszystkiego nie dostrzega. Z ujmującą naiwnością (a może raczej przerażającym fanatyzmem?) wierzy, że dzisiejsza technologia i nauka umożliwią mu realizację tych właśnie pragnień – pokonania śmierci, wolności totalnej – które zawsze jawiły się człowiekowi jako nieosiągalne ziemskimi metodami. Słychać to zwłaszcza w wywiadzie, którego niedawno udzielił portalowi „The Free Press”. Stwierdził tam z ową ujmującą naiwnością (przerażającym fanatyzmem?), że sztuczna inteligencja jest w istocie powstającym na naszych oczach bóstwem. Do-

tąd słuchaliśmy opowieści o tym, że Bóg stworzył człowieka, teraz to my stwarzamy Boga. Byt nieskończenie przewyższający nas pod każdym względem. Jeszcze chwila, jeszcze kilkadziesiąt lat i ani się obejrzymy, a minie osławiony „punkt osobliwości”. Granicę, za którą maszyny stają się nieodróżnialne od ludzi. Kto wie, może nawet same te kategorie okażą się wówczas bezużyteczne, bowiem na równych prawach istnieć będzie po prostu wiele form podmiotowości, na bazie biologii i na bazie krzemu? W świecie zupełnie niepodobnym do czegokolwiek, co dzisiaj znamy, ba, co w ogóle jesteśmy sobie w stanie wyobrazić?

Przyznam, że najbardziej niepokoi mnie właśnie ta fundamentalna nieświadomość, charakterystyczna nie tylko dla Johnsona, ale w ogóle dla naszych czasów, których jest on modelowym wykwittem. Pomieszanie magii z technologią; gnozy z elektroniką; marzenia o samowyzwoleniu z ekonomią i polityką; mitologii i popkulturowych klisz z maszyną i fabryką. Podobną stylistyką operuje przecież Elon Musk, jeden z najpotężniejszych ludzi na świecie. Wprawdzie – a w każdym razie nic o tym nie wiemy – nie pochłania on jeszcze stu suplementów dziennie i nie naświetla się życiodajnymi lampami, ale za to snuje niesamowite wizje bezpośredniego połączenia ludzkiego mózgu z internetem. I zachowuje się niczym szalony, operetkowy prorok.

Obok Muska zasiada zaś od niedawna Mark Zuckerberg, inwestujący gigantyczne pieniądze w rozwój wirtualnej rzeczywistości (ostatnio w ten wyścig włączyła się także firma Apple). Mariaż technologii, religii i polityki staje się coraz głębszy i rozleglejszy, zacierają się pomiędzy nimi granice. Wkraczamy więc w epokę, w której to, co niemożliwe, stanie się z pozoru (podkreślam: z pozoru) możliwe. Fantazje będą się realizować, a sztuczne światy zdawać znacznie bardziej prawdziwe aniżeli świat prawdziwy (owszem, istnieje coś takiego, a iteracja „prawdziwości” to zabieg celowy).

Nic przy tym jednak nie wskazuje na to, żebyśmy mieli być z tego powodu szczęśliwsi, mniej samotni, bardziej dla siebie otwarci i wyrozumiali; żebyśmy dzięki temu rozwijali wrażliwość i współczucie, uważność na innych, zdolność do miłości, radości i poświęcenia. Przeciwnie. W filmie „Don't Die” rzuca się to w oczy – świat Johnsona, podobnie jak świat innych proroków tej osobliwej technognozy, jest światem upiornie pojedynczym. Przeniknięty obsesją na własnym punkcie, kultem własnej nieprzemijającej doskonałości, która i tak przecież okaże się iluzją (założymy się?). Wreszcie, światem wampirycznym, bo traktującym innych przede wszystkim jako zasoby – co jest wyjątkowo niebezpieczne z uwagi na polityczne konsekwencje.

Nie wiem jak wy, ale ja nie chciałbym w takim świecie żyć. Zwłaszcza wiecznie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książki, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.



NOWA PRENUMERATA PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
■ Kwartał – 12 wydań	170 zł
■ NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	320 zł
■ Rok – 52 wydania	590 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA*	500 zł
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.
Sprawdź pełną ofertę na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY **SALES**||manago
marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY” SUWERENNY DZIĘKI TOBIE

16 FESTIWAL
NOWE EPIFANIE

5.03 – 13.04
Warszawa 2025

A CÓŻ IM ZWRÓCISZ ZA TO, CO ONI TOBIE DALI?

Nowe **E**pifanie

noweepifanie.pl

teatr / muzyka / film

Organizator

JP2 Centrum Myśli
Jana Pawła II



Partnerzy

powstanie



TEATR
WYBRZEŻE



MAŁOŚCIE
INSTITUT
KULTURY



Patroni medialni



Współfinansowanie



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

